

JULIUSZ CLARETIE.

OSKARZYCIEL.

POWIEŚĆ.

Przekład Al. Callier.





o z dubletów
bl. m. st. W-wy

JULIUSZ CLARETIE.

3199 246

OSKARZYCIEL.

POWIEŚĆ.

Przekład Al. Callier.



1000174495

WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1898

225975

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Января 1898 года.

UNIVERSITÄT
UMCS
LUBLIN

225975

№ 502/205/51

Do profesora Cezara Lombroso.

Przyjemnie mi przypisać panu tę powieść, w której starałem się powołać napowrót do życia dawne doświadczenie, według mnie wysoce ciekawe i przejmujące. Wiem co powiedzą: teoria *niemożliwości* posiada zaciekłych obrońców. Marzenia i hipotezy w tego rodzaju kwestyach nie wchodzą w rachunek dla uczonego: on liczy się wyłącznie tylko z faktami i ma słuszność.

Czy jednak powieściopisarzowi nie jest dozwo-
lonem zbierać pokłosa na tem rozległym polu nauki, tego pokłosa, którem gardzą i o którym zapominają mistrze? Ja zebrałem właśnie taką garść zeschniętych kłosów. Nie wiem co ona warta; ale przyjemność stanowiło dla mnie zbadanie tych kłosów, przypatrzenie się im bliżej. Tajemniczość jest wielką kusicielką. Jeśli kto, to to ty, śmiały przodowniku idei, nie będziesz mi czynił chyba wyrzutów za to, że napowrót na porządek dzienny powołał problemat, niedający się może rozwiązać, ale niemniej pociągający ku sobie, jak przepaść: tajemnicę żyjącego, przez konającego zachowaną, to „oko umarłego“ odsłania-

jące ostatnią, przedśmiertną myśl istoty ludzkiej, zmarłego, co się staje oskarżycielem!

Kwestya *uklasyfikowana*, mówią mi, kto wie czy nie zasługiwałaby na ponowne jej postawienie. Uczyniłem to z przyjemnością. Powieść daje dużo swobody, sięga po nią przynajmniej i z tego czynią jej zarzut czasami. Najliberalniejszy w świecie umysł jaki znam, nie uczyni mi chyba z tego zarzutu. Pomyślisz pan o tych kartkach fantastycznych, co ci się podoba, ale zwracając je do pana, przede wszystkim widzę w tem sposobność przypomnienia mu owego podróznego, przybyłego z Francyi, którego przyjąłeś pewnego dnia z uprzejmością, jakiej ci nie zapomni nigdy. Pisząc to, widzę ponownie ten dom poświęcony wiedzy i życiu, gdzieśmy się zatrzymali w Turynie i z wzruszeniem przypominam sobie gospodarza tego domu, który w sanktuarium rodzinnem pracuje nad rozwiązaniem najstraszliwszych problemów nauki człowieka i w laboratorium isticie rembrandtowskiem uczonego, otacza się drogiemi sobie uśmiechniętymi twarzami, wyrwanemi z obrazów Greuze'a.

Z całym uwielbieniem i życzliwością.

Juliusz Claretie.

I.

Marzenie dzisiaj,
Rzeczywistość jutro!

— Dom pana Bernardet?... Na końcu pasażu, na prawo... Tak, ten dom właśnie, który ztąd widać za kratą ogródka! Na rogu ulicy Piémont-desi!...

Człowiek, któremu jakiś przechodzień udzielał tej wskazówki, podziękował, przyspieszył kroku i już poprzednio zadyszany, próbował przez chwilę biedz, byle dojść prędzej do domku w głębi pasażu Elysée des Beaux Arts, stanowiącego rodzaj kieszki z czarnych zakopcanych murów, dziwacznych starych mieszkań, składów rupiecia, szkół śpiewu, etc. Był to dom, o powierzchni klasztoru na prowincyi, wychodzący na bulwar zewnętrzny: ożywiony, ruchliwy, hałaśliwy, zaludniony przechodniami, pobrużdżony tramwajami, gorączkowy i wesoły.

Niepomiernie gruby, króciutki, łysy i z gołą głową, w ten dzień w końcu października dździasty, choć dość zresztą ciepły jeszcze, mężczyzna

z ubioru i powierzchowności wyglądał na robotnika oderwanego od pracy. Był to w rzeczy samej rzemieślnik, krawiec z sąsiedztwa, który w łoży portyera pracował dla klienteli swej dzielnicy; odnawiał, reperował ubrania, zdając na żonę dozór domu, zamykanie schodów i wyrzekanie na los.

Pani Moniche uważała, że życie jest ciężkiem i posępnem. Romantyczna z natury, ubolewała nad tem, że istnienie nie dało jej tego, co zapowiadało niegdyś. Kiedy się ma lat osiemnaście i w dodatku jest bardzo ładną, można przypuszczać, że niekoniecznie trzeba będzie doczekać się starości w łoży odźwiernego, u boku wiecznie zgarbionego nad igłą krawca. Jakże daleko jednak były już owe lat ośmnaście!... W tej chwili zresztą, los ten rzucił ją najnie spodziewaniej w samo jądro dramatu i pani Moniche mogła być zadowolona z barwności dnia dzisiejszego. Wszedłszy przed chwilą do mieszkania pana Rovère, zastała lokatora drugiego piętra rozciągniętego na ziemi, z oczyma w słupek, ze skrzyżowanemi rękoma i rozciętem gardłem.

Ów pan Rovère mieszkał sam zupełnie od lat wielu w tym domu, przyjmował bardzo niewielu znajomych u siebie, i wiódł żywot tajemniczy jakiś i otoczony pomroką. Pani Moniche zajmowała się u niego gospodarstwem, a mając klucz od mieszkania jego w kieszeni, wchodziła zawsze, ilekroć tylko chciała, lokator zaś prosił ją cza-

sami nawet, by mu czytała głośno jaki dziennik bieżący.

— Pan Rovère zabity! Pan Rovère z wielką raną na szyi! Pan Rovère zamordowany!

Odźwierna coprędzej wypchnęła męża:

— Policji... idź zaraz po policyę!

A wyraz ten *policya* zbudził w umyśle krawca nie myśl o komisarzu z sąsiedztwa, ale nagły pomysł zwrócenia się o radę do człowieka nieodzownego, do tego poczciwego pana Bernardet, który uchodził za genialnego w swoim rodzaju pośród służby bezpieczeństwa, a któremu Moniche naprawiał często surduty i skracał wystrzępione spodnie.

Z domu przy bulwarze Clichy, gdzie Moniche zamieszkiwał, do domu pana Bernardet, przy pasażu Elysée-des-Beaux-Arts, było zaledwie kilka kroków i odźwierny znał doskonale tę drogę, on, co tak często odnosił sam robotę temu ulubionemu swemu klientowi. Ale pocziwiec tak był wzruszony i pomieszany w tej chwili, tak oszołomiony tem nagłym pojawieniem się żony w jego łoży, tą niespodziewaną wiadomością, co nań spadła jak raz pięści wymierzony w samo ciemność, o śmierci pana Rovère, że stracił zupełnie głowę i, ogłupiały, bąkał coś, pytając przechodniów o mieszkanie pana Bernardet, o tego ku któremu instynktownie niosły go nogi, na przekór głowie, niemal biegiem.

Dobiegłszy do okratowania, biedak, zaczerwieniony i zdyszany, zatrzymał się nagle, by odetchnąć. Był niezmiernie wzruszony. Zdawało mu się, że naraz ogarnęła go jakaś straszna senna mara. Morderstwo w domu, w spokojnym domu, zamieszkałym przez drobnych kapitalistów, których on strzegł bezpieczeństwem. Morderstwo na ulicy tak ożywionej jak bulwar Clichy, w biały dzień, tuż nad jego głową, podczas kiedy on najspokojniej nicował jakąś marynarkę!

Poglądał bezmyślnie, nim zadzwonił, na domek, w którym prawdopodobnie teraz pan Bernardet siedział przy śniadaniu w gronie rodziny, bo była to właśnie niedziela i w dodatku jeszcze dzień podwójnie uroczysty, jak to sam powiedział wczoraj jego żonie, spotkawszy ją na ulicy: „Jutro moje imieniny“.

Ogródek, gdzie dwa krzaczki wątle okryte były jeszcze rdzawymi liśćmi, które odrywały się i spadały na miniaturowy trawnik obmokłej murawy, poprzedzał mieszkanie szczelnie zamknięte, stary pawilon, co był niegdyś widocznie mieszkaniem strażnika czy dzierżawcy, w głębi parku.

Moniche doznawał przykrego wrażenia na myśl, że mu przyjdzie zakłócić tak okropnie pogrążone w ciszy mieszkanie, a będąc nieśmiałym z natury, zaważał się mimowolnie. Rozważył wszakże, że w tej katastrofie jeden tylko pan Bernardet może mu się przydać na coś i największą rozwinię dia-

łałość. To też pociągnął za dzwonek, w odpowiedzi na co furtka natychmiast się otworzyła.

Przeszedł przez ogródek, wstąpił po trzech schodkach wiodących do pawilonu i zobaczył na progu małą tłuściutką kobietkę, rumianą i świeżą jak bursztówka, która, z serwetą w ręku, powitała go wesołem:

— A, pan Monichel

Była to pani Bernardet, burgundka, trzydziestoletnia, czyściutka i zalotna, usunęła się na bok, przepuszczając krawca.

— A cóż tam się stało, panie Moniche?

Biedny Moniche poglądał wystraszonymi oczyma i zaledwie zdołał wybąkać:

— Chciałbym zobaczyć pana Bernardet... miałbym coś do powiedzenia panu Bernardet...

— Nic łatwiejszego — ozwała się mała kobiecinka — pan Bernardet jest w ogrodzie. Tak, korzysta z pogody i robi grupę...

— Jaką grupę?

— No, wiesz pan, fotograficzną, to jego namiętność. Chodźże pan, panie Moniche.

I pani Bernardet szła przodem wgląd korytarza, który wychodził na mały ogródek po za domem, gdzie pan Bernardet, wypoczęty i całym sercem oddany dzisiejszym imieninom, pozował dokoła okrągłego stolika, zastawionego przyborami do kawy, trzy dziewczynki, które razem z matką miały się znaleźć przed aparatem fotografa.

— Właśnie weszłam po serwetę do jadalnego pokoju, kiedyś pan zadzwonił—mówiła pani Bernardet.

Zdalone Bernardet, żywy w ruchach, równie tłusty i wesoły jak żona, Bernardet z małym rudym wąsikiem, z wygolonym i różowym podbródkiem, z oczyma przebiegłymi fluternego księdza, z okrągłą i naprzód podaną głową, dawał już odźwiernemu znaki, by się nie zbliżał.

Trzy dziewczynki, ubrane w jednokie sukienki w szkocką kratę, ustawione rzędem podług wzrostu przed kamerą migawkową, ustawioną na trójnóżku, nie ruszały się już, sztywne, z pospuszczanymi rękoma; najstarsza miała dziesięć lat, najmłodsza pięcioletnie dziecko, a wszystkie trzy zdumiewająco do siebie podobne.

Pan Bernardet na imieniny robił sobie fotografię córek. Myśliwiec, który od rana do wieczora tropił włóczędów i złoczyńców po ich jaskiniach i norach, odpoczywał sobie w tym wilgotnym ogródku, w ostatnich smętnych dniach października, święcąc jak każdy spokojny mieszczuch niedzielę. Ta idylla ukrytego jego życia, w głębi starej ulicy na Montmartre, dawała mu siły do działalności gorączkowej; tutaj to odpoczywał on po nużących pościgach, po straszliwych łowach na ludzi w ponurych zaułkach Paryża.

— No—mówił, wkładając napowrót nakrywkę na aparat—to byłoby już zrobione. Możecie iść

pobawić się, moje kochanki! A teraz, czem panu mogę służyć, kochany panie Moniche?

Podnosił, wrywając je z gruntu, nóżki podstawy swego aparatu, kiedy tymczasem dziewczątka podbiegły z pieśczętą do matki, która im poprawiała po kolei warkocze; nagle rzucając spojrzenie wielkich swych niebieskich oczu, badawczych i jasnych, na twarz odźwiernego, zdał sobie dopiero sprawę z jego pomieszczenia i odgadł, że jak się to mówi, *coś* stać się musiało.

— No, ależ jesteś błudy jak chusta — mówił do krawca ocierającego sobie pot z czoła.

— A, panie Bernardet, bo też i można być przestraszonym, pomyśl pan. W naszym domu popełniono morderstwo!

— Morderstwo?—powtórzył Bernardet.

Cała twarz jego, tak wesoła, przybrała nagle dziwaczny wyraz, zmieniony raptownie, natężony i poważny; wielkie niebieskie oczy stały się jaśniejsze jeszcze i płonęły wewnętrznym jakimś ogniem.

— Tak, morderstwo, panie Bernardet. Pan Rovère.. Pan nie znasz pana Rovère?

— Nie—odparł agent policyi.

— Zdawało mi się, że panu o nim wspominał. Oryginał, samotnik. Nakoniec zamordowano go! Moja żona, przed chwilą wszedłszy, by mu przeczytać gazetę..

Bernardet przerwał nagle pocziwcowi:

— Kiedyż wypadek miał miejsce?

— Ah, Boże mój, panie Bernardet, niewiadomo! To wiem tylko, że moja żona zastała jeszcze trupa nieostygłego. Ona bo się nie boi. Dotknęła go!

— Jeszcze nieostygłego!...

Te słowa zwróciły uwagę Bernardeta. Zastanowił się na chwilę, na sekundę, i nagle zwracając się do Moniche'a:

— To dobrze, chodźmyż do was!

Potem, jakby przejęty nagłą myślą, dodał:

— Wezmę i to! Tak i to!...

I zdjął ze śruby, na której przytwierdzony był w górze trójnoga, aparat fotograficzny, którym przed chwilą zdejmował portret swych córek.

— Mam jeszcze trzy płyty, to może się przydać!

Pani Bernardet, która dość daleko była w ogrodzie z dziećmi czepiającemi się jej spódnice, dobrze widziała, że odźwierny przynosi ważną jakąś nowinę. Twarz Bernardeta, uśmiechniona dotąd, nagle przybrała wyraz zakłopotany i nieruchomy, zwykły wyraz dui łowów, z płonącym spojrzeniem psa gończego, wypuszczonego na zwierzynę.

— Wychodzisz?—ozwała się z żalem do Bernardeta, który przeciągał pasek skórzany przez swój aparat, żeby go sobie przewiesić.

— Tak jest—odparł.

— Ach, mój Boże, a nasza niedziela!... A czy przynajmniej dziś wieczór zaprowadzimy dziewczynki do teatru Montmartre?

— Nie wiem jeszcze—odpowiedział.

— Miały to sobie przyrzeczone. Biedne dzieci. Przyrzekłeś im „Closerie des Genêt“.

— Co chcesz? Niewiem, zobaczę. Niezawsze w życiu człowiek może robić to, co chce. To prawda, kochany mój Moniche, że dziś moje urodziny, trzydziestego października!... Dziś skończyłem lat czterdzieści, jak obszył!... Przyrzekłem dzieciom „Closerie des Genêt“, i jak mnie widzisz, jestem na urlopie. Ale powrócę... Powrócę... Chodźmyż zobaczyć owego pana Rovèrel

Ucałował żonę w czoło, w sześć policzków trzy córki, różowe i świeże jak matka i z aparatem fotograficznym u boku, podążył za odzwierciany, który szedł szybko zadyszany i odpowiadał od czasu do czasu na pytania policyjnego agenta:

— Jeszcze ciepły, tak, panie Bernardet, jeszcze ciepły!

łym kravacie dozorujący w Operze złodziei lornetek, którzy zbierają i wysyłają na sprzedaż do Niemiec przez wspólników, plony swych przechadzek między krzesłami, jutro w nędznym odzieniu aresztujący zbója z poczerniałemi dłońmi, w jakiejś spelunce przedmiejskiej.

Pan Bernardet wchodził jak władca do wszechpotężnych bankierów, którym zaaresztowano księgi, kiedy wczorajsi milionerzy wsiadali razem z policyantem do odwożającej ich dorożki. Znakazu śledził intrygi największej pani, która niejednokrotnie zawdzięczała mu swe ocalenie. Gdyby tak pan Bernardet zechciał tylko mówić! Ale on nic nie mówił, nie mówił nigdy i reporterzy odchodzili z kwitkiem z różnych interwiewów, które mu chcieli urządzać.

— Wszelki interwiew jest srebrem, ale milczenie jest złotem — odpowiadał im pan Bernardet, który nie był głupim bynajmniej.

Bywał obecny na seansach spirytystycznych, na naradach anarchistów. Zajmował się okultyzmem z magami z przypadku i znał na palcach listę partji t. zw. „wojującej”. Znał istotne nazwiska słynnych szulerów, którzy występują na arenie zielonego stolika, jak się występuje na deskach sceny, pod przybranemi pseudonimami. Jaskinie gry nie były dlań obce, znał kościoły o ciemnych zakrętach, w których gromadzą się celem pogadania o *interesach* stowa-

rzyszeni, którzy nie chcą być podsłuchanymi w piwiarniach lub wysłdzonymi w szynkach.

Całego tego Paryża, który toczy miliony istnień, niby potok olbrzymi, on znał odwrotną stronę i znał obyczaje mikrobów, wżerających się i toczących w podziemiach ludzkich.

Ach, gdybyż to on był dyrektorem policji, on, co tak studyował dokładnie Paryż, nie zdaleka, za pomocą statystycznych wykazów, książek, lub przez szyby biurowego gabinetu, ale bezpośrednio na ulicy, w kryjówkach, w zakamarkach, w przytułkach nędzy i zbrodni, on, gałganiarz występku, nawykły grzebać w ramowiskach i zgniliznie społecznej! Ale pan Bernardet nie był ambitnym. Takim jakim dlań było życie i jakim je sobie wybrał, wystarczało mu ono w zupełności. Zaczna jego żona, wniosła mu w posagu małą posiadłość ziemską po swych rodzicach, właścicielach winnic w Argenteuil, i Bernardet, który się zadawał tym niewielkim mająteczkiem, uważał, że potęga jego sięga dostatecznie daleko. Potęga człowieka, który może przy sposobności pochwyć za kark jakiego ex-ministra, lub za gardło mordercę!

Pewnego dnia, jeden z finansistów, zagrożony więzieniem w Mazas, serdecznie go ubawił. Bernardet przybył go zaaresztować. Nie należało robić hałasu w banku. Urzędnik policji i gieldziarz, znajdowali się sami, oko w oko w małym biurowym gabinecie ustronnym, o ciężkich obi-

ciach i grubych dywanach, tłumiących wszelki odgłos.

— Piędziesiąt tysięcy dam panu, jeśli mi pozwolisz ztąd wyjść—mówił bankier.

— Pan hrabia łaskawie żartuje...

— Sto tysięcy!...

— Żart jest większym jeszcze, ale to zawsze żart tylko!

Wówczas bankier, bardzo blady, wymówił:

— A jeślibym panu w łeb strzelił po prostu?...

— Moi towarzysze czekają na mnie na dole— odpowiedział spokojnie Bernardet. — Wiedzą oni dobrze, że nasza rozmowa nie może się przedłużać zbyt długo, a ta propozycja, o której chcę zapomnieć, jak i o poprzednich, gdyby wprowadzoną została w czyn, pogorszyłaby tylko jeszcze, o ile mi się zdaje, sprawę pana hrabiego...

W dwie minuty później, bankier wychodził, poprzedzając Bernardeta—który szedł za nim z odkrytą głową—i mówił najswobodniejszym w świecie tonem do swoich urzędników:

— Do widzenia niezadługo, panowie! Za chwilę powrócę!

Pan Bernardet to również, będąc w banku Hauts-Plateaux, za powrotem powiedział swemu szefowi:

— Panie Leriche, dzieć się tam musi coś bardzo poważnego.

— A cóżby to, Bernardecie?

— Nie wiem, panie Leriche, ale jest tam dziś zgromadzenie rady zarządzającej i widziałem niesionego, słyszysz pan, niesionego przez dwóch służących w fotelu dla chorych, barona de Cheylard!

— I cóż ztąd, Bernardecie?

— Co?!... Baron de Cheylard w swym charakterze ex-senatora drugiego cesarstwa, ex-prezydenta rady i ex komisarza wystaw przemysłowych, przedstawia dla nich wartość wielkiego krzyża legii honorowej. Wielki krzyż legii honorowej, to znaczy, że ścigać go można dopiero po odnośnych rozprawach w radzie. A wówczas, przyjmiesz pan... Jeśli bank Hauts-Plateaux apeluje do swego wice-prezydenta, barona de Cheylard, sparaliżowanego, umierającego niemal...

— To dlatego, że potrzeba mu gwałtem piorunochrona.

— Wielkiego krzyża legii honorowej, panie Leriche! Zawahano by się z wydaniem w nasze ręce wielkiego krzyża!

— Masz słuszność, Bernardecie. Musieli oni tam się dobrze poślizgnąć w Hauts-Plateaux! A z ciebie straszliwy obserwator. Umysł literacki, powiadam ci to, Bernardet

— Och, tylko oko fotografa co najwyżej, panie Leriche. Nawyknięcie rzemiosła!

Tak przechodził pan Bernardet przez życie pa-ryzkie, mogąc zebrać sobie majątek w jakiej

agencji Tricoche, gdyby był chciał ciągnąć zyski z tego zmysłu obserwacyjnego, który mu przyznawał jego naczelnik—a nie myśląc o niczem, prócz pełnienia swych obowiązków wedle upodobania; pozatem wychowywał trzy swoje córki i kochał żonę, którą dziwiły zawsze zdumiewające historie, opowiadane przez policyjnych urzędników, dumną była z tego, że ma za męża człowieka, który nadzoruje tak z bliska różnych potężnych ludzi, wielkie krzyże legii honorowej!

I pan Bernardet dreptał teraz szybko ku mieszkaniu zamordowanego; za nim podążał Moniche, ocierając pot z czoła i, pokazując mu z daleka czarną gromadę ludzi, zebraną przed domem na bulwarze Olichy, mówił:

— Już wiedzą widocznie o nieszczęściu! Przed naszym domem tłum cały...

Bernardet zatrzymał się, zanim przeszedł przez alicę, przypatrując się gromadzie ludzi, którzy w samej rzeczy zdało się, że oblegli mieszkanie zajmowane przez zmarłego pana Rovère.

— Że tam wejść—mówił agent do portyera—to bardzo słuszne. Każdy ma prawo wzywać na pomoc kogo mu się podoba. Ale ja nie jestem urzędnikiem... Trzeba prócz tego zawiadomić i komisarza policyi.

— O, panie Bernardet—zarzucił Moniche—pan sam jeden jesteś mądrzejszy, niż wszyscy komisarze razem wzięci!

— Nie o to chodzi. Komisarz jest komisarzem. Poślijcie go zawiadomić!

— Skoro jednak pan tu już jesteś, panie Bernardet...

— Ależ ja niczem nie jestem! Niczem zgoła! Tu trzeba urzędnika!

— Więc pan nie jesteś urzędnikiem?

— Ja jestem prostym szpiegiem policyjnym, panie Moniche!—odpowiedział Bernardet z całą prostotą.

I wówczas dopiero przeszedł przez ulicę.

Sąsiedzi zbiegali się przed drzwi zamknięte, jak rój much dokoła plastra z miodem. Szmer unosił się z pośród czarnej gromady, szmer ciekawości cheiwej, łaknącej, ludzi pociąganych dramatycznością sytuacji, czarem tajemnicy, trwogą a równocześnie tym dziwnym magnetyzmem wszelkiej straszliwej rzeczy: zbrodni. Kobiety rozmawiały głośno, opowiadały sobie i wymyślały najróżnorodniejsze powieści, legendy nie do wiary. Młodzi jaćs ludzie nadbiegali i zapisywali coś w notatnikach.

W chwili, gdy Bernardet nadszedł razem z portyerem, przed bramą zatrzymał się powóz, z którego wyskoczył wysoki młodzieniec, wołając:

— Gdzie jest pan Leriche? Chciałbym się widzieć z panem Leriche!

Dyrektor policyi, niezawiadomiony dotąd, nie był tu jeszcze. Ale wysoki młodzieniec, o długich, istic telegraficznych ramionach, poznał na-

tychmiast Bernardeta i przyczepił się do niego w chwili, kiedy agent wsuwał się z Monicem przez drzwi wpółotwarte, których trzeba było bronić od naporu tłumów.

— Należy także zawezwać żandarmeryę!—ozwał się Bernardet do portyera.—Inaczej, zatłoczonyby nas tutaj!

U dołu schodów, pani Moniche czekała pośród grupy lokatorów domu, kobiet i mężczyzn, którym opowiadała po raz dwudziesty, jak to wchodzić do pana Rovère, zastała go rozciągniętego na podłodze, na wznak, z przeciętem gardłem.

— Szłam właśnie czytać mu gazetę... felieton... Doszliśmy do tego miejsca w powieści, kiedy baron wyzywa na pojedynek pułkownika amerykańskiego... Wczoraj jeszcze mówił mi biedaczek: „Ciekawa rzecz, który z nich obu będzie zabity: pułkownik, czy baron...“ I nie będzie już wiedział nieborak. A to jemu samemu przypadło...

— Pani Moniche—przerwał jej Bernardet—nie macie tam kogo pod ręką, coby zawiadomił komisarza i sprowadził go tutaj?

— Kogo?

— Tak—dodał Moniche—panu Bernardet potrzeba urzędnika. Toć to łatwo pojąć.

— Komisarza? — powtarzała pani Moniche.— A tak, to słuszne. Komisarza. A gdybym tak ja sama poszła, panie Bernardet, po komisarza?

— Bylebyś pani tylko, otwierając bramę, nie pozwoliła zdobyć szturmem domu.

— O, niech się pan nie boi—uspakajała odzwier-
na, szczęśliwa, że jej przypadło jeszcze odegrać
jakąs rolę i że będzie mogła opowiedzieć pono-
wnie panu komisarzowi, jak to, wszedłszy do te-
go biednego pana, żeby mu przeczytać felie-
ton...

A kiedy ona szła do drzwi, Bernardet wcho-
dził zwałwo po schodach, przodem przed Moni-
chem, zgoła nie zwracając uwagi na wysokiego
młodzieńca, który przybywał w galopie powozem
na koszt redakcyi swego dziennika.

— Przedewszystkiem—mówił sobie agent—trze-
baż każdemu żyć na świecie!

Potem, myśląc o tej szybkości, z jaką nowina
się rozeszła—kto wie, może została przesłaną te-
lefonem dziennikowi, który przysyłał tu natych-
miast swego reportera—zrobił w duszy tę zawo-
dową uwagę:

— Telefon! Może i my aresztowalibyśmy nie-
raz daleko prędzej ludzi, gdybyśmy go mieli
zawsze tak pod ręką jak nowiniarz!

I trzech mężczyźni, agent, portyer i reporter,
weszli na drugie piętro; Moniche szedł przodem
z kluczem w rękę. Otworzył drzwi mieszkania
pana Rovère, sam usunął się na bok, przepu-
szczając pana Bernardet. A tuż za agentem, na-
stępując mu formalnie na pięty, szedł reporter,
z notatnikiem w rękę, choć widział, że agent
zdaje się nie spostrzegać go zupełnie i nie tro-

szczyć o niego bynajmniej. Może zresztą pan Bernardet był zdania swego szefa, który dozwalał chętnie dziennikarstwu mieszać się w swe sprawy, aby mieć — boć każdy ma takie słabości — *prasę za sobą*.

III.

Nie w przedpokoju pana Rovère nie zdradzało, by tu miał się odbyć jakikolwiek dramat. Na ścianach porozwieszane były obrazy, fajanse, kilka sztuk cennej broni, zgrupowanych, szable japońskie, krissy malajskie; Bernardet, przechodząc, objął je przelotnym spojrzeniem.

— To stało się w salonie—wymówił portyer po cichu.

Z dwu skrzydeł drzwi prowadzących do salonu, jedno stało otworem i zatrzymując się na progu aby objąć jednym rzutem oka całość pokoju, w którym trup leżał, Bernardet spostrzegł na samym środku, rozciągniętego na dywanie, którego wełna wypięła jak gąbka dość szeroką krwi kałużę, ciało pana Rovère, w szlafroku z błękitnej wełny, związanym sznurami, które okręcały się dokoła postaci jak węże.

Zmarły leżał pomiędzy dwoma oknami, wychodzącymi na bulwar Olichy — i pierwszą myślą agenta było, iż cudem chyba ofiara mogła zostać zamordowaną o dwa kroki zaledwie od tego tłu-

mu przechodniów i powozów, tak licznie krążących wśród dnia po bulwarze.

— Ten, co cios zadał, musiał uczynić to nadzwyczaj szybko—myślał agent.

Podszedł ostrożnie do trupa, jak myśliwy, który obawia się potrącić jakiej gałązki; żywe, bystre jego oko przenosiło się z nieruchomego ciała na otaczające je przedmioty; stanawszy z boku, pochylił się nad ofiarą, dla zbadania.

Pan Rovère wydawał się jeszcze żywym, w tragicznej tej pozie. Twarz blada, piękna twarz, niby ze starożytnego portretu o długiej szpiczastej siwej brodzie, starannie przyciętej, tchnęła w swej nieruchomości wyrazem groźnego gniewu. Szczupły, ale muskularny ten człowiek, lat około pięćdziesięciu pięciu, musiał paść z przekleństwem na ustach, ale odważnie w przedśmiernej męczarni. Rana okrutna, zadana zagłębioną w gardło bronią, tworzyła rodzaj krawatu szerokiego dokoła szyi, niby komandorską szeroką wstęgę, której ton czerwony harmonizował dziwnie z brodą w pół pobielającą; koniec jej nurzał się we krwi.

Co przedewszystkiem wszakże zwróciło uwagę Bernardeta i roznamiętniło go nagle, niby problem niespodziewanie rzucony, to wzrok, szczególny wzrok tego człowieka w szlafroku, który z otwartymi żrenicami, z rozchyłonymi usty, zdał się toczyć bój jeszcze, bronić i zachęcać ustami i oczyma jakichś niewidzialnych towarzyszków. Te

usta chciały, zda się, krzyknąć, te usta ciskały groźbę.

Piorunowały one te tragiczne oczy, rozszerzone trwogą i zgrozą. Zdawały się olbrzymie, rozwarłe nadmiernie, nieomal wyszłe już z orbitów pod czarnymi strzępiastymi brwiami. One jedne były żywe pośród tej martwej twarzy. Mówiły o walce ostatniej, o jakimś dzikim, okrutnym pojedynku na wzroki i słowa. Były takie w swej zaciętej nieruchomości, jakimi utkwiły w mordercy—oko w oku, twarz w twarzą.

Pan Bernardet popatrzał na ręce.

Ręce zmarłego były zaciśnięte i zdało się, że w jakimś nieugiętym oporze, czepiały się przed chwilą szyi i odzienia zabójcy.

— Krew jest pod paznokciami — odezwał się głośno agent. — Widocznie zatem ofiara walczyła.

A Paweł Rodier, reporter, szybko kreślił coś ołówkiem, notując: „Krew była pod paznokciami“...

Zresztą Bernardet powrócił natychmiast do tych oczu nadmiernie powiększonych, rzekłbys błędnych, straszliwych, które w swej ostupiałości przerażającej, musiały zachować, zachowały niezawodnie obraz jakiejś śmiertelnej, okropnej wizji.

Agent dotknął palcem ręki trupa. Skóra poczynała ziębuć a członki stawały się coraz to sztywniejszemi.

Reporter zobaczył wówczas, jak mały człowieczek wyciąga z kieszeni rodzaj srebrnej wstęgi zwiniętej w kłębek i posłyszał, jak prosi pana Moniche, żeby mu pottrzymał tę nić, która Pawłowi Rodier wydała się nicią mosiężną; przez ten czas agent przyspasabiał aparat.

— Przedewszystkiem — pomrukiwał Bernardet — należy nam utrwalić wyraz tych oczul

— Zamknijcie żaluzye u okien! Ciemność powinna być najzupełniejsza!

Reporter pomógł odźwiernemu, byle tylko zyskać na czasie.

A kiedy zamknięto okiennice i ciemność zapanaowała absolutna, Bernardet przysposobił swój aparat; potem odliczył drobnymi kroczkami dystans wymagany do fotografowania twarzy zmarłego z odpowiedniej oddali.

— Bądźcie łaskawi zapalić nić magnezjową — przemówił do portyera. — Nie ma tam zapalek?

— Nie, panie Bernardet.

Agent ukazał zapalniczkę, którą spostrzegł był natychmiast, wchodząc do salonu.

— Ot, tam stoją!

Bernardet w tym salonie dostrzegł wszystko od razu, jednym rzutem oka: fotele zaledwie z miejsc posunięte, które nie świadczyły bynajmniej o jakiejbądź walce, obrazy znakomitej wartości, rozwieszane na ścianach, lustro, bibliotekę, etażerki.

Moniche wziął z kominka zapałki i tak to pan Rovère sam dostarczył sposobu do oświetlenia swego trupa...

— Nie udałooby się nam nic w tym pokoju, gdyby nie światło magnezyowe—mówił agent równie spokojny w tem mieszkaniu, nawiedzonym przez zbrodnię, jak był przed chwilą w swym ogródku, przy pasażu l'Elysée des Beaux Arts.— Światło było niedostateczne.

— Skoro zawołam: *teraz!* — zapalisz panie Moniche nic magnezyową, a ja zdejmę z tej twarzy dwa lub trzy odbicia! Zrozumiałeś mnie. Stań tutaj, na lewo. Dobrze. Teraz zaczekaj!

Bernardet skierował na twarz zmarłego, soczewkę swego aparatu a portyer stał tuż obok z zapałką i magnezyową nicią w ręku, niby artylerzysta, który czeka rozkazu, by dać ognia. Reporter wciąż notował.

— *Teraz!*—zawołał agent

Nagle a jasne, oślepiające światło, blade, niemal białe, rozbłysło w salonie, niespodzianie oświetlonym niby w błyskawicy. Błada twarz zdała się jeszcze bledszą, przedmioty przybrały naraz jakiś pozór fantastyczny, niby w jakiejś apoteozie burzy a Paweł Rodier notował w swej książeczce, gromadząc epitety: *malowniczy... dziwaczny... czarodziejski... piekielny... suggestywny...*

— Zaczynamy powtórnie — ozwał się zimno pan Bernardet.

I po trzykroć, pośród bladości tych błyskawic, ukazała się twarz zmarłego, bledsza jeszcze i ponura jakaś, przerażająca, z głębszą, zda się, raną, rozwartą, z tą wstęgą jeszcze czerwienią na szyi; a oczy, te oczy rozszerzone, oczy nieruchome, oczy tragiczne, oczy pełne groźby, nienawiści, przerażenia, zniewagi, dzikiego oporu, uzbieranego w ostatnim wysiłku życia, oczy wymowne, zdawały się w tym fantastycznym blasku sypać iskry, ożywiać się, piorunować kogoś, gdzieś wprost przed sobą w powietrzu, przerznanem płowemi błyskawicami w próżni.

— Z tem wszystkim — ozwał się Bernardet zeicha—ja będę miał swoje. Chyba dyabełby się w to wnięszał, gdybym nie miał mieć na trzy zdjęcia bodaj jednego porządnego...

Przerwał sobie, patrząc na drzwi wchodowe, które widać było w końcu salonu, ale zamknięte.

Szybkie pukanie ozwało się u nich, rozkazujące i powtarzane.

— To pan komisarz—mówił agent policyjny.—
Otwórzno, panie Moniche!

Reporter wciąż notował, opisywał salon, robił plan, mały szemat do swego dziennika.

I w rzeczy samej, był to komisarz policyi, za którym szedł Moniche, w eskorcie dość znacznej liczby ciekawych, których tłok przed zewnętrznemi drzwiami domu na bulwarze, stał się nieodpartym.

Komisarz, zanim wszedł, rozejrzał naprzód wszystkich tych ludzi i wymówił stanowczym tonem:

— Proszę wyjść!... Proszę ztąd oddalić natychmiast wszystkie te osoby! Nie wolno wchodzić!

Wtedy z pośród fali zbitej ciekawych przechodniów, co się zbiegli, sąsiadów, całej tej zwykłej publiki smutnych *premier*, generalnych repetycyj zbrodni sensacyjnych i przyszłych sławnych spraw, kilka głosów ozwało się donośnych, domagając się swych praw, swych miejsc, swych *usług*.

— Ależ my, my panie komisarzu! Myśmy prasa!

— Panowie dziennikarze—odpowiedział komisarz—będą mogli wejść za okazaniem certyfikatów. Inni nie!

Powstał szmer, który przebiegł po schodach zatłoczonych.

— Inni nie! — powtórzył komisarz.

Dał znak i dwaj agenci, którzy szli za nim, oraz policyjanci, zamienieni na teraz w kontrolerów, poczęli domagać się certyfikatów od reporterów, którzy nadbiegli śladem Pawła Rodier, kiedy tymczasem tłum gapiów, nieuzbrojonych żadnem prawem, protestował i wymyślał na dziennikarzy, którzy wszędzie mają pierwszy dostęp na wszelkie widowiska.

— Czwartą potęgą!—krzyczał w dole schodów stary jakiś jegomość, mieszkaniec domu, wściekły, że go nie wpuszczają, choć uchodził za członka korespondenta Instytutu.

— Kiedy popełnia się jakaś zbrodnia pod moim dachem, mnie niewolno nawet zdać o tem sprawy, a obcy... obcy... dlatego, że są reporterami, mogą sobie dowolnie wszystko oglądać!

Komisarz nie słuchał go, ale tłum wyparty na schody, potakiwał mu stanowczo.

Wszelkie ich protesty zresztą wywoływały tylko wzruszenie ramion u komisarza.

— Rzecz naturalna — mówił do reporterów — by przodownicy opinii publicznej byli dopuszczeni przed innymi. Panowie jesteście poniekąd także sędziami śledczymi! Mówić prawdę, och! to bardzo trudne. To urząd i w dodatku urząd niełatwy. Wszystko zresztą dziś jest trudne. Odkryć zbrodniarza, czy sądzicie panowie, że to rzecz łatwa. Dziennikarzem być od czasu do czasu! I ja nim byłem kiedyś. Napisałem nawet jakąś sztukę dramatyczną, kiedyś tam w Cluny. Jakiś przegląd roku, czy coś takiego... Nie mówmy już o tem, nade wszystko nie mówmy! Wejdźcie, wejdźcie, panowie, proszę.

I elegancki, ujmujący, grzeczny, uśmiechniony, szukał oczyma pana Bernardet — gdzież on jest, gdzie położono tego trupa?

— Tutaj, panie komisarzu.

Bernardet usunął się, wyprostowany, z całym uszanowaniem stając przed swym zwierzchnikiem, jak żołnierz pod bronią, a komisarz z kolei podszedł teraz do trupa, kiedy tymczasem ciekawi, zlekka powstrzymywani przez Moniche'a, tworzyli półkole dokoła bladego i zakrwawionego ciała.

Komisarza tak samo jak Bernardeta, zafrapował wyniosły i naigrawający się wyraz tej bladej twarzy.

— Biedny człowiek! — powiedział wstrząsając głową.— Wspaniały jest!... Wspaniały!.. Przypomina mi księcia Gwizyusza w „Pojedyнку pierrota“ Gérôme'a! Niech mówią co chcą, śliczny to obraz!

Może być, że mówiąc do samego siebie, komisarz mówił równocześnie do delegatów „czwartej potęgi“, którzy, z ołówkiem w ręku robili notaty; i Paweł Rodier chwycił też w lot słowa, kreśląc szybko w swym notatniku:

„Komisarz prawdziwie literacko wykształcony i wysoce przychylny prasie, pan Desbrière, który zresztą jest potrosze naszym kolegą, zauważył naozwyczaj słusznie, że energiczna i blada twarz ofiary, przypomina żywo pozą i wyrazem, martwego księcia Gwizyusza, na słynnym obrazie Gérôme'a w galeryach Chantilly“.

IV.

Pan Desbrière przewodniczył obecnie legalnemu stwierdzeniu faktów i badał portyera i jego żonę, studyując jednocześnie plan salonu mieszkania pana Rovère, kiedy tymczasem jasny wzrok Bernardeta przenosił się z przedmiotu na przedmiot, jak kiedy pies myśliwski śledzi za tropem.

— Kimże to był ten wasz lokator? — spytał przedewszystkiem komisarz.

Moniche odpowiedział z głębokim przekonaniem i pewną niemal urazą, jak gdyby jakimś niewłaściwym podejrzeniem uwłaczano pamięci zmarłego:

— O, panie, najzacniejszy to był człowiek, przysięgam!

— Najzacniejszy w świecie—dodała żona portyera z rozrzewnieniem, ocierając sobie oczy dla kontenansu.

— Ależ mnie nie chodzi o jego moralne zalety—ozwał się pan Desbrière. — Chciałbym wiedzieć, jakiego rodzaju życie prowadził, kogo przyjmował zazwyczaj?

— Bardzo niewielu ludzi; bardzo niewielu — odparł portyer.— Biedak, on tak lubił zawsze samotność! Od lat ośm u już mieszkał w naszym domu. Przyjaciół miał en i przyjmował ich u siebie czasami, ale niewielu, powtarzam, bardzo niewielu.

Pan Rovère w r. 1888 przyszedł wynająć ten lokal, przy bulwarze Clieby. Przybywał wówczas z zagranicy i urządził się tutaj; przywiózł z sobą masę obrazów i książek. Portyera dziwiła podówczas nawet ilość obrazów i pak z książkami, kiedy zwożono rzeczy lokatora. Urządzenie lokalu trwało długo a pan Rovère, nadzwyczaj skrupulatny i lękliwy, sam doglądał rozwieszania obrazów i porządkowania biblioteki. Musiał to być widocznie artysta czy uczony, jakkolwiek podawał się tylko za byłego kupca. Raz słyszano, jak mówił, że był niegdyś konsulem zagranicą, w Hiszpanii czy w Ameryce południowej.

Nie prowadził on domu wystawnego, jakkolwiek w mniemaniu odźwiernych uchodził za człowieka bogatego. Czy był skąpy? Bynajmniej. Przeciwnie, był to nawet pan bardzo hojny. Widocznem było tylko, że unika zgiewku, ludzi, rozgłosu. Wynalazł sobie to ustronne mieszkanie i pędził w niem klasztorne niemal życie, zdala od tego bulwarowego życia paryzkiego, które znał może dobrze. Przed czterema czy pięcioma laty przynodziła do niego dość często jakaś pani, ubrana w żałobie—tak, zawsze w żałobie, z postawy sądząc,

J. Claretie „Oskarżyciel”.

młoda, bo twarzy nigdy nikt nie widział, tak gestą zawsze miała zasłonę. On odprowadzał ją zwykle z wielkim szacunkiem aż do sieni, kiedy wychodziła. Raz czy dwa razy wyjechał z nią razem powozem. Nazwiska jej jednak nikt nie wiedział.

Życie pan Rovère prowadził regularne, po wojskowemu prawie. Zawsze wyprostowany, sztywny dawniej, jak były żołnierz—bo w ostatnich czasach choroba go przygarbiła—wychodził na spacer do Lasku, bez względu na pogodę, o jednej porze i o jednej wracał do domu. Potem, po śniadaniu, zamknąwszy się w bibliotece, czytywał dużo, pisał, wychodził ponownie przejść się po bulwarach, wieczory zaś zawsze prawie spędzał w domu.

— Nigdy niemal nie trzeba było w nocy czekać na niego, prawie nigdy nie chodził do teatru—mówił Moniche.

Chorobę, na którą zapadł i która niepokoiła lekarza, przywiózł sobie pan Rovère z letniego pobytu u wód w Aix-les-Bains tego lata. Sąsiedzi zauważyli natychmiast zmianę, jaką sprawiła ta kuracya u wód, z której powracał do Paryża człowiek widocznie cierpiący, kiedy przed wyjazdem był tylko zreumatyzmowanym, ale rześkim jeszcze. Od września począwszy, pan Rovère nie wychodził z pokoju, nie przyjmował nikogo, prócz leczącego go doktora i spędzał całe dnie w fotelu lub na szeszlengu; posługująca mu

pani Moniche czytywać musiała mu całemi godzinami dzienniki.

— Skoro mówię, że nie przyjmował nikogo — cisnął Moniche, kiedy pan D. sbrière, przypatrując się równocześnie zadanej ranie, wciąż rozpytywał portyera, a reporterzy słuchali go uważnie — myślę się. Bywał u niego zawsze „ten pan“.

I spojrzął na żonę.

— Co za pan?

Odźwierna wstrząsnęła głową, jak gdyby obawiała się odpowiedzieć.

— O kim mówicie? — badał komisarz oboje.

W tej chwili Bernardet, który na progu biblioteki, przyległej do salonu, badał oczyma ten pokój, w którym przebywał zazwyczaj lokator i z którego wyjść musiał na chwilę zaledwie przed śmiercią, poniesioną o kilka kroków tylko od biurka, Bernardet, którego słuch równie był delikstnym, jak bystrem było oko, zbliżył się ostrożnie i słuchał, przygryzłszy wargi.

— Co za pan? O jakim to panu mówicie? — pytał komisarz cokolwiek szorstko, bo zauważył, że i portyer i jego żona wahają się czegoś.

— Cóż to? — dodał. — Co to ma znaczyć?

— A no, to tak, panie komisarzu, cała rzecz... Może to i nie ma w gruncie wielkiego znaczenia... Ale może to i coś znaczyć!

I portyer opowiedział, jak pewnego wieczora pan jakiś, „bardzo porządny“ zresztą i bardzo

grzeczny, przyszedł pytać o pana Rovère, wszedł na górę do lokatora i bawił tam bardzo długo. Było to tak może w połowie października. Odźwierna, która podówczas zapalała gaz na schodach, kiedy gość ów wychodził od pana Rovère, od tego pierwszego dnia zaraz zauważyła, że jegomość ów (Moniche nazywał już owego pana „jegomością“) był jakiś pomieszany, że był bardzo blady i oczy miał zaczerwienione.

Później od czasu do czasu jegomość ten ponawiał swe wizyty. Niejednokrotnie żona portyera starała dowiedzieć się jego nazwiska. Ale nieznanem jej ono było do tej pory. Raz, kiedy zapytała o to pana Rovère, ten odpowiedział jej dość opryskliwie: „Cóż to was może obchodzić?“ Więc nie pytała już więcej, ale nie wiedzieć czemu, jakoś zawsze względem tego jegomości była nieufną.

— Jakiś instynkt, panie komisarzu, jakiś instynkt mówił mi zawsze...

— To głupstwo — przerwał pan Desbrière. — Gdyby iść tylko za instynktem, piękne miewalibyśmy pomyłki!

— O, tu jest coś więcej nad instynkt, panie...

— A, a! Słuchajmyż...

Bernardet, z okiem utkwionem w odźwierną, pilnie uważał na każde słowo jej opowiadania, które przerywała chwilami, by dopełnić lub osłabić jaki szczegół; od czasu do czasu wszakże wzrok agenta biegł do trupa, który z roztwartemi usty,

z pałającymi, dzikimi oczyma, zdał się przysłuchiwać wszystkiemu również.

Otóż, pani Moniche, jak wiadomo, wchodziła wedle upodobania do pana Rovère. Była ona równocześnie jego gospodynią, lektorką i powiernicą. Rovère był szorstki, ale dobry. Co najwyżej, jeśli odzwierna, powodowana ciekawością, weszła do niego niespodzianie, powiadał jej:

— Ach, to wy, wy! Przecież nie dzwoniłem?

Dzwonek elektryczny łączył mieszkanie lokatora z lożą portyera. Zazwyczaj odpowiadała ona wówczas:

— Zdawało mi się, że pan dzwonił — i korzystała ze sposobności, by poprawić ogień na kominku, o którym pan Rovère, zajęty czytaniem lub pianiem, zapominał najczęściej.

Wogóle była ona do niego przywiązana. Dbała o to, by nie zziął a w ostatnich czasach jakkolwiek żądał stanowczo, by go pozostawiono samego, wchodziła po cichu do jego mieszkania jak najczęściej, pod jakim bądź pozorem, wiedząc, że pan Rovère jest chory a nawet, jak mąż jej twierdził, bardzo chory, ażeby w razie potrzeby przyjść mu z pomocą. Otóż pewnego wieczora, jak raz ca dwa dni przed morderstwem, tak na dwa dni właśnie, we wtorek—pani Moniche weszła do gabinetu Rovère'a w chwili, kiedy odwiedzający ów jegomość był u niego. Ku swemu zdziwieniu, odzwierna zastała obu mężczyzn stojących przed otwartą kasą ogniotrwałą pana Ro-

vèra i przeglądających papiery tego „biednego pana”.

Rovère był straszliwie blady, policzki mu zapadły a ten drugi, nachylony nad nim, badał te papiery chciwemi oczyma; pani Moniche widziała dobrze, że to były listy zastawne, walory, renty...

Spostrzegłszy odźwierną, która na ten widok zawahała się i stanęła na progu, pan Rovère zmarszczył brwi i machinalnie zrobił taki ruch, jak gdyby chciał zebrać rozsypane papiery i złożyć je razem. Ale żona portyera wymówiła: „Przepraszam!” — i cofnęła się natychmiast. Tylko — ach! miała dość czasu zauważyć dobrze kasę żelazną i ciężkie drzwi u niej otwarte, klucze wiszące przy zamku i pana Rovère w szlafroku przed obligacyami złotemi i niebieskiemi, innemi znów z pieczęciami i jakimiś wstęgami. To nawet zauważyła również, że był czegoś w złym humorze, jakby niezadowolony z jej wejścia, ale nic nie powiedział, ani słowa.

— *A tamten?*

— Tamten był tak samo blady, jak pan Rovère. Zresztą był on podobny do naszego lokatora, może to nawet był jaki jego krewny.

Odźwierna zauważyła tylko wyraz twarzy, z jakim przyglądał się papierom, które przedstawiały gotówkę i to dzikie spojrzenie, jakie rzucił na nią, kiedy otworzyła drzwi, nie wiedząc, jaki ją tam czeka widok.

Pani Moniche zeszła na dół tak pomieszana, że nie zaraz opowiedziała mężowi o całym zajściu. Później dopiero wspomniała mu o tem wszystkim. *Jegomość* pozostał jeszcze zamknięty przez kilka godzin z panem Rovère, który leżał na szelagu i obaj, jak to słyszała odzwrotna przezdrowi, rozmawiali z sobą pocichu.

Co oni tam sobie mówili, tego ona nie wiedziała. Do niej dochodził szept tylko. Daremnie wyteżała słuch, dochodził tylko szmer; ani jednego wyraźnego nie słysząc było słowa. Jednakże, kiedy gość wyszedł, tego dnia słyszała i zapamiętała sobie, jak pan Rovère wymówił te słowa:

— *Powinienem był powiedzieć mu wszystko może...*

Czy to umarły miał jakąś ciężką mu tajemnicę, której brzemie podzielał z *owym drugim*? I kto to był ów drugi? Może współwinowajca!

Wszystko, co mówiła, wszystko, o czem zawiadamiła komisarza policyi i dziennikarzy, pani Moniche wypowiadała z pewnemi przemilczeniami, z trwożnemi minkami, westchnieniami powątpiewającemi, z giestami, domysłnikami i Bernardet słuchał, notując w pamięci każde ze słów tej kobiety, i te jej orzeczenia właściwe jej klasie, i melodramatyczne ploteczki, któremi przystrajała istotne informacye, których pewność sprawdzał, wszystko to zapisywało się w jego mózgu z taką jasnością i stanowczością, jak przed

chwila obraz trupa, wyraz jego — oczu odbił się na kliszy fotograficznej.

Usiłował oddzielić wszystko, co mogło być niezaprzeczonego w tem pierwszym zeznaniu, w którym ujawniała się kobieta z ludu, gadatliwa, niedyskretna i uprzedzona, rada, że może odegrać jakąś rolę, że na chwilę bodaj wychodzi na ważną osobistość. Kontrolował on w myśli opowiadanie odzwiernej, przerywane uwagami męża, który teraz, kiedy żona oskarżała *jegomością*, powstrzymywał ją wzrokiem, często nawet kładąc jej rękę na ramieniu i mówiąc:

— Trzeba poczekać.. Przecież ten pan miał taką minę pocziwiał..

Wówczas odzwierna giestem uroczystym ukazując trupa rozciągniętego na dywanie, dorzucała:

— No, a pan Rovère, czyż i on nie wyglądał na pocziwego człowieka a jednak czyż mu to przeszkodziło znaleźć się dziś tutaj!

Bernardet uśmiechnął się zlekka filuternie:

— Ma on wciąż jeszcze minę pocziwego człowieka — wtrącił przyglądając się zmarłemu — nawet dzielnego, śmiałego człowieka, który odważnie spogląda zbrodniarzowi w oczy! Jestem pewien — dodał zwolna agent policyjny — że gdyby możebnem było zajrzeć w ostatnią myśl tego mózgu, który już przestał myśleć, odczytać w tych oczach, które nic już nie widzą, ostatni obraz, na który patrzyły, dowiedzielibyśmy się wszystkiego o tym człowieku, o którym pani teraz mówisz

i o tem, w jaki sposób wasz lokator został zabity!

— Może on sam odebrał sobie życie — ozwał się komisarz.

Ale hipoteza zamobójstwa była wprost niemożliwą, jak mu na to uwagę zwrócił Bernardet, ku wielkiemu zadowoleniu reporterów, którzy zapisywali swe notatniki kursywem i stenograficznemi hieroglifami. Rana była zbyt głęboką na to, by ją zadała ręka samegoż zmarłego. A wreszcie musianooby znaleźć broń, jaką zadana została ta straszliwa rozwarta rana, przez którą uszło życie.

Dokoła trupa zaś nie było żadnej broni. Morderca zabrał ją z sobą, uciekając, lub porzucił gdzieś w mieszkaniu. O tem wiedzieć się będzie niebawem,

Niepotrzebną tu jest nawet autopsya, aby orzec, zemiąto miejsce morderstwo. To było widocznem, jak orzekł sam komisarz, który już nie powątpiewał teraz. Autopsya wszakże musi nastąpić.

I z szczególnem naleganiem, które zdumiewało nieco komisarza policyi, Bernardet, wielce uprzejmie, grzecznie, ale widocznie zajęty jakąś specjalną myślą, począł prosić, błagać niemal pana Desbrière, żeby zawiadomił prokuratora Rzeczypospolitej i aby co najprędzej przenieść zmarłego do Morgi.

— Biedny pan! — wołała pani Moniche — Do Morgi, on do Morgi!

A Bernardet uspakajał stanowczym tonem:

— To potrzebne. Takie jest prawo. O, panie komisarzu, panie komisarzu, pośpieszmy się, pośpieszmy. Powiem panu później dla czego. Czas zyskany—raczej czas oszczędzony—to ty leż, co odkryty morderca.

Kiedy Desbrière posyłał agenta do biura telefonicznego, by zawiadomić prokuratora i prosić go o śpieszne przybycie na bulwar Clichy, pani Meniche tymczasem oddawała się wobec reporterów rozważaniom filozoficznym, nad przeznaczeniem ludzkim, które w sposób nieprzewidywany i brutalnie okrutny, skazywało tak poważanego jak pan Rovère lokatora, na poniewieranie się na stołach Morgi po śmierci, jak jakiś tam włóczęga lub obdartus—jego „co tak mało wychodził z domu, co tak lubił swój cichy kącik”.

— Wieczysta antyteza życia—odpowiadał Paweł Rodier, notując natychmiast własną uwagę.

Czas ubiegał na oczekiwaniu prokuratora a przez zamknięte żaluzye zgiełk tłumu zebranego na trotuarze bulwarowym, wdzierał się aż tutaj i niewyraźny, zmieszany obijał o ściany salonu, w którym leżał umarły. Komisarz pisał raport na rogu stołu przy blasku świecy a od czasu do czasu zapytywał o jakiś szczegół Bernardeta, który zdał się niecierpliwieć tak długiem oczekiwaniem.

Zwolna jakaś ciężąca, ołowiana cisza zaległa w mieszkaniu pana Rovère i ci ludzie, którzy przed chwilą jeszcze zamieniali na cały głos uwagi, wszyscy, począwszy od komisarza aż do odźwiernej, szeptali teraz z cicha jak w pokuju konającego.

Nagle ostry głos dzwonka rozległ się wśród ciszy mieszkania a Bernardet odgadł, że to przybywa prokurator Republiki niezawodnie. Agent spojrział na zegarek, skromny, srebrny zegarek genewski, który jednak był mu miłym jako dar żony — i szepnął:

— Mały czas!

Istotnie był to prokurator, przybywający w towarzystwie sędziego śledczego, pana Ginory, zwanego przez obwinionych „kleszczami“ tak ich bowiem przyciskał w śledztwie, skoro się dostali w jego ręce. Ginory przypadkowo był w gabinecie prokuratora w chwili, kiedy agent zawiadamiał pana Jacquelin des Audrays i obaj urzędnicy razem przybyli na miejsce.

Bernardet znał ich obu dobrze. Nieraz już „pracował“ razem z nimi a pan Jacquelin nawet podobał mu się. Wiedział również, że Ginory jest nawskroś prawym człowiekiem, bardzo poczciwym, aczkolwiek niezmiernie go się obawiano; wiedział, że szukając prawdy, nie miał zwyczaju wierzyć z góry w winę tych, których trzymał w swych *kleszczach*. Pan Jacquelin był to człowiek młody jeszcze, wysmukły, elegancki, szczególnie zapięty w długi, obcisły tużurek, z rzadkimi włosami, jasnymi faworytami, wygolony, wyfryzowany z szkłem binokli na niebieskich oczach. Wstążeczka czerwona, orderowa w butonierce, była może nieco za szeroka, niby gwoździć wtknięty tam przez kokieteryę.

Zupełny kontrast z tym urzędnikiem światowcem, stanowił obok niego stojący sędzia śledczy, gruby, krótki i krwisty, z małym zadartym noskiem wyżła, twarzą o szeroko rozwiniętych szczękach, w ubraniu zbyt przestronem, z krawatem zawiązanym niedbale niby sznurek czarny, w kapeluszu nawpół oczyszczonym za ledwie, wy-

glądał przy tamtym na jakiegoś uczonego, profesora lub kolekcjonistę, który w skórzanej tece napchanej papierami, więcej miał chyba broszur i książek cennych, niż aktów sądowych.

Pan Ginory, silnie zbudowany i czynny mimo lat piędziesięciu pięciu już przebytych, wchodził do tego domu zbrodni jak topograf, nawykły do zdejmowania planów, dla którego oryentowanie się w krajach całkiem sobie nieznanym nawet, nie przedstawia żadnych zgoła trudności.

Przystąpił wprost do trupa, kazawszy sobie na wstępie zaraz wytłomaczyć pozycję ciała—i prokurator wraz z nim stali przez chwilę nad zamordowanym, zdając sobie sprawę z tych szczegółów, które następnie kierują się sędziowie i które służą do objaśnienia przysięgłych.

Prokurator spytał Desbrièr'a, czy zredagował już raport, a kiedy komisarz przedłożył mu go, począł czytać z oznakami zadowolenia. Przez ten czas Bernardet podszedł był do pana Ginory z ukłonem, wzrokiem wyrażając życzenie pomówienia z nim na osobności, co sędzia zrozumiał natychmiast.

— A to pan, Bernardecie? Masz mi co powiedzieć?

— Tak, panie sędzio. Przychodzę błagać pana o przyspieszenie wysyłki tego trupa do sali autopsyjnej!

Zwolna, nieznacznie niemal krokami, pociągał sędziownika ku oknu, zdala od reporterów, którzy

— Mogliby posłyszeć to, co mówi, a kiedy byli już prawie zupełnie odosobnieni w rogu salonu, w pobliżu biblioteki Rovère'a rzekł:

— Chodzi tu o doświadczenie, które powinno być chyba nęcią takiego jak pan człowieka!

Bernardet wiedział dobrze, że sędzia Ginory, pracowity do zaciekłości niemal, lubujący się we wszelkich nowych dochodzeniach naukowych, umysł niezmiernie rozległy, sposobny do badań, chciwy zrozumienia wszystkiego, nie odmawiał nigdy żadnego eksperymentu, który mógłby w czemkolwiek dopomódz sprawiedliwości. Niedarmo przecież Akademia nauk moralnych i politycznych uwieńczyła zeszłego roku dzieło jednego z sędziów śledczych o „Obowiązku sędziego wobec nowych odkryć nauki“.

Wyraz *doświadczenie* bynajmniej nie mógł odstraszyć pana Ginory.

— Co przez to rozumiesz, Bernardet? — spytał agenta.

Bernardet wstrząsnął głową, chcąc tym sposobem dać do zrozumienia sędziemu, że wytłomaczenie żądane byłoby dość długiem. Nie byli sami. Mógł ich kto posłyszeć. Gdyby zaś który dziennik opowiedział potem szczególną propozycję, o którą tu chodziło...

— Ach, ach! — wymówił sędzia. — Więc to twoje doświadczenie, panie Bernardet, jest jakieś osobliwe?

— Inny sędownik, nie pan, panie Ginory, uznałby je może niestosownem... albo, co gorsza jeszcze, śmieszuem... Ale pan!... O! nie mówię tego przez pochlebstwo, panie sędzio — dodał żywo agent, widząc, że te pochwały ambarasują cokolwiek człowieka, zazwyczaj ich unikającego — mówię, ponieważ to szczerą prawdą i każdy inny niezawodnie uważałby mnie za wartogłowa. Pan, nie! Sędzia patrzył ciekawie na małego człowieczka, którego cała postawa, pochylona nieco naprzód i uległa, zdawała się błagać i wyczekiwać na przychylną odpowiedź i który, sądząc z iskrzących oczu, musiał powziąć pomysł jakiś niepospolity.

— Co to za pokój? — spytał sędzia śledczy, wskazując bibliotekę, do której drzwi stały nawpół otwarte.

— To biuro pana Rovère... ofiary...

— Wejźmy tam! — przemówił Ginory.

Byli zdala od przysłuchujących się ich rozmowie. Mogli mówić swobodnie.

Machinalnie wchodząc do tego pokoju, sędzia rzucił na tomy ustawione starannie na półkach biblioteki, wzrokiem lubownika książek, zastanawiając się przy tytule rzadszego jakiegoś dzieła i usiadłszy na fotelu, dał znak agentowi bezpieczeństwa, stojącemu przed nim z kapeluszem w ręce, by teraz mówić.

— Panie sędzio — zaczął Bernardet — z góry przepraszam naprzód, że ośmielam się dawać mu

jakąś radę, czy prosić go o łaskę. Ale zastrzegając się, że bynajmniej nie mam zamiaru porównywania się z panem, który jesteś erudytem powiem jednak, że i ja, jak pan, jestem człowiekiem ciekawym. Ja niedojdę nigdy do akademii, ale pan tam dojdiesz...

— Bernardet, dajże pokój, Bernardet!

— Ale pan tam zasiądziesz, panie Ginory, i ja jednak w mojej skromnej sferze usiłuję iść za biegiem tego wszystkiego, o czem się dokoła mnie mówi i pisze. Miałem podówczas służbę w Akademii, kiedy wieńczono piękną pracę pańską i kiedy to sekretarz dożywotni Akademii mówił o tych sędziach, którzy umieją łączyć zamiłowanie do nauki ze służbą sprawiedliwości; i pomyślałem sobie wówczas, że niżej, bez porównania niżej, na ostatnim szczeblu tej drabiny, panie sędzio, mogą istnieć również ludzie, co starają się uczyć i śledzą wedle możliwości za postępem wiedzy, nie zaniedbując jeszcze przeto swych obowiązków.

— O, ja znam cię, Bernardet. Pański naczelnik często wspominał mi o panu.

— Wiem. Pan Leriche jest bardzo dobry dla mnie. Ale wszystko, co mówię, nie mówię dla tego, bym się chciał chwalić, panie sędzio, pragnąłem tylko wzbudzić w panu zaufanie, usiłowałem obudzić zaufanie, bo to, co mam panu powiedzieć jest tak dziwne... tak dziwne...

Bernardet przerwał sobie i wyrzekł nagle:

— Założyłbym się, że gdybym powiedział jakiemu lekarzowi to, co panu teraz mam powiedzieć, kazałby mnie zamknąć w domu obłąkanych. A jednak ja nie jestem waryatem, wierzą mi pan. Nie, tylko szukam wciąż, szukam. Wydaje mi się, że jest wielka moc wynalazków obecnie, które my, my służba policyjna, powinniśmy zużytkować. A chociaż ja jestem tylko inspektorem podrzędnym...

— Dajże pokój, daj pokój—przezwał mu z tywłością sędzia śledczy, ruchem głowy ukazując drzwi salonu, w którym prokurator przydawał śledztwu przedwstępnemu—zdając się mówić „Tam pracują, badają, czekają na nas może, by przystąpić do działania. Śpiesz się!”

— Postaram się o ile możności załatwić wszystko szybko—ozwał się Bernardet, który to spojrzenie dobrze zrozumiał.

— Panie sędzio (a słowa jego w samej rzeczy biegły teraz szybko, stanowczo, zmierzając wprost do celu), przed trzydziestu laty może, przed trzydziestu sześciu, jeśli mam być ściśłym, dzienniki amerykańskie, nie polityczne co prawda, ale naukowe, doniosły identycznie, że dagerotyp—dagerotyp!—a ileż od tego czasu postąpiliśmy na polu fotografii—dozwolił odnaleźć na siatkówce w głębi oka zamordowanego, obraz tego, który mu cios zadawał.

— Pamiętam. Tak, pamiętam — odrzekł pan Ginory.

— W r. 1860 byłem za młody jeszcze i nie mogło mnie kusić zdanie sobie sprawy z wagi tego odkrycia, nie mogłem zapragnąć przekonać się osobiście o jego prawdziwości. Uwielbiam fotografię jak uwielbiam mój zawód, panie sędzio. Chwile wolne od czynności obowiązkowych, poświęcam temu zajęciu. A pomysł tego, co panu zamierzam proponować, przyszedł mi przypadkiem, kiedy kupiłem sobie na bulwarach rocznik z r. 1869 „Towarzystwa medycyny sądowej“, w którym doktor Vernois zdaje sprawę z komunikatu, przesłanego Towarzystwa przez jednego z prowincjonalnych lekarzy, który przysyłał notatki oraz próby fotograficzne, z takim podpisem: „Fotografia zdjęta z siatkówki kobiety zamordowanej 14-go czerwca 1868“...

— Tak—potwierdził pan Ginory.—To komunikat doktora Bourion z Darnez (w Wogezach).

— Tak właśnie, panie sędzio!

— A załączona przez doktora próba, przedstawiała chwilę, w której, po zadaniu ciosu matce, morderca zabijał dziecko, kiedy pies domowy rzucał się ku wózkowi, w którym spoczywała mała ofiara.

— Tak, panie Ginory.

— Ale doktor Vernois, skoro czytałeś, panie Bernardet, jego raport...

— Przypadkiem, panie sędzio. Znalazłem to u jakiegoś antykwaryusza i od tej chwili zapalała mi się coraz... coraz więcej głowa do tej myśli...

— Doktor Vernois, biedny mój chłopcze, podał to wszystko doświadczeniom. Naprzód próby przysłane przez owego lekarza z Wogezów były tak niewyraźne, że nikt nie mógł w nich dopatrzyć się tego, co Bourion oświadczał, iż widzi. Skoro zatem Vernois, który był człowiekiem wielkiej wartości naukowej, nic nie znalazł, nic, mówię, coby usprawiedliwiało twierdzenia doktora Bourion, dlaczegóż chciałbyś, abysmy dziś jeszcze zastanawiali się nad temi poszukiwaniami? Dziś się nie mówi już o tych eksperymentach, Bernardecie, nikt już dziś o nich nie myśli!

— Przepraszam pana, panie sędzio, ale można by, powinno by się myśleć jeszcze. W każdym razie, ja nad nimi rozmyślam, mnie one nie mogą wyjść z głowy!

A kiedy uśmiech powątpiewania zawisł na ustach pana Ginory:

— Wszakże udało się znaleźć fotografie rzeczy niedojrzalnych. Promienie roentgenowskie, te sławne promienie X, nie jestże to również nie do wiary, jak fotografia mordercy na siatkówce umierającego, o czem mówiły amerykańskie dzienniki? Ci amerykanie, to wynalazcy szaleństw, ale niemniej przeto są przodownikami i zwiaśtanami prawd nowych. Oni zawsze idą na samym czele—przodem. Czyż nie udało im się pochwycić ostatniego westchnienia konających, za pomocą fotografii? Czy nie utrwalają na swych pły-

tach tej rzeczy tajemniczej, która nas pociąga... rzeczy niewidzialnych? Przerzucają przez przepaści tego co nieznanego—mosty, jak je przerzucają po grzbieciech swych rzek olbrzymich i swych przepaści—i dochodzą zawsze do celu!

— Przepraszam pana, panie sędzio — dodał agent przerywając sobie, wobec nieco zdziwionego spojrzenia pana Ginory—wyglądam na frazesowicza, ja co się tak brzydzę frazesami.

— Po co mi to mówisz, Bernardet? Czy dlatego że mam minę zdziwioną tem wszystkim, o czem mi opowiadasz? Nietylko, że jestem zdziwiony, ale zachwycony jestem. Mów dalej, mów proszę, dalej!

— A zatem, panie sędzio, to co jest szaleństwem dzisiaj, będzie rzeczywistością jutro, będzie prawdą! Fakt jest zawsze faktem. Doktor Vernois daremnie powtarzał swe doświadczenia wprost sprzeczne, niemniej przeto eksperyment doktora Bourion je poprzedził, a jeżeli Vernois nie dopatrył w fotografii zdjętej z siatkówki kobiety zamordowanej 14-go czerwca 1868, ja tam widziałem przez szkło powiększające, dokładnie badając próbę, przesłaną Towarzystwu medycznemu, reprodukowaną w buletynie tomu I-go fascykuł 2-gi z 1870, widziałem, dostrzegłem, odcyfrowałem ten obraz, który tam widział doktor Bourion a którego nie mógł dopatrzeć pan Vernois. Niewyraźną jest ta próba, niedokładną—

przynaję! Ale istnieją przecież i źwierciadła zasleplę, nieodbijające dokładnie a które przecież odtwarzają cień postaci, jeśli już nie jej kontury. A ja widziałem, widziałem naprawdę, widziałem co się zowie widmo mordercy, które tam spostrzegł ów doktor z Wogezów a które uszło badań członka Akademii medycznej, rady higienicznej, lekarza honorowego szpitala Hôtel-Dieu.

Sędzia, który słuchał agenta z zaciekawieniem, począł śmiać się i zwrócił uwagę Bernardetowi, że według jego rozumowania, należałoby poświęcić i podporządkować wiedzę sławnego lekarza, instynktowi, darowi dywinacyjnemu prowincjonalnego doktora i że zbyt to rzecz łatwa przeczyć akademikom a wynosić pod niebiosa niezależnych.

— O, panie sędzio, daruj, ja nie przynaję nikomu racyi i nie oponuję nikomu. Doktorowi Bourion zdawało się, że zrobił odkrycie, Maksym Vernois był przekonany, że Bourion nic zgoła nie odkrył. Jeden i drugi działali w dobrej wierze. Co chciałem tu skonstatować, to to, że od lat dwudziestu sześciu nikt już nie usiłował badać, nikt nie robił dociekań w kierunku pierwszego doświadczenia i że po prostu złożono ad acta komunikat doktora z Wogezów.

— Teraz z kolei ja cię przepraszam, Bernardet—odpowiedział sędzia śledczy nieco ironicznie—

studytowałem i ja także tę kwestyę, która wydawała mi się ciekawą...

— Czy zdejmowałeś pan sam fotografie, panie sędzio?

— Nie.

— Ach—odparł Bernardet—w tem rzecz właśnie!

— Ale w 1877, wielce uczony dziekan Akademii medycznej, Brouardel, którego wysoka wiedza i wszechpotężna opinia jest niemal prawem, Brouardel, jeden z ludzi, którymi słusznie kraj nasz się szczyci, mówił mi, że kiedy był w Heidelbergu, profesor Kuhne, dawny preparator Clau-de Bernarda, oznajmił mu, że on sam, Kuhne, podjął napowrót tę kwestyę! No i profesorowi Kuhne udało się uczynić wrażliwą siatkówkę w następnem doświadczeniu: po śmierci psów i królików, usuwał on część wewnętrzną oka, odwracał część jego tylną, wystawiał ją na działanie światła i umieszczał między światłem a okiem rodzaj kratki utworzonej z drobnych ostrzy stalowych. Kratka ta po upływie kwadransa, widoczną była na siatkówce. Są to jednak doświadczenia całkiem różne od wyników obwieszczanych w Ameryce.

— Widziano kratkę, panie sędzio. Skoro kratka była widzialną, dlaczego nie mogłaby nią być twarz mordercy?

— A, robiono i inne doświadczenia, nawet już

po tych, o których profesor Kuhne wspominał znakomitemu naszemu rodakowi, panu Brouardel. Wszystkie one jednak, wszystkie, uważaj pan, wydały negatywne tylko rezultaty; i Brouardel powiedziałby ci to lepiej odemnie, że w traktatach fizyologii i okulistyki, ogłoszonych w przeciągu dziesięciu lat ostatnich, nie było już i wzmianki o tym utrwaleniu się obrazu na siatkówce po śmierci. Sprawa to, z którą się już załatwiono, Bernardet, już załatwiono zupełnie...

— A jednak, panie sędzio, jednak! — wyrzekł z akcentem głębokiej wiary agent bezpieczeństwa.

I dodał, wstrząsając głową i zaciśniętą ręką:

— Jednakże! Jednakże!...

— Nie jesteś pan jeszcze przekonany?

— Nie, panie sędzio. I chcesz pan, żebym powiedział co myślę? Pan sam, mimo świadectw tak sławnych uczonych i mistrzów, pan sam zachowałeś pewną wątpliwość. Wybacz mi pan, proszę, ale widzę to w pańskich oczach!

— To także osobliwy sposób posługiwania się siatkówką — odrzucił Ginory drwiąco. — Odczytujesz pan myśli.

— Nie, panie sędzio, ale pan jesteś człowiekiem zbyt wysokiej inteligencji, abym nie ośmielił się powiedzieć mu, że żadna sprawa nie może być nieodwołalnie załatwioną na tym świecie, że każdą kwestyę podjąć można na nowo i, patrz

pan, przed chwilą widząc oczy tego trupa, co tam leży, takie pełne wymowy, przyszła mi myśl spróbowania na nim tego eksperymentu, mnie proslakowi, który podjąłbym w tej chwili to doświadczenie, gdybym tylko miał moc przeprowadzenia tego. Tak, panie, czyś pan widział oczy tego trupa? Zda się, że one przemawiają do człowieka. Zdaje się, że widzą jeszcze. Mają wyraz, mają siłę życiową. Widzą one, mówię panu, widzą. Patrzą w coś, czego my nie widzimy a co jest przerażającym. Mają one, tego mi nikt nie wybije z głowy, mają na siatkówce odblask ostatniej istoty, którą zamordowany ujrzał przed śmiercią. Patrzą na nią jeszcze, panie sędzio i zachowały jej obraz. Zrobią autopsję trupa. Powiedzą nam, że miał gardło przecięte. A przecież my o tem już wiemy, do licha! To widzimy! Portyer Moniche powiedziałby to równie dobrze jak lekarz. Ale niechaj spytają oczu, oczu, panie sędzio, niechaj poszukają w tej ciemnej komórce, w której ukazuje się obraz na siatkówce, jak na płycie fotografa, niechaj spytają oczu umarłego o ich tajemnicę, a jestem pewien, że ją znajdą!

— Uparty pan jesteś, Bernardet.

— Och, bardzo uparty, panie sędzio i bardzo wytrwały. Fotografie, zdjęte moim aparatem, dadzą nam wyraz spojrzenia, stronę oczu zewnętrzzną, jeśli tak można powiedzieć; te któreby

zdjęto z siatkówki, odsłoniłyby nam samą tajemnicę konania. A zresztą, jeśli się myślę, na jakież narażamy się niebezpieczeństwo, podejmując ten eksperyment? Otworzą te nieszęsne oczy i to będzie okropnem niezawodnie, ale skoro rozplatają te ciało w Mordze, skoro rozszerzą, pogłębią ranę na szyi, kiedy pokrają i potną to ciało ludzkie, czyż w tem będzie większe poszanowanie zwłok zmarłego? Ach, panie sędzio, panie sędzio, gdybym tylko miał moc!...

Wszystko zresztą, co mówił agent, nie przechodziło dla pana Ginory bez wrażenia i, jakkolwiek pozostał on przy swem pierwotnem przekonaniu, nie byłby dalekim może od myśli podjęcia nowej próby. Któż może powiedzieć nauce: „*dotąd a nie dalej!*” i narzucić jej nieprzekroczoną granicę tego ostatniego słowa polityków, któremu tylekroć kłam zadała historia: *Nigdy?*

— Zobaczymy, Beruaret — odparł wreszcie,

I w tem „zobaczymy” był już jakoby pozór obietnicy.

— Ach, gdybyś pan zechciał! A czemuż to jest dla pana, co na tem tracisz?—dorzucił Bernarret nagląco, błagalnie niemal.

— Skończmy naprzód nasze zadanie tutaj—odpowiedział żywo sędzia śledczy—czekają mnie tu obok.

Opuścił gabinet biblioteczny Rovère'a, raz jeszcze instynktownie objawszy okiem bibliofila okładki książek i wszedł do salonu, gdzie pan Jacquelin des Audrays z pewnością już ukończył wszystkie protokoły.

VI.

Prokurator zamierzał właśnie przyzwać sędziego śledczego. Wszystko było ukończonem w samej rzeczy. Sędownik zbadał pozycję trupa, obejrzał ranę a teraz, udzielając swych spostrzeżeń panu Ginory, nie ukrywał przed nim, że według jego mniemania, zbrodnię popełnił tu *murderca z profesyi*, tak pewną ręką widocznie cios noża był wymierzony, tak stanowczo podług wszelkich reguł.

— Oglądając tę ranę, powiedziałbyś, że ją zadał czeladnik rzeźniczy!

Pan Ginory odparł:

— Tak, bezwątpienia. Choć kto to wie. Siła fizyczna może bezwarunkowo również dać tenże sam rezultat co zręczność i wprawa...

Bezporównania więcej zachwiany w swych poglądach, niż to chciał okazać, osobliwą rozmową, jaka miała miejsce między nim a agentem bezpieczeństwa, sędzia śledczy stał teraz u nóg trupa i przypatrywał się, utkwivszy wzrok niemal surowy, nie w ranie rozwartej, o której mu mówił pan Jacquelin, ale w tych oczach, w tych

oczach nieruchomych, tych oczach których dotąd nie zaćmiewała jeszcze mgła śmierci a które rozwarłe, przerażające, płonące gniewem, groźne, brzemienne oskarżeniem i ożywione zemstą, odpowiadały na jego spojrzenie spojrzeniem nieruchomem, potężnie energicznem.

To prawda, to prawda! Te oczy żyły, te oczy przemawiały. Wołały doń o sprawiedliwość. Zachowały śnać obraz jakiejś wizji straszliwej, wyraz wściekłości gwałtownej. Piorunowały kogoś. Groziły komuś.

— Komu?..

A jeśli jednak ów ktoś utrwalił się bodaj w tem ostatniem zjawisku na czarnem zwierciadku siatkówki! Jeśli twarz jego odbiła się, jeśli zarysowuje się teraz jeszcze w głębi tych oczu szeroko rozwartych! Ten dziwak Bernardet, półwryśt, różnamiętniający się do wszelkich nowości, do wszystkiego, co tajemnicze, co przechodzi przez mózgi fantastów, zaniepokoił go ot teraz, jego, co wierzy tylko w statystykę, w fakta!

Ale bo też rzeczy niewiadome, niedocieczone, są także faktem i kto wie, czy odkrycia zjawisk dziś nieznanych, tajemniczych nie będą mieć czasem także swych tablic i praw swoich w statystyce przyszłej. Doprawdy, te oczy zmarłego zdały się wołać, wymieniać mordercę, mówić, wskazywać kogoś.

Jaki mógłby być straszliwszy, jaki wymowniejszy świadek nad samego zmarłego, gdyby

to było podobieństwem, gdyby oko zmarłego mówić mogło, gdyby ten organ życia zawierał, przechowywał tajemnicę śmierci!

Bernardet, którego wzrok nie opuszczał twarzy sędziego, mógł być zadowolony, bo cała twarz ta wyrażała powątpiewanie, wahanie pewne — i agent postyszał, jak pan Ginory kłął przez zęby:

— Szaleństwo!... Głupota!... Ba, zobaczymy!

Było to powtórzenie poprzednio wymówionego słowa. Bernardet nabierał coraz większej nadziei.

— A zatem — przerwał pan Jacquelin des Anbrays — widzieliśmy już wszystko, co należało zapamiętać, nieprawdaż?

— Tak, tak — potwierdził sędzia śledczy.

Postanowiono zresztą, że teraz należy jaknajprędzej odejść zwłoki do Morgi. Tam dopiero można będzie zbadać ciało dokładnie i naukowo. Reporter słuchał wciąż rozmowy a pani Moniche łamała ręce, coraz bardziej przerażona tą nazwą *Morgi*, która na ludzkie wywiera przygnębiające wrażenie, równoznaczne z innym pojęciem — acz tamto winnoby być synonimem starań, nauki, ratunku — *szpitala*.

Należało jeszcze tylko wybadać sąsiadów sumarycznie, zdjęć szkic rozkładu salonu — i Bernardet mówił sędziemu: „Moja fotografia da nam to wszystko” — a kiedy posłano po powóz dla przewiezienia trupa, kiedy sędziowicy już się od-

dalali, komisarz policyi obstawił agentami dom na bulwarze; tłum przed nim zwiększał się z każdą chwilą, coraz to ciekawszy, gwałtowniejszy, mocniej wzruszony pragnieniem tego widowiska tak zawsze dlań ciekawego: zamordowanego człowieka.

Bernardet nie dopuścił, by sędzia śledczy odszedł, zanim go nie spytał raz jeszcze z całym uszanowaniem, czy mu pozwoli powrócić do tej kwestyi zdjęcia fotografii z siatkówki a pan Ginory, nie dając mu stanowczej w tym względzie odpowiedzi, powiedział po prostu tylko, żeby się znajdował w Mordze w chwili autopsyi. Oczywiście, jeśli sędzia nie byłby już zachwiałym w swych poglądach, odpowiedź jego byłaby wypadła całkiem inaczej. Do czego to mieszał się ten agent podrzędny, który ośmielał się podsuwać pomysł sposobu prowadzenia śledztwa sądowego.

Pan Ginory oddawna byłby już powiedział mu, że powinien raczej zajmować się swemi wyprawami nocnymi, swemi hotelikami podrzędnymi, gdyby nie to, że zdumiewający instykt tego człowieka, zajął odrazu sędzię, jak rodzaj żywej jakiejś powieści. Z obowiązków swego urzędu znał on zresztą biografię i stan służby tego arcy-ciekawego Bernardeta, który w prefekturze uchodził za służbistę wzorowego i z którego reporterzy byliby z łatwością zrobili typ legendowego jakiegoś agenta policyjnego, w rodzaju

Poego, gdyby nie to, że człowiek ten, bezwarunkowo skromny, namiętnie tylko oddany spełnianiu swej powinności, miał nieprzewyciężony wstręt do wszelkiej reklamy.

Ale sędziemu znany był niejeden rys poświęcenia Bernadeta! On to przecież spędził raz całą noc zimową, leżąc na ławce któregoś skwera i udając uspiołego pijaka, by zaaresztować, ranieńko, w jakieś ciupce w La Villette, mordercę, uzbrojonego od stóp do głowy. Bernardet to również, bez broni—jak wszyscy ci agenci—pochwyił słynnego bandytę, zwanego „bykiem z Glacière”: herkulesa leśnego, który zadusił swoją kochankę a którego on zaaresztował w ten sposób, że przyłożył mu do skroni zimną szyjkę butelki, wołając: „Poddaj się, bo inaczej roztrzaskam ci czaszkę!” Otóż to, co olbrzym brał za lufę rewolweru, było buteleczką, w której Bernardet, cierpiący podówczas na lekką anginę, nosił jakieś płukanie, które mu dano w aptece.

Faktów wojny wytoczonej włóczęgom, słoczyńcom, buntownikom, nie brakło w życiu Bernardeta i pan Ginory przekonał się, że ten człowiek, który, jak sądził, obdarzony jest tylko goryliwością i zwinnnością psa gończego—odznacza się szczególnie rozwiniętą inteligencją, skomplikowaną niemal i głęboką.

Bernardet, który nie był już na nic potrzebny, aż do chwili przeniesienia do Morgi zwłok ofia-

ry, wyszedł z domu przy bulwarze Clichy, natychmiast po odjeździe sędowników.

— Gdzie pan idziesz? — spytał go Paweł Rodier, reporter.

— Do domu. O dwa kroki stąd.

— Gdybym tak poszedł z panem? — zaproponował dziennikarz.

— Żeby mieć sposobność pociągnięcia mnie za język? Cóż, kiedy ja nic nie wiem, nic nie zgaduję, nic nie powiem.

— Czy przypuszczasz pan kradzież, czy zemstę?

— Jestem pewien, że kradzież nie miała miejsca. Wszystko nietknięte jest w mieszkaniu. Zresztą, kto to wie?...

— Panie Bernardet, panie Bernardet — mówił ze śmiechem reporter, idąc tuż obok agenta — pan nie chcesz mówić?

— Cóż to szkodzi? — rzekł Bernardet również z śmiechem. — Panu to nie przeszkodzi pisać!

— Tak pan sądzisz! — wtrącił Paweł Rodier. — Do widzenia, ja idę przepisać moje sprawozdanie. A pan?

— A ja idę robić moją fotografię!

Rozstali się a pan Bernardet z aparatem u boku, podążył do swego domku, do swych trzech córek, które smuciły się nagłym odejściem taty w niedzielę, a co gorsza jeszcze, w dzień jego urodzin! Powitały go wielkimi okrzykami ra-

dości, skoro się ukazał i biegały za nim, z pieszczotami, jak pieski.

— Tatko, przyszedł tatko!

I pani Bernardet również była uszczęśliwiona. Można będzie napowrót upozować dzieci w ogrodzie i dokończyć *grupy!*

Ale dzień zapadał, noc nadchodziła a Bernardet cały zajęty sprawą z bulwaru Clichy, potrzebował zamknąć się, by się zastanowić cokolwiek, by pracować, nawet dzisiaj!

— W dzień twoich urodzin? Ależ to twoje urodziny, mój mężu. Możesz sobie odpocząć!

— Odpocznę, kochanko, przy obiedzie. Mam całą masę jeszcze rzeczy do odczytania...

— W takim razie potrzeba ci lampy?

— Tak, dziecko, zapal mi lampę.

Obok pokoiku, w którym sypiał z żoną, agent zachował dla siebie, dla siebie samego tylko wyłącznie i dla swoich papierów kącik specjalny, niewiele co szerszy nad gabinetek gotowalniany, gdzie przed mahoniowym stołem, założonym książkami i stosami papierów, z podręcznikiem i zwyczajnym szkolnym kałamarzem, pracował ilekroć znalazł nieco czasu, czytając, robiąc wyciągi, wycinając obchodzące go ustępy dzienników i zlepiając te wycinki po całych godzinach.

Nikt tu nie wchodził do tego gabinetu, w którym gromadziły się stare papiery. Daremnie pa-

ni Bernardet powtarzała, że to „istne gniazdo mikrobów“, Bernardet czuł się najszczęśliwszym w tym zakątku, ilekroć mógł się doń dorwać, choć latem było tu okropnie duszno a zimą trzeba było pracować w nieopalonym.

Pani Bernardet zrozpaczona była utraconą perspektywą dnia wesołego; miała nadzieję zabawić się dziś tak dobrze; ale wiedziała doskonale, że ilekroć ciekawość męża była czemś zajęta, ilekroć zapragnął dociec czegoś, nie było sposobu wyperswadowania mu tego. Niczego nie posłuchał, a dziewczynki kiedy pytały czy ojciec przyjdzie pobawić się z niemi, musiały zawsze zadowolnić się odpowiedzią, dobrze sobie znaną ze względu że ją słyszały bardzo często:

— Tatko *pracuje* nad zbrodnią!

W języku policyjnym — daleko więcej malowniczo-gminnym — to się zwie „warzeniem“ zbrodni. Bernardetowi pilno było odnaleźć w dawnych piśmiech potwierdzenie swych nadziei, swej dzisiejszej pewności niemal. Dlatego to tak śpieszył do tego gabineciku, tak pragnął sam pozostać ze stosem ksiąg przy jasnej lampie. Skoło wszedł tylko, z pośród całych piramid, pokrytych kurzem papierów, zwitków wszelkiego rodzaju dziennikarskich wycinków, wygrzebał z pewnością właściwą bibliofilom, niewielki zeszyt w szarej okładce, w którym odczytywał tak niedawno jeszcze, z gorączkowym podziwem, poszukiwania

i raport doktora Vernois nad stosowaniem fotografii do dociekań kryminalnych.

Usiadł żywo i począł niecierpliwie przerzucać kartki zeszytu, tak często odczytywanego, studyowanego tak pilnie i pochylony nad raportem członka Akademii medycznej porównywał go z próbą fotograficzną, przedłożoną przez doktora Bourion towarzystwu medycyny sądowej, w której najuczeńsi nie mogli dopatrzeć się niczego.

— Nie mogli, czy nie chcieli może nie się dopatrzeć—mruknął agent.

Z czołem pochylonem w świetle lampy, przesuwając lupę nad fotografią, tak już dziś starą, nadesłaną niegdyś towarzystwu, Bernardet usiłował stwierdzić na niej obraz zbrodni — domniemany obraz zbrodni, jak to nazywał Vernois—z drobniactwem i skrupulatnością, z zaciętością paleografa, odczytującego stare rękopisy lub chemika, pochylonego nad doświadczalną retortą. Biedny, podrzędny urzędnik policyjny wnosił tę samą palącą żądzę, tenże zapał, takąż namiętność i takąż wiarę głęboką w pragnienie rozwiązania niepokojącego go problemu. Wszystkie żądze wiedzy mają jeśli nie tenże sam rezultat, w każdym razie przynajmniej identyczną przyczynę, ową uświęconą, błogosławioną ciekawość, tę ciekawość, co w dziesięćkroć pomnaża wartość życia ludzkiego.

Bernardet podejmował na uowo z metodą skrupulatnego sędziego śledczego, całą tę sprawę,

zdawna zapomniana, twierdzenia obalone prowincjonalnego lekarza; w samotności i ciszy małego gabinetu, przy ostatnich blaskach zachodu, co na papierach męszczy się z różowym światłem lampy, począł rozwiązywać, jak matematyczne zadanie, tę kwestję, którą już studyował, ale którą chciał poznać do głębi bez zarzutu, zanim spotka się powtórnie z panem Ginory w Mordze, wobec trupa Rovère'a.

Odczytywał więc raz jeszcze fascykuł i czytał:

„Fotografia drugostronna, ofiarowana Towarzystwu medycyny sądowej przez doktora Bourion, byłego preparatora Szkoły praktycznej; fotografia ta, zdjęta z siatkówki kobiety zamordowanej 14 go czerwca 1868 r., przedstawia chwilę, w której morderca, zadawszy cios śmiertelny matce, zabija dziecko a pies domowy rzuca się ku kołysce nieszczęśliwej ofiary“.

Potem przypatrując się kolejno to fotografii, obecnie już poślódkiej, to powracając do zarzutów, do dyskusji, które ona wywołała, Bernardet utrwalał sobie dokładniej w umyśle, uczył się nieomal na pamięć historycznej strony tej kwestyi.

Gallard, generalny sekretarz Towarzystwa, ukrywając starannie odwrotną stronę fotografii puścił ją w obieg między członków Towarzystwa, z tem jedynem nadmienieniem, że to: *zagadka medycyny sądowej*. I nikt nie mógł odgadnąć tragicznej owej zagadki. Wówczas nawet, kiedy

sekretarz generalny wytłomaczył ją, nikt jeszcze nie mógł dopatrzeć się w fotografii tego, co tam spostrzegał doktor Bourion. Twierdzono, że można tam było, bacznie się przyglądając czarnym i białym plamom, zlewającym się niewyraźnie, dojrzeć postaci jakieś równie osobliwe i fantastyczne jak owe, które uprzejmy Poloniusz widzi w chmurach pod wpływem sugestyi Hamleta. Ale to i wszystko... Działo się to na posiedzeniu 8-go lutego 1869 r.

Doktor Vernois, który się podjął napisać sprawozdanie z komunikatu doktora Bourion, zapytał go podówczas, w jaki sposób dokonane zostało zdjęcie, a lekarz z Wogezów udzielił mu szczegółów, które teraz Bernardet studyował ponownie, analizował uważnie: morderstwo miało miejsce w niedzielę, między dwunastą a czwartą po południu. Wyjęcie oczu z orbitów, dokonaniem zostało zaledwie we wtorek, około dziesiątej rano.

Doświadczenie zatem, które ma się zrobić z oczyma obecnego trupa, z temi straszliwemi, oskarżycielskiemi oczyma zwłok pana Rovère, odbędzie się jak raz o całą dobę wcześniej. Obraz przeto, jeśli był tam jaki obraz, z konieczności musi tym razem być wyraźniejszym niż w doświadczeniu, dokonaniem 16-go czerwca 1868 r.

— A zdjęcia fotografii... dokonano koło szóstej wieczorem. Czyliż światło w owej chwili było dostatecznem?...

Doktór Bourion dokonał zdjęcia z dwojga oczu dziecka i z obu oczu matki. Oczy dziecka nie wykazały nic, prócz niewyraźnych obłoków — jak się też spodziewałem, mówił sam doktor. Jeśli jednak oczy dziecka nie wykazały nic, nie zgoła, inaczej było z oczyma matki. Na lewym oku, po cięciu kolistam, po za tęczówką, po zdjęciu ciała szklanego, wystąpił zaledwie zaznaczony obraz głowy psa. Na oku zaś prawem takąż sama sekcyś dała inny rezultat: jeżeli krystalina zbyt silnie ściśnięta przez penset, łamiąc się rzuciła odblaski na ciało szklane, co spowodowało owe białe plamy na fotografii, obraz, przechowany na siatkówce istniał tam niemniej przeto, ukazywał się i widać było zarówno mordercę podnoszącego rękę do ciosu oraz psa, przybiegającego na pomoc.

— Ze sporym zasobem dobrej woli, trzeba to przyznać — myślał Bernardet, przypatrując się znowu próbie. — Tak, z pewną dozą wyobraźni nawet. Ale doktor Bourion, ogółem biorąc, operował między pięćdziesiątą a pięćdziesiątą drugą godziną po zaszłam morderstwie, kiedy tym razem przystępowano do dzieła z bez porównania większymi szansami powodzenia, to rzecz jasna.

Siedemnaście razy niegdyś doktor Vernois dokonywał eksperymentów na zwierzętach, bądź to w chwili gdy je wieszał, bądź w chwili gdy im zadawał piorunującą śmierć za pomocą kwasu pruskiego. Trzymał nawprost oczu oświetlonych

zywem jakimś światłem, przedmiot wybrany nader łatwy do rozeznania, na wypadek, gdyby obraz jego utrwalił się na siatkówce. Te oczy następnie wydzierał on natychmiast niemal po nastąpieniu śmierci i odnosił do fotografa. Aby lepiej obnażyć siatkówkę i wystawić ją na działanie fotografii, tworzył rodzaj maltańskiego krzyża za pomocą czterech nacięć na brzegach błony ocznej. Usuwał wilgoć szklistą, przytwierdzał preparat anatomiczny do kartki tektury za pomocą czterech szpilek i poddawał o ile można było najspieszniej siatkówkę d oświadczeniu fotograficznemu.

Odczytując raport uczonego, Bernardet przypatrywał się jeszcze, studyował, rozbierał szczegółowo tekst, badał dwanaście prób przedłożonych Towarzystwu medycyny sądowej przez doktora Vernois.

— Siatkówki dwojga oczu kota, zabitego za pomocą kwasu pruskiego; Vernois trzymał konającą zwierzę, tuż przed szerokimi kratami zamkniętymi jego klatkę. Rezultat żaden.

— Siatkówki psa zaduszonego. Przed oczyma trzymano mu do samej śmierci zegarek. Rezultat tak samo—żaden.

— Siatkówki psa powieszzonego. Pęk kluczków błyszczących trzymano przed oczyma przez ciąg całej egzekucyi. Nic.

Vernois przed konającym psem umieścił rękę, uzbrojoną w kij i podniesioną do uderzenia. Nic—żadnego obrazu nie pozostało na siatkówce. Pier-

ścionek przed źrenicami kota. Żadnego obrazu siatkówka niewykazuje absolutnie. Nic, nic zupełnie.

Nic, nic i nic. Taki był rezultat wszystkich eksperymentów uczonego, doświadczeń, które on, człowiek ciemny niemal, amator-fotograf, zamierzał podjąć, poprawić, udoskonalić, o których marzył, że mu się udać muszą.

— Nic, nic!

Bernardet powtarzał to słowo z guiewem.

I w dalszym ciągu poszukiwań, on, ignorant, idący tylko za instynktem, podniecany namiętnością, pragnący dojść co było błędnego w pracy nieposzlakowanego specjalisty uczonego natrafiał z wściekłością rozpaczliwą na konkluzye smutne niezmiernie dla jego urojeń: przeciąg czasu, w którym obraz przetrwać może na siatkówce oka, wynosi najwyżej 32 do 35-setnych sekundy. Jakże tu spodziewać się, by ten obraz ulotny, rodzaj błyskawicy, miał zachować się jeszcze po upływie godzin, po całym szeregu godzin?

Plateau, w swych „Rocznikach chemii“ i książdz Maignan, w swem dziele „Répertoire d'optique moderne“, obliczyli to wszystko. D'Arcy przed nimi wyliczył, że trwanie to obrazu wynosi co najwyżej 13 setnych sekundy.

Dla niego D'Arcy, Plateau, i Maignan, byli absolutnie nieznani, ale pewniki przez nich głoszone, niemniej przybijały go swą stanowczością: „trwanie obrazu jest krótkiem, krótkiem niezmiernie“.

„Wizya zwykła i następcza, czytanie, szybkie rozpatrywanie się w przedmiotach byłoby rzeczą wprost niemożliwą, gdyby wrażenie obrazu na siatkówce mogło trwać ponad ów ułamek najdrobniejszy sekundy“.

— Tak, tak, bezwątpienia, bezwątpienia, bezwątpienia — powtarzał cichuteńko agent.

I nagle, uderzając w zadrukowane éwiartki zeszytu, po tylekroć odezytywanego, powtórzył, ani się domyślając, że parodjuje Galileusza:

— A jednak!

— Siatkówka wielce przezrocza za życia, szybko staje się nieprzezroczystą po śmierci, mówił Vernois.

— Tak—dodawał Bernardet—ale jeśli między temi dwoma jej stanami obraz został pochwycony...

Doktor Ksawery Gałęzowski w swej klinice oftalmologicznej poddawał chorych w pełnem świetle obserwacyom, które mu polecił Vernois i nie nie spostrzegł, nie nie stwierdził, coby było po za obrębem stanu fizyologicznego.

— To niemożliwe — powtarzał wówczas Bernardet rozczarowany — sam to widzę, że to rzecz niemożliwa.

I sprawozdający lekarz dodawał, że jeśliby teraz podokonanych doświadczeniach, jakiś sąd przysięgłych lub który przysięgły zechciał zażądać od eksperta zbadania oczu ofiary, by tam znaleźć potrzebne wskazówki, ekspert byłby w prawie odpowiedzialności mu, że rezultaty takiego badania w niczem

nie przyczyniłyby się do objaśnienia sprawiedliwości.

Ten wyrok tak kategoryczny i stanowczy członka Akademii medycznej, zapadł 13 go grudnia 1869 r. i w rzeczy samej od lat dwudziestu sześciu, kwestya pozostała uśpioną, pogrzebaną, jak się wyraził pan Ginory.

Ale od lat dwudziestu sześciu, jakiż postęp dokonał się na polu fotografii! O ileż postąpiła ona naprzód! Jakże potężnie wtargnęła w dziedzinę nieskończoności, tego co nieznanne, co tajemnicze! Szkielet ludzki, widziany po przez ciało! Ruch tłumy pochwycony w przebiegu i utrwalony na zawsze na wstędze, która w ruchu rotacyjnym nadaje mu toż samo życie! Głos ludzki, ten rodzaj duszy, wciągniętej do regestrów na wieki na zwoju fonografu! Tajemnice wywiedzione na jasne dnia światła! Tyle tajników, co się stały powszedniemi banalnemi już prawdami! To, co było dotąd niewidzialnem, postawione przed oczy wszystkim, niby widowisko.

— Kto to wie—myślał Bernardet—co dziś dać może obiektywa kamery migawkowej...

I stwierdzał, odczytując sprawozdanie Maksyma Vernois o „zastosowaniu fotografii do celów medycyny sądowej“, że sam nawet ten uczony, zaprzeczając rezultatów, o jakich mówił w swym komunikacie dr Bourion (z Wogezów), oddawał się z kolei znowu uwagom ogólnym nad rolą, jaką z czasem odegrać może fotografia w dziedzi-

nie medycyny sądowej. Tak, w 1869 r., domagał się on, aby w poszukiwaniach nad materjami trującymi, gdzie sam mikroskop tylko główną odgrywa rolę, stosowaną była fotografia. Domagał się tego, co w naszych czasach stało się bieżącym zastosowaniem: reprodukcji fotograficznej rysów zbrodniarzy, ich znaków szczególnych, potworności blizn, tatuowań. Domagał się, by fotografowano skazańca na rozmaite sposoby, z włosami lub bez włosów, z zarostem i bez zarostu, w różnorodnych kostiumach!

— Propozycye te—myślał Bernardet—zdawały się przed dwudziestu sześciu laty śmiałemi innowacyami a dziś wydają się nam rzeczą równie naturalną, jak to, że dwa razy dwa jest cztery. Za ponowne lat dwadzieścia sześć, w jakimś 1922 roku, kto wie, czy to, co dziś uchodzi za niesłychane zuchwalstwo, za paradoks, szaleństwo, nie będzie przedmiotem żartów, czy z nas drzwi nie będą, że się nam podobna drobnostka wydawać mogła niemożliwą!

Kiedy się pomyśli, że Vernois domagał się już w swoich czasach reprodukcji fotograficznej kształtu rąk, ich rozciągłości, narzędzi zbrodni, liści roślin, mieszanych w niektórych wypadkach zatrucia, kształtu ubrania ofiary, odcisku stóp i rąk, obrazu wnętrza pokoju pisarza, podpisu niektórych oskarżonych, dotkniętych jakąś chorobą nerwów, części trupów i kości, że domagał się, aby te fotografie, reprodukowane w znacznej ilo-

ści egzemplarzy, rozsyłane były agentom policyjnym i wszystkim władzom śledczym i dołączane do wszystkich aktów oskarżonych lub zasądzonych! Był to zwiastun dzisiejszej ery! Ale podówczas odpowiadano mu: „Na cóż to się przyda? To paradoks; Vernois zbyt wiele wymaga! Mają sędziowie zostać fotografami!“ A dzisiaj wszystko to, czego domagał się Vernois w 1869 r. było już zrobione a dokumenta tego rodzaju, zastąpiły niemal protokół słowny.

W owej epoce, zaledwie dopiero fotografowano fałszowane banknoty. Uzupełniano banknot fotografią i poznawano tym sposobem brak jakiegoś punktu. Uczony Helmholtz proponował ku celowi odkrywania takich fałszerstw stereoskop. Wkładano z jednej strony instrumentu banknot autentyczny, z drugiej pieniądz podejrzany i wystarczyło zobaczyć, że w wynikającym ztąd obrazie, wszystkie rysy nie były jednolite, by orzec na pewno: „Banknot jest fałszywy!“ Doświadczenie Helmholtza mogło podówczas wydać się niemal fantastycznem fałszerzowi, zasądzonemu na podstawie stereoskopu. Dziś — mówił sobie Bernardet — wydaje się nam ono arcy prostem, powszedniem, dziecinnem. Ożyż zatem i świeże doświadczenia robione z siatkówką zmarłych, nie mogłyby dać wyników, których nie przewidział Vernois bynajmniej?

Narzędzia fotograficzne niesłychanie wydoskonaliły się od owego czasu, kiedy doktor Bou-

rion robił pierwsze doświadczenia w małym miasteczku Wogezów a jeśli prawa fizjologii ludzkiej nie uległy oczywiście żadnej zmianie, poszukiwacze przyczyn niewidzialnych od tego czasu znaczny uszli kawał drogi w swych dociekaniach rzeczy tajemniczych. Kto wie, czy w chwili konania, siła życia, którą umierający wkładał w ostatnie spojrzenie, nie nadawała siatkówce sto-kroć wzmożonej potęgi, która modyfikowała lub raczej umacniała i podnosiła do jakiejś dziwnej właściwości to ostatnie spojrzenie?

To pytanie, które stawiał sobie Bernardet, wiodło z sobą daleko więcej wątpliwości, niż wszystkie formuły i chociaż agent był ciekawym, trawionym głodem książkowym, czuł sam doskonale, że nie może stawiać żadnych samoistnych twierdzeń ani w fizjologii, ani w filozofii. Ale widział w życiu tyle rzeczy, dotknął się osobiście tylu zdarzeń i ludził. Doświadczenie zastępowało u niego naukę.

Tak, równie dobrze jak lekarz, wiedział on, bo wypytywał topielców, wydartych śmierci, bądźto samobójców, bądź ofiary, że w ostatniej sekundzie, niby w panoramie niezmiernej, jak błysk krótkotrwały, staje przed człowiekiem cały długi łańcuch wspomnień, począwszy od dzieciństwa, aż do dnia wczorajszego, w nagłym skróceniu. Całe życie przeżywa się w jednym gwałtownym wstrząśnieniu mózgowem.

Czy mogliby uczeni wytłomaczyć tę osobliwą tajemnicę? Istnienie streszczone, zwarte w jedno jedyne drganie — byłoż to możebnem? *A jednak* — powtórzył znów poprzednie swe słowo Bernardet—a jednak tak byłol...

I dlaczegóżby w podobnem „skupieniu“ wszystkich sił istoty, w podobnem zogniskowaniu ich w jedno jedyne wrażenie—we wzrok umierającego, nie mógłby on pochwycić trwale wyłącznego jakiegoś punktu, jak pamięć ogarnia jedynym rzutem i wywołuje w jednej sekundzie tyle wspomnień zniknionych?

— A przecież to wyobrażenia tylko, coś, czego umierający nie *widzi*, kiedy tymczasem obraz, odbity na siatkówce, jest faktem i to faktem, któremu przeczą mędrsi odemnie.

Bernardet rozmyślał o tych tajemnicach i czuł jak mu czoło płonie żarem, czuł, że mu od tych rozmyślań grozi migrena.

— Rozchoruję się jeszcze—myślał.—A przecież tu jest coś nowego do odkrycia, jest coś użytecznego do zrobienia..

W ciasnym tym, zakurzonem gabinecie, mózg mu się rozpałał, niby u zamkniętego w celi mniszej ascety. Wszystko znikało mu z przed oczu: papiery, ściany, przedmioty widzialne a wraz z niemi zarzuty, negacye, wykazywane niepodobieństwa. Przeświadczenie absolutne, instynktowne, nieprzeparcie potężne, wstępowało weń, bra-

ło nad wszystkim górę, napełniało do suchwałstwa niemal posuniętą wiarą.

— Owo coś nieznanego—ja je znalazłem! Co tu jest do zrobienia—ja zrobię!

Bernardet odrzucił nagle zeszyt Towarzystwa medycznego, podniósł się i zszedł do stołowego pokoju, gdzie nań czekała żona i dzieci.

Teraz zacierał ręce, miał minę jakąś wesołą.

— Czy wpadłeś na jaki trop? — spytała żona z całą prostodusznością, jak żona robotnika pytałaby swego męża, czy rezultat zarobku tego dnia był dlań pomyslnym.

Najstarsza córeczka podbiegła:

— Tatus, mój tatus kochany...

— Co, koteczko?

I głos dziecięcy pytał stodziutko, z tą rozkoszną muzyką szczebiotu:

— A co, czyś zadowolony z twojej dzisiejszej zbrodni, tatku?

— Nie mówmy już o tem — odpowiedział Bernardet. — Do stołu! Po obiedzie rozpakuję fotografie, które zdjąłem na miejscu, a teraz bawmy się, to moje imieniny przecież, będę wachał bukiety które dostałem od was, pozjadam wasze policzki, moje kochane malce, zapomnijmy na chwilę o rzemiośle. Wszystko to odłożymy na potem! Teraz jedzmy obiad i kochajmy się serdecznie!

VII.

Morderstwo pana Rovère, popełnione w biały dzień w dzielnicy Paryża bardzo ożywionej, wielce uczęszczanej i ruchliwej, wywołało głębokie wrażenie w publiczności. Było prócz wszystkiego jeszcze coś tajemniczego w tem morderstwie. Życie zmarłego, którego szczegóły badano i dociekano, przedstawione zresztą wielce dramatycznie przez Pawła Rodier w biografii, która, powtarzana i dopełniana, obiegła całą niemal prasę, nadało wkrótce „Zbrodni przy bulwarze Clichy“, istny pozór romansu sądowego. Ile tylko jest gminnej ciekawości w człowieku, to wszystko budzi się, jako zwierzęcość dziedzicza na zapach krwi.

Jakim był ów pan Rovère, były konsul w Buenos-Ayres czy w Hawanie, amator przedmiotów sztuki, członek Towarzystwa bibliofilów, w którym nie widziano go jednak oddawna i jakiego mógł on mieć wroga, co dostał się do niego, by mu przeciąć gardło?

Może po prostu został zabity przez jakiegoś profesjonalnego złoczyńcę, który wiedział o za-

możności lokatora Moniche'ów? Uroczystości na Montmartre często obijały się o bulwar Clichy, w pobliżu domu, gdzie spełniczem zostało morderstwo i cała ta fala włóczęgów, te kałuże złoczyńców, które przyciągają ku sobie odpusty i jarmarki podmiejskie, przybijała niejednokrotnie do trotuaru bulwarowego w tem miejscu właśnie, gdzie miała miejsce zbrodnia. I kronikarze dzienników korzystali ze sposobności, by pomoralizować nieco i wykazać statystyczne swe wiadomości w przedmiocie tych świąt podmiejskich, wśród których występki i zbrodnia rozrastają się swobodnie, jakby się rodziły z fermentu gnojowiska.

Nikt wszakże, ani jeden dziennik—może z wyższego rozporządzenia—nie wspomniał o owym odwieczającym, którego Moniche mianował „jegością“, „panem“, a którego żona portyera widziała stojącego obok pana Rovère, przed otwartą kasą ogniotrwałą. Jeden tylko Paweł Rodier, zlekka, przejrzycie dał do zrozumienia, że sprawiedliwość miała poszlakę dość ważną, która dozwalała jej przeniknąć tajemnicę tej zbrodni i prawdopodobnie przyaresztować winnego. Następnie dawał do zrozumienia, że on sam mógłby w potrzebie, gdyby chciał dalej prowadzić na własną rękę śledztwo powieściopisarskie, równocześnie z śledztwem sądowem, oświecić nietylko opinię ogółu, ale i sąd nawet.

A czytelnicy czekali, zadając sobie pytanie, jaką to tajemnicę ukrywać może to morderstwo. Moniche przybierał miny równocześnie pomieszane i niezmiernie ważne. Czuł się środkowym punktem ogólnej ciekawości i zajęcia; kto to wie? Może stróżem okropnej jakiejś tajemnicy. I on i jego żona, urastali we własnej opinii.

— Będziemy występować w procesie — mówił Moniche, widząc się już w myśli wobec tog sędziowskich, kiedy podnosi rękę, by zaprzysiądz, że nie będzie mówił nic, prócz prawdy, ale tę prawdę za to w całej rozciągłości bez zatajeń.

— Tylko trzebaby ją znać pierwej! — pomruknęła żona portyera.

Jedno i drugie, siedząc sam na sam w ciasnej łoży, przypominali sobie wzajem wszystko, co tylko zauważyć mogli nadzwyczajnego w życiu Rovère'a.

— Nie przypominasz ty sobie tego młodzieńca, co to któregoś dnia pytał o *pana konsula* tak natarczywie?

— A, tak — potwierdzał Moniche. — To prawda. O tym nie pomyślałem. Kapelusz filcowy, twarz smagła, dziwaczny jakiś akcent. Przybywał gdzieś zdaleka. Niezawodnie musiał to być hiszpan.

— Jakiś żebrak. Biedak, którego konsul znał niezawodnie w Ameryce, w koloniach, czy gdzie tam.

— Podejrzana to jakaś figura — myślał Moniche. — Jednakże pan Rovère przyjął go i dał

mu jakąś zapomogę, pawiętam. Gdyby ten młodzieniec powracał był częściej, powiedziałbym, że to on chyba zabił. A także trzeba tu dodać, gdyby nie było *tamtego*.

— Cóż kiedy jest tamten — odpowiadała portyerowa.—Jest tamten drugi, którego widziałam na własne oczy, jak stał przed kuponami i patrzył w te papiery iskrzącemi oczyma, słowo daję. Jest tamten, widzisz, a jabym sobie, więcej, tobie nawet, dała uciąć za to rękę, że to tamten!

— Jeśli to on, to go znajdą!

— Och, och! A jeśli wyjechali! Dziś wyjeżdża się prędko, dość sięś na kolej.

— Zobaczymy, zobaczymy — konkludował Moniche.—Są przecież sądy a i my żyjemy.

Wymawiał to „i my żyjemy“, jakby je wymówił jakiś grenadyer gwardyi wobec pozycyi, którą zdobyć należało.

Tymczasem zwłoki zamordowanego przeniesiono do Morgi.

Pan Bernardet w godzinie oznaczonej na sekcję przybywał dość wzruszony, zadając sobie pytanie, czy od czasu rozmowy z nim w bibliotece zmarłego, sędzia śledczy nie rozmyślił się lub czy się zdecydował pozwolić mu na doświadczenie to sławne doświadczenie, które od lat tylu uznano za bezpotrzebne, niedorzeczne, nieomal śmieszne...

— Gdyby to był kto inny nie pan Ginory — myślał agent — powiedziałbym sobie, że to rzecz

stracona: ale pan Ginory nie lęka się nowych pomysłów.

I urzędnik policyjny przybywał uzbrojony swym aparatem fotograficznym, tą kamerą, która wedle jego zdania, niebezpieczniejszą była dla przestępców od nabitego rewolweru.

Bernardet zresztą obejrzał już próby, zdjęte z twarzy Rovère'a i jak się przekonał, na trzy, dwie były zupełnie udatne. Twarz zamordowanego ukazywała się z dokładnością, która na próbach czyniła ją równie potworną, jak w samej rzeczywistości; a oczy, te oczy tragiczne, te oczy żyjące, zachowały na fotograficznem odbiciu straszliwy wyraz oskarżycielski i groźny, jaki w nich pozostawiła ostatnia chwila konania. Światło rozświeciło błyskiem swym te źrenice — zdały się przemawiać.

Bernardet zamierzał pokazać je panu Ginory. Badać je będą przez lupę. Ale nie wykażą one nic prócz wzruszenia, trwogi, gniewu ostatecznej chwili. Ostatni obraz tej chwili, jedyny konania, był tam, w oku umarłego—i Bernardet spodziewał się, że przekona sędziego o ważności, jaką miał dla śledztwa eksperyment, podjęty niegdyś przez doktora Bourion.

Godzina sekeyi naznaczona była na jedenastą zrana. Na dwadzieścia minut przedtem Bernardet był już w kostnicy. Przechadzał się bardzo wzburzony przed małą budowlą kamienną, do której przechodnie, cheiwi widoków grobowych,

kobiety, dziewczątka, gimnaziści, dzieci—wchodziłi patrzeć na rozłożone na stołach trupy, nabrzmiałe, pozieleniałe lub blado-sine.

Nigdy może w ciągu całego swego życia policyjnego agenta, nie był on przejęty tak głęboko żądzą powodzenia, jak teraz, w obecnym tragicznym wypadku. Wkładał w to powodzenie, w przyjęcie jego projektu, całą zarliwość apostoła. Nie chodziło mu w tej sprawie o perspektywę lub możność jakiegoś awansu, nie chodziło o gratyfikację, była to raczej radość wewnętrzna, że się przyczynić może do postępu, sława, w własnych oczach, że imię jego związanem zostanie z przywróceniem do życia pogrzebanego już odkrycia. Bernardet pracował dla sztuki, dla miłości sztuki. A jeśli po tem wszystkim prefekt policyi oceni jego gorliwość w jakikolwiek bądź sposób, to już jego rzecz i agent w tym względzie zdawał się na swego naczelnika. W obecnej chwili wszakże, nie myślał o niczem więcej, prócz natychmiastowego zadowolenia swych pragnień, prócz urzeczywistnienia swych marzeń.

— Ach! Gdyby pan Ginory zechciał tylko!

I jak raz, kiedy Bernardet w myśli formułował tę nadzieję z głośnem westchnieniem, spostrzegł dorożkę, z której sędzia śledczy wysiadał razem z woźnym i podążył co prędzej ku panu Ginory z czołobitnym ukłonem.

Widząc go tak gorliwego, widząc, że przybywa pierwszy, sądo wnuk nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— A! A! — zawołał — widzę, że nie zrzekłeś się twego pomysłu.

— Przez całą noc o tem tylko myślałem, panie sędzio.

— A no! — odparł Ginory tonem, który nagle napęłnił agenta nadzieją — żaden pomysł nie jest do odrzucenia i nie widzę przyczyny, dla której nie mielibyśmy spróbować tego eksperymentu. Zastanawiałem się nad tem. Cóżby to szkodzić mogło?

— Ach, panie sędzio, panie sędzio — zawołał agent — jeśli pan to zrobisz, kto wie, czy nie dokonamy rewolucyi w medycynie sądowej?

— Rewolucyi, rewolucyi... Trzeba jeszcze, by prosekator nie uznał tego za... kompletnie głupie!

Pan Ginory obchodził budowlę dokoła i wszedł przez małą furtkę od strony Sekwany. Pisarz szedł za nim a po za nimi agent bezpieczeństwa przyspieszał kroku.

Trzeba było czekać, aby przybyli lekarze wydelegowani do sądowego stwierdzenia śmierci i główny nadzorca Morgi czynił co mógł, by zabawić sędownika, opowiadając mu szczegółowo swe obserwacye nad ostatnimi ciałami, które tu przyniesiono. Pan Ginory namiętnie zajmujący się statystyką i charakterystycznymi szczegółami, słuchał z zajęciem.

Od tygodnia mieliśmy więcej kobiet, niż mężczyzn, co jest rzeczą rzadką. A z tych kobiet, wszystkie niemal należały do kategorii zwykłych uczestniczek balów publicznych, nierządnic.

— Po czem pan to poznajesz?

— Po tem, że mają nogi czyste!

Profesor Morin przybył nagle w towarzystwie jednego z kolegów, młodego doktora bakteriologa, o którym utrzymywano, że to umysł dziwny, czepiający się wszelkich nowości a nawet, zdaniem najbliższych towarzyszków, wiele fantastyczny.

Profesor Morin powitał sędziego i jak człowiek, któremu pilno, przedstawił na prędce doktora Erwina, dodawszy, że eksterni niezawodnie rozpoczęli już sekcję, by zyskać na czasie.

Ciało Rovère'a leżało w samej rzeczy obnażone już na stole sekcyjnym i trzech młodzieńców, ubranych w czarne aksamitne czapeczki, z fartuchami u pasa stało przed trupem już przekrojonym; rana śmiertelna występowała teraz czerwienią jeszcze pośród białego kolorytu tej nagoci bolesnej, którą zdały się przechodzić zimne dreszcze.

Bernardet wśliznął się do sali sekcyjnej, kryjąc się nieco, przysłuchując i przypatrując wszystkim a przede wszystkim nie tracąc z oka na chwilę twarzy pana Ginory. W twarzy tej spojrzenie stawało się ostrem, przenikliwym, jak nóż, kiedy się pochylił nad obliczem zamordowanego

i badał ją poniekąd tak stanowczo pod względem moralnym, jak skalpele chirurgów badały ranę i ciało.

A pośród tych ludzi, czarno ubranych, z których niejeden zatrzymał kapelusz na głowie, przykrym kontrastem odbijał ten trup nagi, rozciągnięty, podobny do postaci woskowej na płycie marmuru. Bernardetowi przyszły na myśl te ryciny, które widział z obrazów Rembrandta, poety pendzla sal anatomicznych i jatek rzeźniczych. Chirurgzy pochylili się nad trupem, ręce ich poruszały się szybko i wprawnie a nożyczki krajały jego mięskoty. Tę ranę, przez którą uszło życie, tę ranę szeroką, rozwartą, podobną do ust potwornych i wykrzywionych, oni rozszerzyli jeszcze swemi palcami; głowa zmarłego chwiała się od czasu do czasu, lub wydawała głuchy łoskot, opadając na płytę marmurową, o którą potraçała czaszką.

Ale oczy pozostawały wciąż też same i mimo godzin ubiegłych, tak samo, zda się żywe, groźne i wymowne, jak dnia poprzedniego, aczkolwiek przyćmione nieco szklistą jakąś powłoką na źrenicach, niby w paraliżu śmierci, ale zawsze jeszcze pełne tego gniewu, tej zgrozy, czy tego dzikiego przekleństwa, które widoczne były i przejmowały tak głęboko na próbach fotograficznych, zdjętych wczoraj przez Bernardeta.

— Tajemnica zbrodni mieści się w tych oczach—myślał agent.—Te oczy widziały, te oczy

mówią; gdyby wypowiedzieć zdołały, co im jest wiadomem, oskarżyłyby kogoś.

I podczas gdy profesor, asystent jego i uczniowie dokonywali sekeji, wymieniali między sobą uwagi, wciąż poszukując w okaleczanem ciele prawdy, starając się określić wedle natury rany, jakosć i kształt noża co ją zadał, Bernardet zbliżył się ostrożnie do sędziego śledczego i pocihutku, nieśmiało, w same ucho niemal, poszepnął mu w pełnych szacunku słowach, ale niemniej natarczywą i naglącą prośbę, by zechciał teraz nagle postawić swe żądanie, rozwiązać niepokojący ich problemat.

— Ach, panie sędzio, to najodpowiedniejsza chwila. Pan, który możesz wszystko!

Sędzia śledczy, w obecnym naszym ustroju społecznym, posiada chyba ostatnią cząstkę władzy absolutnej. Idzie on prosto do celu drogami, które mu się najlepszymi wydają. I jak chce, dla tego tylko, że tak chce.

Pan Ginory, ciekawy z natury i z obowiązku, drapał się w ucho, szczypał nos, przygryzał wargi, wahał się; słyszał doskonale, co mówi agent bezpieczeństwa, słyszał jego błagania, ale nie mógł śnać zdecydować się na przemówienie i wciąż tylko przypatrywał się nieruchomym oczom zamordowanego.

Zresztą myśl ta dokładnie stanęła mu przed oczyma i narzucała się despotycznie, że był tu po to, by próbować wszystkiego, co tylko może

przypuszczalnie choćby rozświecić prawdę, której odkrycie jest mu nakazanem — i naraz głos jego szorstki, stanowczy, przerwał pracę chirurgów.

— Panowie—wymówił—czy wyraz tych oczu otwartych, nie zwrócił waszej uwagi?

— Tak jest, wyrażają one doskonale całą przedśmiertną męczarnię, cały niepokój niezmierny—odparł profesor Morin.

— I czy, zdaniem panów, nie musiały one utkwąć z tym wyrazem w twarzy zabójcy?

— Bezwątpienia. Usta musiały przeklinać a oczy pragnęły spiorunować.

— A jeśli ostatni obraz, ujrany przed śmiercią, obraz mordercy oczywiście, pozostał tam przechowany na siatkówce tego trupa?

Profesor Morin popatrzał na sędziownika z pewnem zdziwieniem, nieco filuternie, uczniowie zaś zamienili z sobą cokolwiek ironiczne spojrzenia. Co wszakże zdumiało Bernardeta, te pewne uczynione w tej chwili spostrzeżenie: doktor Erwin, ów młody lekarz, przywieziony przez pana Morin, podniósł głowę i lekkim skinieniem zdawał się aprobować słowa sędziego.

— Oddawna już obraz ten zniknął z siatkówki—zadecydował profesor.

— Kto to wie?—zarzucił sędzia śledczy.

Bernardet doznawał głębokiego wzruszenia. Czuł, że tym razem oficjalnie postawiony jest problemat. Pan Ginory nie obawiał się tej śmieśności, o której mówił przed chwilą i rozpoczy-

nała się dyskusya, tu, w tej sali sekcynnej, wobec trupa. To, co istniało tylko w stadyum marzenia, snu czczego w gabineciku przy pasażu Elysée - des - Beaux - Arts, tu, w obecności sędziego śledczego, członka Akademii i młodych lekarzy, niemal już mistrzów, stawało się kwestyą jasno postawioną.

I to on, skromniutko, po cichu, on, biedaczysko, agent podrzędny, doprowadził sędziownika do badania tego uczonogol

— W głębi tych oczu—wymówił profesor, dotykając ich ostrzem swego skalpela—niema nic, wierzaj mi pan. Gdzieindziej należy wam zwrócić śledztwo!

— Ale—pan Ginory powtórzył swoje: *kto to wie?*—gdybyśmy spróbowali na ten raz jeden, czy widziałbyś w tem, kochany mój mistrzu, jakąś niestosowność?

Profesor Morin złożył usta, jakby do wyrazu: *Ba!*—i cała jego fizyonomia wyrażała tę niewypowiedzianą przez niego odpowiedź: „Nie widzę w tem nic niestosownego“. Po pewnej chwili wszakże, odparł stanowczym tonem:

— Byłby to po prostu czas stracony!

— Trochę więcej, czy trochę mniej—odpowiedział sędzia.—Eksperyment zasługuje na to, by mu nieco czasu poświęcić!

Ginory doznawał bezwątpienia, niemniej jak Bernardet, potrzeby doprowadzenia postawionej kwestyi do końca. I patrząc na te otwarte czy

trupa, wydawało mu się—aczkowiek w czynności swego zawodu unikał zawsze wszelkiego sentymentalizmu i wszelkiej dramatyczności — rzeczywiście, że oczy te domagają się od niego, by nie ustąpił, że go naglą i błagają.

— Wiem, wiem—mówił Morin.— To, co tam roi się w pańskiej wyobraźni sędziego, zajmujące jest jak powieść Edgarda Poë. Ale szukać w tych oczach widma zabójcy, dajże pan pokój! Pozostaw to fantazyi jakiegoś Rudyard Kiplinga, ale nie mieszaj niepodobieństwa do naszych poszukiwań medycyny sądowej. Nie twórzmy powieści, zajmijmy się, pan śledztwem, ja sekcyą!

Ton stanowczy i ucinkowy profesora, niezbyt podobał się sędziemu, który teraz, cokolwiek już przez podrażnioną miłość własną (boć to on pierwszy postawił kwestyę) a więcej jeszcze przez ciekawość, nie zamierzał już cofnąć się bynajmniej.

— Cóż tu stawiamy na kartę?—mówił jeszcze.— A choćby tylko istniała bodaj jedna szansa na sto tysięcy!

— Ależ kiedy tu nie ma żadnej—odpowiedział żywo Morin.— Żadnej, żadnej, żadnej zgoła!

Potem łagodniej już cokolwiek, jakby dopuszczając dyskusyę i tłumacząc sprzeczne swe mniemanie, ciągnął dalej:

— To nie ja, kochany panie Giuory, uważaj pan, nie ja pierwszy zaprzeczyłem możności takiego rezultatu. Ten rezultat byłby cudownym,

nie przeczę. Czy pan, pan osobiście wierzysz w cudy? Wrażenia ciepła, krwi, światła na nasze tkanki nie dadzą się zsumować. Wrażenie siatkówkowe wytworzonem jest przez łamanie się światła, które nazwano lotnem, iskrzącem i które pochwycić jest niemal tak samo trudno, jak zważyć ciało nieważkie. Chcieć odnaleźć na siatkówce wrażenie świetlane po upływie pewnej ilości godzin i dni, byłoby to toż samo, jak Ver-nois określił to niegdyś doskonale, co chcieć odnaleźć w organach słuchu naprzykład, ostatni dźwięk zasłyszany przez nie w życiu. Jestże to podobieństwem? Dźwięk się rozprysnął, uleciał. Obraz na siatkówce zatarł się. Bał Idźże pan chwytając na brzegu słomki dziecka tęczową bańkę mydlaną i zachowaj ją w muzeum. Jeszcze po tej bańce co pękła, pozostaje kropla wody mętnej, kiedy tymczasem po obrazie, co się zaciera, lub dźwięku, co ulata, nie pozostaje nic, nic zgoła. Och, możecie szukać, ile wam się podoba—nie nie znajdziecie! Pogódźcie się z tym losem. Nic, nic!

Nieszczęśliwy Bernardet cierpiał okropnie, słyszając tego rodzaju wyrok. Przychodziła mu szalona ochota odpowiedzieć. Słowa cisnęły mu się same na usta. Ach, gdybyż to on był na miejscu pana Ginory. Ten, spuściwszy głowę, słuchał i zdał się notować w przelocie najdrobniejsze słowo profesora

— Rozumujmyż — ciągnął dalej tenże — ponieważ oftalmoskop nie pozwala dopatrzeć okuliście na siatkówce żadnego z tych przedmiotów lub istot, które chory widział przed chwilą — rozumiesz pan, żadnego — jakże chcielibyście, by odkryła fotografia ten przedmiot lub istotę w oku zmarłego?

Oczekiwał na jakiś zarzut ze strony sędziego a Bernardet spodziewał się, że pan Ginory nie podda się tak łatwo, że się bronić będzie przeciw argumentom uczonego.

Sędzia nie miał tu nic do odpowiedzenia, prócz: „Mniejsza o to. Zobaczmy. Spróbujmy“. I Bernardet spodziewał się, że ta odpowiedź wyjdzie z ust Ginorego.

Ale pan Ginory nie odpowiadał nic; pan Ginory stał z głową spuszczoną, w milczeniu, niepewny snać, wahający, więcej niż wahający, może już przekonany i agent czuł z rozpaczą, że sposobność, z takim upragnieniem przezeń oczekiwana, wymknie mu się tym razem i że nigdy już, nigdy, nie będzie miał możności spróbowania tego eksperymentu.

Nagle na głos gryzący doktora Ervina, niby pod wpływem dotknięcia iskry elektrycznej, podniosło się czoło sądownika, dając Bernardetowi wrażenie niespodziewanego jakiegoś blasku.

— Kochany mój mistrzu—wymówił z wyrazem pełnym poszanowania ale i stanowczym zarazem, młody lekarz — widziałem ja u siebie w Danii raz

biedaka, którego podniesiono umierającego, napół pożartego przez wilka, i który, kiedy go wybawiono z pazurów bestyi, miał jeszcze w otwartych oczach, obraz bardzo widoczny paszczy i kłów zwierzęcia. Wizya, złudzenie, być może. Ale fakt tak dalece mnie uderzył, że pragnęliśmy sobie zdać z tego sprawę.

— I...? — zapytał pan Morin niemal drwiąco.

Bernardet nadstawił ucha, jak pies, co staje do zwierzyny, Ginory spojrział na tego chudego młodzieńca o długich jasno blond włosach, oczach niebieskich jak woda jezior, bladego, z miną nieprzytomną myślicieli. Interni i uczniowie, otaczający profesora, stali w milczeniu jak podczas wykładu.

— I—wymówił zimno doktor Erwin—jeśli nie znaleźliśmy nic konkretnego, pozostał nam przynajmniej niepokój niedokończonego doświadczenia, które należałoby poprowadzić dalej. Pomyśl pan, kochany mój mistrzu, że przedmioty zewnętrzne malują się, zmniejszone tylko w głębi oka, nieprawdaż?—ukazują się tam i trwają. Jest przecież, przepraszam pana, że mu to przypominam, mówię to bowiem dla tych panów (doktor Erwin ukazywał głową sędziego, pisarza i agenta bezpieczeństwa), jest w siatkówce substancya czerwonej barwy, purpura siatkówkowa, wrażliwa pod wpływem światła. Na tle czerwonej tej błony, przedmioty zarysowują się biało. I obraz ich da się utrwalić. Edmund Perier, profesor w Mu-

zeum historyi naturalnej, stwierdza, pan to wiesz lepiej odemnie, mój mistrzu, w jednym z tomów „Anatomii i fizyologii zwierzęcej“, którą dobrze znają uczniowie waszych szkół i która służy do spopularyzowania u nas zoologii, doświadczenie, którego udało mu się dokonać, wylupiwszy oczy królikowi, umieszczonemu w ciemności, ale królikowi żywemu, tak, żywemu—nauka dopuszcza się takich okrucieństw—i umieściwszy to oko następnie w zaciemnionym pokoju w ten sposób, by na nim otrzymać odbicie jakiegokolwiek przedmiotu, okna, na przykład; Perrier stwierdza więc, że zanurzając natychmiast to oko w roztworze alunu przeszkodzi się rozkładowi purpury siatkówkowej i spostrzeże obraz okna, utrwalony w głębi oka. Otóż ta przyćmiona komórka, którą mamy tu pod brwiami w orbitach, gromadzi obrazy i może je zachować, jak spojrzenie mego starego duńczyka, pożartego przez wilka, przechowało paszę i kły dzikiego zwierza. I kto to wie?... może byłoby możliwem spytać oka zmarłego o tajemnicę, która wniknęła w oko żyjącego?...

— A propos—ciągnął dalej młody uczony głosem stanowczym — czy czytałeś, mistrzu, w „Archiwach psychiatrii“, w „Rocznikach antropologii kryminalnej“, wydawanych w Turynie u braci Rocca, fakt ciekawszy niż wszystko, co można było zaobserwować dotąd?

Spojrzenia internów i prawników utkwione były wszystkie w wychudłej twarzy Erwina.

— Oto, o czem mówię. Anglik, Rogus, ogłosił w „The Nature“ nadzwyczajną obserwację. Udało mu się odtworzyć obraz marki pocztowej, na siatkówce waryata, w którą tenże wpatrywał się uporeczywie. Więcej jeszcze. Profesor Ottoloungi zapewnia, że możliwem jest dojść z czasem do fotografowania myśli. Nie śmieję się pan. *Psychofotografia* została już ochrzczoneą, aczkolwiek nie jest stworzoną jeszcze. Znakomity Lombroso, który nie obawia się zakłócać zwyczajów ludzkości, aby zobaczyć co się po za niemi kryje i wymieść z po za nich pył dawny, Lombroso nie odrzucił *à priori*, tej idei fotografii psychicznej. Próbował on fotografować w oczach waryata myśl, która prześladowała nieszczęśliwego. Jeden z obłąkanych dręczony był w swym szale wizją tygrysa. Tego tygrysa widział on wszędzie. Lombroso spodziewał się odkryć go za pomocą fotografii w oku wizyonera. Eksperyment nie doprowadził do niczego, ale kto zaręczy, czy w przyszłości psychofotografia nie będzie sprawiać cudów...

To, co wypowiadał lekarz duński, był to, z przyborem tylko słów więcej naukowych, tenże sam problemat, którego rozwiązanie wydawało się Bernardetowi możliwem. Dla młodzieży, co otaczała profesora i słuchała tych wywodów,

miały one pewien urok atrakcyjny, jaki wywiera zawsze wszystko, co jest wypowiedane przez cudzoziemca. Stężały, na marmurowym stole, trup zamordowanego, podobny do posągu złożonego na grobie, zdał się oczekiwać na rezultat rozprawy, głuchy na brzęk tych słów, zamienianych dokoła niego; nieruchomy wzrok jego tonął gdzieś w nieskończoności, w tem czemś nieznanem, co dla niego teraz już stało się wiadomem.

A przecież ten to trup właśnie, nieczuły już na wszystko, co jest ludzką boleścią, stawał jako zagadka stężalego ciała przed oczy uczonych. Jaką była tajemnica jego śmierci, nieznanne słowo jego konania? Kto zadał tę ranę, przez którą uszło życie?

Czego inni nie wiedzieli, on wiedział. Czego chciano się dowiedzieć, on może zachował jeszcze. To powątpiewanie samo, teraz obudzone w panu Ginory, wystarczało, by zachęcić sędziego do spróbowania eksperymentu, to też tłumacząc się ze swego uporu frazesami pochlebnymi, raz jeszcze prosił profesora Morin, aby zechciał poszukać tajemnicy śledztwa tam, gdzie niegdyś jeden z lekarzy mógł sądzić, że ją odnajduje.

— Uwolnimy się raz na zawsze od tej myśli, skoro nam się to nie uda, skoro nasz zawód dołączymy do zawodu innych...

Pan Morin wciąż zachowywał na ustach uśmiech sceptyczny. Przedewszystkiem jednak, sędzia śledczy był panem w tego rodzaju sprawie a sko-

ro duński lekarz przywoził z swego kraju nowy haracz do tych poszukiwań, profesor rad nie rad poddał się i zgodził na eksperyment, oświadczając jednak z góry, że będzie on całkiem bezużytecznym.

W Mordze, tak samo jak w prefekturze policyi, był aparat fotograficzny, przeznaczony na usługi antropometrii. Bernardet zresztą był tam z swoją kamerą. Można było odfotografować siatkówkę, jak skoro tylko sekeya oddzieli błonę od oka i przytwierdzi ją niby skrzydło motyla na kawałku korka. I acz nawykły do zachowywania zimnej krwi w pośród wszelkich jatek zbrodni, Bernardet czuł jak mu bić przestaje serce na widok przygotowań do tej operacji. Zauważył także, że podczas sekeyi, pan Ginory pobladł mocno i gryzł wargi, rzucając w stronę nieszczęśliwego trupa, wydanego na łup skalpelem, spojrzenia pełne litości i współczucia.

Przeciwnie, młodzi lekarze, pochyleni nad trupem, rozpatrywali ciało pokrajane z podziwem radosnym poszukiwaczy skarbów, rozkopujących nowe pokłady. Każdy nerw ludzki zdał się odkrywać im nową prawdę. Wpatrywali się weń z taką lubością, jak złotnicy w zbiory pięknej starożytnej biżuteryi; i tym cudem badanym, rozważanym, był trup człowieka. A kiedy wydarli oczy, te oczy żyjące, zda się jeszcze, te oczy straszliwe, te oczy oskarżycielskie, kiedy zrobili z tego, co było niegdyś dwoma ogniskami płomieni—

dwie jamy krwawe, wówczas profesor począł nagle o nich rozprawiać z wymową cudowną, niesłychaną i malowniczą, jak gdyby mówił o jakimś arcydziele sztuki. Był bo też w samej rzeczy arcydziełem ten zachwycający mechanizm mięśni, poruszających oko, który teraz on tłumaczył uczniom, słuchającym chciwie jego mistrzowskiego wykładu; arcydziełem istnem było to ludzkie oko, które rozłożył na części skalpel prosektora, począwszy od błony ocznej zewnętrznej, rogówki przezroczej, krystaliny aż do siatkówki, która jest niby płytą fotograficzną tej zaciemnionej komórki, gdzie w pochodzie świetlnych promieni odbijają się, odwrócone, wszystkie dostrzeżone przedmioty. I trzymał tak pan Morin w palcach organ badany, mówił o błonie utworzonej z drobnych nerwów, o nerwie optycznym, jakby mówił profesor sztuki i rzeźby o klejnocie cyzelowanym przez jakiego Benvenuto.

Wstrząsając wilgocią szklistą, osuwającą się jak białko jaja z błony, pan Morin wołał:

— To cud ludzkiego ciała, panowie, cud! Co jest życiem, promieniowaniem, co tworzyło arcydzieła, wynalazki, co daje człowiekowi gieniusz! Jest tu osiem pokładów nerwów, czyli komórek nerwowych, ziarnistych lub promienistych, poczynających się u błony ochronnej a kończących na błonie odgraniczającej, które nas wprowadzają w podziw cudownym rozkładem tych fibrów promieni-

stych, co są źródłem wszelkiego światła; jakież to przedmiot, zdolny z ust naszych wyrwać okrzyk podziwu!

Zapał uczonego podzielała zresztą młodzież obecna i doktor Erwin, który napowrót zamieniwszy się w ucznia, słuchał w skupieniu mistrza. Bernardet, czując swą ignorancję, z głębokiem poszanowaniem, stał pomieszany wobec znakomitego fizyologa, w duszy jednak przyznając sobie, że to on jednak doprowadził do skutku ciekawy eksperyment, że to z jego inicjatywy *pracował* teraz ten członek Akademii.

Co do pana Ginory, ten wyszedł na chwilę na świeże powietrze. Operacja, która przejmowała chirurgów zachwytem, jego przyprawiała nieomal o chorobę; nie miał serca patrzeć na to wszystko. Wkrótce jednak przyszedł do siebie i powrócił, by zobaczyć jeszcze w palcach profesora Morin oko zmarłego, wyjęte z orbitów. I to oko, niby kula połyskująca i mięka, poznaczona czarnymi plamami, zdało się pływać w tkance tłustawej mięśniów okrężnych lub strzępów nerwów; ta rzecz nieruchoma, to oko szkliste i ponure zdało się olbrzymią jakąś źrenicą, poglądającą na życie z głębin śmierci.

W kuli tej jednak może istniał jeszcze obraz, pozostały z życia. Chodziło o to, by go tam poszukać, odnaleźć.

— To ja biorę na siebie!—myślał Bernardet.

VIII.

Agent nie zdawał sobie dokładnie sprawy z wyników sekyi. Jego paliła tylko żądza wiedzy, niecierpliwość dojścia do chwili, w której, odfotografowawszy siatkówkę zmarłego, otrzyma próby fotograficzne i pochylając się nad niemi, szukać tam będzie oczekiwanego obrazu. Poprosił fotografa służby antropometrycznej, wydelegowanego ku temu celowi, żeby mu pozwolił przyłączyć się do niego i otrzymał upoważnienie dokonania równoczesnego zdjęcia. I niebawem Bernardet unosił do domu, do swego gabinecziku, zamienionego na czarną kamerę, próby, które udało mu się zdjąć w Mordze.

Pani Bernardet i dzieci, odrazu zwróciły uwagę na wyraz twarzy ojca, natężony jakiś, nie niespokojny wprawdzie, ale zamyślony głęboko i jakby nieprzytomny. Bernardet nie mówił nic, jadł bardzo mało, zdał się zakłopotanym; a kiedy żona pytała go:

— Czyś ty czasem nie chory?

Odpowiadał:

— Nie, o ile mi się zdaje.

Dziewczątka zaś po cichu, z szacunkiem szep-
tały:

— Tatko widocznie jest na jakimś tropiel...

I był na tropie w samej rzeczy. Wyżeł węs-
zył zwierzynę. Fotografie, zdjęte z błony sia-
tkówkowej, spreparowanej odpowiednio ku temu
celowi, dały rezultat do tego stopnia wyraźny,
że agent mógł oświadczyć swemu szefowi, iż wi-
dzi dokładnie w otrzymanych próbach twarz,
twarz mężczyzny, niewystępującą całkiem wy-
raźnie co prawda, ale w każdym razie dającą się
rozpoznać dostatecznie tak że może ona być po-
niekąd nietylko już wskazówką, ale i rysopisem.

Niby z głębi obłoku, z pośród rodzaju jakie-
goś białego kręgu, ukazywała się twarz ludzka,
której rysy uwydatniały się cokolwiek przy uży-
ciu szkła powiększającego: twarz mężczyzny o
czarnej brodzie szpiczastej, z czołem nieco wyły-
siałem i dwoma czarniawymi plamami oczu, oczu
zapadłych pośród twarzy chudej.

Było to oczywiście tylko widmo, cień, i foto-
graf prefektury daleko więcej był zakłopotany na
widok tych prób od Bernardeta. Przeczyć wszakże
było trudno. Daleko wyraźniejszy niż na foto-
grafiach spirytystycznych, do których przecieź
tylu ludzi wierzących przywiązuje wagę, obraz
ukazywał się dostatecznie widoczny i badając go
uważnie, można było dokładnie rozróżnić kon-
tury.

Było to widmo, cień może, ale cień mężczyzny, który nie był jeszcze zbyt starym i z tą brodą ostro przyciętą, przypominał jakiegoś rajtara z siedemnastego wieku.

— Gdyby tak—mówił fotograf oficjalny—dało się osiągnąć odkrycie mordercy za pomocą fotografii, zdjętej z oka zmarłego, to byłaby rzecz cudowna doprawdy. To nie do wiary!

— Ani trochę więcej nie do wiary—odpowiedział mu Bernardet — nad to, co nam opowiadają dzienniki: Edison podejmuje się wrócić wzrok ślepym, oddziaływując na siatkówkę za pomocą promieni Roentgena. To cud!

I agent poniósł swoje próby panu Ginory, do jego biura w trybunale.

Inspektor czuł dobrze, że sędownik, znakomity w przedmiocie poszukiwań kryminalnych, winien był w tej sprawie być współpracownikiem, on, który zgodził się na te eksperymenty, co w oczach tylu innych byłyby uchodziły za bezpotrzebne i niedorzeczne. Żądza nowości, odkryć materialnych i moralnych, która u pana Ginory była kwestyą temperamentu zarówno jak zawodowych obowiązków, tu została nader szczęśliwie wzbudzona. Zbrodniarze nazywają sędziów w swej gwarze „ciekawcami“. Ciekawowość tego była podwójną, jako uczonego.

Kiedy Bernardet rozłożył na biurku sędziego cztery przyniesione fotografie, pierwszym okrzykiem pana Ginory, było:

— Ależ ja tu nie nie widzę! Jakaś para, mgła i co zresztą jeszcze?

Wtedy Bernardet, wyjmując z kieszeni lupę i pokazując tak jakby się tłumaczyło owe rysunki zagadkowe, sprzedawane na bulwarach pod nazwą „kwestyj“, przesuwał palcem po konturach obrazu tej twarzy ludzkiej, której się dopatrzył, studiując zblizka próby w swym gabinecie, tak dokładnie wykazał ją sędziemu, iż tenże po kilku minutach natężonej uwagi, drobiazgowego i trwożnego badania, odparł z zupełnem już niemal przekonaniem:

— To prawda, jest tam jakiś obraz!

I dodał:

— Czy jest dokładnie określony, by mi pozwolić dopatrywać się w nim żywej istoty?—Nie wiem. Kształt przecież spostrzeżony, odgadywany tylko pierwiastkowo, wyraźnie zarysowany następnie, ten kształt, który na pierwszy rzut oka wydawał mi się nieokreślonym, w tej chwili, w samej rzeczy wydaje mi się dość dokładnym, by orzec, że z cienia występuje twarz ludzka z wszystkimi swemi rysami, bez charakteru wybitnego.

— Ochl — zawołał jeszcze pan Ginory, żywo zacierając tłuste swe ręce.—Gdyby to było możliwe! Co za cud!

— To możliwe, panie sędzio, wierzaj pan—odpowiadał Bernardet.—Przysięgam panu, że to możliwe!

Ten rodzaj szalu inkwizytorsko - naukowego agenta udzielił się i sędziemu. Bernardet znalazł nakoniec współnika dla swych urojeń. Pan Ginory był teraz—choćby dlatego tylko, by zrobić doświadczenie — zdecydowany pokierować śledztwo w tym duchu. A naprzód należało pokazać obraz otrzymany tym wszystkim, którzy mogliby w tem zjawisku poznać istotę z krwi i kości, poprzednio już widzianą.

— A więc naprzód Moniche'owi i jego żonie— wtrącił Bernardet.

— Któż to taki Moniche?

— Portyer z bulwaru Clichy.

Zawezwani do sądu oboje państwo Moniche, nie posiadali się z radości. Mieli stawać przed sądem! Stawali się osobami ważnemi! Kto wie, może dzienniki podadzą ich portrety!

Idąc do gabinetu sędziego śledczego wystroili się odświętnie. Pani Moniche w najlepszej sukni, chciała tem okazać swą cześć dla tego biednego pana Rovère'a. Mówiła z głębokiem przekonaniem do męża:

— Naszym obowiązkiem jest go pomścić!

W długich, zimnych kurytarzach sądowych, siedząc na ławce, w oczekiwaniu aż ich przywołają, portyer i jego żona wyobrażali sobie, że odgrywają jakąś rolę decydującą, jak w owych melodramatach, na które tak lubili uczęszczać do teatru na Montmartre; przed nimi przesuwały się

co chwila postacie upokorzone lub groźne zbrodniarzy, prowadzonych pod eskortą żandarmów.

Oczekiwanie wydawało im się niezmiernie długim a pan Ginory jak na złość nie przywoływał ich tak prędko, jakby tego chcieli. Myślą byli wciąż na bulwarze Olichy, w tej loży, gdzie z pewnością przez ten czas, kiedy ich tu przetrzymują, niemało już zbiegło się ciekawych i plotkarskich kumoszek.

— Jacy ci sędziowie powolni — mówił poważnie Moniche. — Czyżby nie mieli nic do roboty?

W obecności pana Ginory i jego pisarza siedząc na krześle, mimowolnie wzruszony, Moniche bez porównania mniej objawiał goryczy. Odczuwał nieokreśloną trwogę wobec tego aparatu sprawiedliwości, co go otaczał. Doznawał takiego wrażenia, jakby był narażony na niebezpieczeństwo, jak gdyby stanął przed obliczem potęgi tajemniczej, która ma prawo w jednej chwili świadka zamienić w oskarżonego i na pytania sędziego śledczego odpowiadał z niezmierną powściągliwością.

Dzięki zresztą jemu i jego żonie, pan Ginory zdołał odtworzyć sobie dokładnie zwyczaje domowe Rovère'a, wnikał w jego życie nieco zamknięte, starał się odkryć pomiędzy ludźmi, składającymi wizyty dawnemu konsulowi tego, który mógł tu być winnym.

— Ozy nie widzieliście nigdy jakiej kobiety, coby pytała o Rovère'a.

— Owszem. Tę panią zawołowaną. Panią w żałobie. Ale niewiem, kto ona. Nikt zresztą jej nie zna.

Opowiadanie portyerowej o scenie, kiedy zastała Rovère'a z papierami procentowymi w ręku przed otwartą żelazną kasą, z owym nieznanym, stojącym obok niego, zdawało się na sędzim wywierać silne wrażenie.

— Nie wiecie nazwiska tego gościa?

— Nie, proszę pana — odpowiedziała portyerowa.

— Ale gdybyście spotkali się z nim, czy moglibyście go poznać?

— O, co to, to z pewnością. Widzę dziś jeszcze twarz jego dokładnie.

— To dobrze, moja pani. Będziecie zawezwani powtórnie.

— I możemy już odejść.

— Oczywiście.

Pilno było pani Moniche powrócić na bulwar Clichy, żeby móż co najprędzej opowiedzieć wszystkim kumoszkom swe wrażenia i oboje małżonkowie wychodzili z sądu, wzrosli w własnym szacunku przez rolę, jaką dopiero co odegrali.

A nie na tem był jeszcze koniec.

Pogrzeb pana Rovère miał się odbyć jutro i perspektywa dnia dramatycznego, w którym państwo Moniche jeszcze raz będą ważnemi oso-

bami, przejmowała ich niepokojem nieomal rado-
snym.

Tłum dokoła domu zbrodni był wciąż jeszcze
liczny. Przechodnie zatrzymywali się, stawali
przed tą kamienną fasadą, po za którą spełnione
zostało morderstwo. Reporterzy przychodzili be-
zustannie a portyerowie, głodni sławy, nie mogli
rozłożyć dziennika, aby nie spotkać się z wła-
snymi nazwiskami, wydrukowanemi w całej roz-
ciągłości. Jeden z dzienniczków porannych, ogło-
sił nawet artykuł specjalny „Interview z panem
i panią Moniche“.

Wszystko co hałasuje, brzęczy, unosi się jak
chmara much dokoła każdej zbrodni, kręciło się
koło mieszkania, dokąd odniesiono z Morgi po-
krajanego trupa Rovère'a. Pogrzeb oczywiście
miał ściągnąć ogromny tłum ludzi. Tem więcej,
że tajemniczość dotąd unosiła się nad istnieniem
zmarłego. W papierach jego, znaleziono pokwi-
towanie za grunt nabyty na grób na cmentarzu
Montmartre, który zakupił sobie jak raz na rok
przedtem. Innem rozporządzeniem, bez daty, wa-
rował sobie zmarły, w jaki sposób odbyć się
mają ceremonie pogrzebowe. Pan Rovère zatem,
spędziwszy życie koczownicze, zamierzał wido-
cznie spocząć w kraju rodzinnym. Ale żadnej
innej wskazówki, ani co do woli jego, ani co
do pokrewieństw, nie znaleziono w szufladach je-
go biurka i w pozostałych papierach. Zdawało

się, że to człowiek nieposiadający żadnej rodziny, niezłączony żadnemi węzłami ze społeczeństwem. I przejmujące to opuszczenie pociągało ciekawość tłumów jeszcze więcej do tego mieszkania, obecnie wybitego kirem, z wielką literą R. odcinającą się swą białością na tarczy herbowej, obramowanej srebrnemi galonami.

Kto poprowadzi orszak żałobny? Pan Rovère nie wymieniał nikogo. Prosił w owym rodzaju testamentu, aby proste doniesienie zamieszczone zostało w dziennikach, wymieniające datę i godzinę jego pogrzebu, z tym jedynym tytułem: *Były konsul*. „Spodziewam się—dodawło owo rozporządzenie—że mnie odprowadzi po cichu na cmentarz, to nieliczne grono przyjaciół, jacy mi pozostają“.

Przyjaciół było niewielu bezwątpienia w tym tłumie, co się zbiegł tutaj, ale życzenie zmarłego, jak się zdało, nie miało być bynajmniej wysłuchaniem. Pogrzeb, który pragnął mieć *cichym*, stawał się rodzajem jakiejś uroczystości żałobnej i hałaśliwej, podczas której tysiące ludzi zalegały bulwar, tłoczyły się, by zobaczyć na karawanie okrytą draperyą trumną z wieńcami, złożone mi na niej przez sąsiadów.

Wszystko jest widowiskiem dla paryżan. Policya powstrzymywała ten tłum wzrastający, w którym dzieciaki wdrapywały się na gałęzie jaworów, obrzeżających bulwar. Zniesiono trumnę po schodach do ciasnego korytarza, wychodzącego

na ulicę. Portyerowa położyła na stoliku kartki, na których ludzie nieznani, w p. zelotnych stosunkach pozostający z Rovèrem, przychodzili zapisywać swe nazwiska.

Bernardet, czynny, bacznie okiem przypatrywał się fizyonomiom, śledził spojrzenia, męszał się w ten tłum, przyglądał defilującym, czytał po kolei wszystkie podpisy, Bernardet w ubraniu żałobnem, w czarnych rękawiczkach, podobniejszy raczej do oficjalisty zakładu pogrzebowego, niż do inspektora policyi.

Agent stał właśnie między wpół otwartą lożą Monicha i stolikiem, na którym kartki papieru pokrywały się podpisami, kiedy w półświatle, który tworzyła w kurytarzu czarna draperya drzwi i trumna, wystawiona jeszcze, stanął postępujący za innymi, mężczyzna lat około pięćdziesięciu, blady, z miną bardzo smutną, oczyma szukając stolika, gdzie podpisywano nazwiska.

Pani Moniche, ubrana czarno, z białą chustką w rękę, aczkolwiek nie płakała, stała tuż obok Bernardeta, dotykając go nieomal łokciem.

Kiedy ów mężczyzna wystąpił z cieniu kurytarza, stanął u stolika a światło okna padło mu wprost na twarz, portyerowa pomimowoli, instynktownie i jakby pomieszana, z okrzykiem: „ach!“ pochwyciła rękę agenta, mówiąc:

— Boję się!

Wymówiła to tak cicho, że Bernardet zgadł raczej, niż posłyszał ten okrzyk stłumiony. Agent

spojrzał z pod oka na panią Moniche. Pobladła nagle i cichuteńko jeszcze dodała:

— To on!... Ten, którego widziałam razem z panem Rovère przed otwartą kasą!

Bernardet rzucił spojrzenie niesłychanie przenikliwe, w stronę wskazanego mężczyzny. Zdał się przeglądać go na wskroś. Nieznajomy, na wpół pochylony nad stołem, na którym leżały kartki, odstaniał czoło szerokie, łysiejące z lekka a broda jego w klin przycięta, nieco już siwa, dotykała niemal białej kartki, na której kładł swój podpis.

I nagle agent bezpieczeństwa doznał niespodziewanego całkiem wrażenia; wydało mu się, że tę twarz ten kształt głowy, ten rodzaj przycięcia brody on już gdzieś widział i że ta sylwetka ludzka przypomina mu obraz świeżo badany.

Dokonane doświadczenie stanęło mu nagle przed oczyma. Ten człowiek tu stojący przypominał mu nagle ów rodzaj widma zarysowanego na próbce fotograficznej, zdjętej z siatkówki zamordowanego i odnalezionego w zamkniętym jego oku.

— Kto był ten człowiek?...

Bernardeta przejmował dreszcz radości w miarę jak stwierdzał, zastanawiając się nad własnym wrażeniem, że ten nieznajomy dziwnie był podobnym do otrzymanego obrazu i w myśli porównywał tego żywego, pochylonego nad papierem i zapisującego swe nazwisko, do owego

widma o postaci rajtara, które wywołała fotografia.

Były to niezaprzeczenie też same kontury czaszki i brody. Ten człowiek również przywodził na myśl jakiegoś magnata z czasów Henryka III i Bernardet w tej fizyognomii zmienionej pod wpływem smutku, dopatrywał się czegoś straszliwego.

Mężczyzna położył podpis. Wyprostował się a twarz jego matowej bledości ukazała się w pełni agentowi. Spojrzenia ich nawet skrzyżowały się: ostre, przenikliwe u Bernardeta, przyémione u nieznanego, ale wobec tego utkwionego w nim wzroku agenta, nieznanemu mężczyzna podniósł czoło i popatrzył z kolei długo, jakby odpowiadał na groźbę, wyzwaniem.

Wówczas własnowolnie, powoli, Bernardet spuścił oczy i skłonił głowę; nieznanemu przeszedł i zamieształ się w tłum przededrzwiemi.

— To on, to on! — powtarzała pani Moniche, drżąc, jak przed zjawiskiem.

Zaledwie nieznanemu oddalił się, agent żywo postąpił o dwa kroki do kartek leżących na stole, i pochylając się z kolei, czytał nazwisko, nakreślone przez niego ołówkiem:

Jakób Dantin

Nazwisko to nie przywodziło Bernardetowi nic na pamięć; była to zatem żywa zagadka, którą należało rozwiązać.

— Nie mów pani nikomu, żeś widziała tego człowieka—wymówił z cicha, powracając szybko do portyerowej.—Nikommu, rozumiesz pani!

I nagle wyszedł na bulwar, prześlizgując się pośród ciekawych, by odnaleźć tego Jakóba Dantin, którego chciał śledzić.

IX.

Niebyło zresztą zbyt trudne rozpoznać Jakóba Dantin wśród tłumu. Stał na boku, bardzo smutny, tuż obok karawanu. Bernardet mógł w tej chwili przypatrywać mu się do woli. Był to mężczyzna elegancki, wysmakły, z powierzchownością stanowczą i ściągniętymi brwiami, które nadawały tej twarzy wyraz energii. Z głową odkrytą mimo wiatru chłodnego, stał, jakby zahypnotyzowany widokiem tej trumny, którą ustawiano w tej chwili na karawanie i Bernardet zauważył wstrząśnienie głową bardzo widoczne, gdy nieznajomy przyglądał się tej trumnie dębowej.

A im dłużej agent przypatrywał mu się, badał, tembardziej występowało w jego oczach podobieństwo z otrzymanym obrazem. Bernardet wiedzieć będzie niebawem, kto to jest ów Jakób Dantin i, nie tracąc czasu, począł już rozpytywać tu i owdzie zebranych:

— Czy nie znasz pan wypadkiem tego pana, który stoi tam, tuż obok karawanu?

— Nie, nie znam.

— Nie wiadomo panu, kto to taki ten Jakób Dantin? Czy to był przyjaciel serdeczny pana Rovère'a?

— Jakób Dantin?

— Tak, patrzaj pan, tam ot, tam, z brodą w klin!

— Nic a nic niewiem.

Bernardet niebawem namyślił się, że zwracając się wprost do Dantina, z pewnością prędzej będzie wiedział wszystko i przybliżył się do niego w chwili, w której pochód żałobny wyruszał; odtąd już szedł krok w krok za nim, niemal się oń ocierając, aż do samego cmentarza; starał się koniecznie zawiązać z nim rozmowę, poczynił mówić o biednym zmarłym, rozrzewniał się nad losem Rovère'a i dziwił, czemu sąsiad jest tak milezący.

Na trotoarze bulwarowym tłum ustawił się i z powagą odkrył głowy przed żałobnym orszakiem.

Bernardet poglądał na szosę, na listki kwiatów, co opadały na suchą ziemię.

— Dużo ma wieńców pan Rovère — przemówił do swego sąsiada — a przecież, o ile wiem, nie miał wielu przyjaciół!

— Miał ich jednak — odpowiedział sąsiad niemal szorstko.

Głos był ochrypły i jakby zdławiony. Bernardet domyślał się silnego wzruszenia u nieznanego. Smutku? Goryczy? Może wyrzutów sumienia.

Pan ów zresztą nie wydawał się zbyt usposobionym do rozmowy. Szedł z oczyma wlepionymi w całun, z głową odkrytą mimo chłodu i z czołem pochylonem pod wpływem myśli czy zmartwienia. Agent bacznie przypatrywał mu się z pod oka. Fizyognomia to była inteligentna, twarz nieco zapadła z wyrazem zmęczenia, ale było i coś ostrego także w zagięciu warg i coś wyzywającego w układzie wąsa. Był wysoki, chód miał pewny, stanowczy.

Ponieważ już zbliżano się do cmentarza Montmartre—przestrzeń bowiem nie była tak długą, aby można było zawiązać rozmowę, Bernardet odważył się na stanowcze pytanie:

— Pan dobrze znałeś pana Rovère'a?

Zagadnięty odpowiedział:

— Bardzo dobrze.

— A kto, wedle pańskiego mniemania, mógł być mieć interes w tem zabójstwie?

Pytanie było nagłe i zagłębiło się niby nóż w ciełe:

Jakób Dantin zawahał się z odpowiedzią, spojrzawszy, idąc dalej, na tego niskiego jegomościa, którego on nie znał, a który go rozpytywał.

— Bo to widzisz pan, miałbym wielką ochotę rozpocząć od tej chwili zaraz moje poszukiwania—odparł Bernardet, wymawiając zwolna te słowa, aby lepiej zmierzyć wrażenie, jakie one wywrzeć miały na tym nieznanym, jestem inspektorem policyi.

Och, na ten raz Bernardet zobaczył, jak ów Dantin zadrzał. Trudno było wątpić, że sąsiedztwo agenta policyi wprawia go w zakłopotanie, że sprowadziło mu bladość na twarz zmienioną. Niespokojny wzrok jego szukał spojrzenia Bernardeta, ale zadawalnijąc się badaniem sąsiada od czasu do czasu, agent udawał, że patrzy w ziemię. Studyował Jakóba Dantin, jakby w przerwach tylko.

I karawan posuwał się naprzód, skręcał teraz na rogu bulwaru i niezbyt długiej alei, co prowadzi do miasta umarłych. Łuk mostku żelaznego, rzuconego na rowie, ogradzającym „Campo-Santo” niby wiadukt żywych, na ziemi snu, pełen był ciekawych; głowy ukazywały się niby w otworach dawnych pręgierzy pośród sztab żelaznych i dla tej czerni, co tu zbiegła, było to widowisko, scena z melodramatu, cały ten orszak zamordowanego, ta trumna zbliżająca się, okryta kwiatami.

Bernardet, postępując obok Dantina, wciąż zadawał mu pytania, które, jak to zauważył dobrze agent, wprawiały w kłopot mniemanego przyjaciela pana Rovère'a.

— Czy dawno znaliście się panowie z sobą?

— Byliśmy—odpowiedział Dantin—przyjaciółmi od dzieciństwa!

— I widywałeś go pan często?

— Nie. Życie nas rozdzieliło.

— Ale widywałeś go pan często w ostatnich czasach? Pani Moniche mi mówiła.

— Któż to taki?

— Żona portyera i posługaczka pana Rovère'a.

— A, tak! — odparł Jakób Dantin, jak gdyby nagle coś, zapomnianego już, przyszło mu na pamięć.

I Bernardet instynktownie czytając w myśli tego człowieka, zobaczył również ową scenę, kiedy portyerowa, wchodząc do gabinetu Rovère'a, zastała ich obu przed ogniotrwałą kasą otwartą i porozkładanemi obligacyami...

— Nie wiesz pan przypadkiem, czy nie miał jakich nieprzyjaciół? — spytał jeszcze agent policyjny z żywością obliczoną.

— Nie — odpowiedział Dantin bardzo stanowczo, bez wahania.

Bernardet poczekał chwilę, potem rzekł głosem silnym:

— Pan Ginory ma prawo liczyć na pana, że mu dopomożesz do odkrycia zabójcy.

— Pan Ginory?

— Sędzia śledczy.

— Niechże się więc śpieszy, jeśli chce informacji — odpowiedział Jakób Dantin. — Ja bowiem zmuszony będę wkrótce opuścić Paryż.

Odpowiedź zdziwiła Bernardeta. Ten odjazd, którego przyczyna mogła być najprostszą w świecie, wydawał mu się nieco dziwnym z powodu

swej nagłości i tragicznych wypadków, które go poprzedziły.

Pan Dantin zresztą bez wahania, choć go agent o to nie spytał, dał mu swój adres, dodając, że od powrotu z cmentarza, będzie na usługi sędziego.

— Cała bieda w tem, że nie będę mógł nic powiedzieć, bo nie wiem. Nie podejrzewam nawet, kto mógł być mieć jaki interes w zabiciu tego nieszczęśliwego człowieka. Chyba jaki zbrodniarz z zawodu.

Bernardet wstrząsnął głową i odparł:

— Nie sądzę...

Orszak postępował teraz alejami, których głębie rysowały się wśród szarej mgły plamami białymi marmurowych pomników. Grunt wybrany przez samegoż pana Rovère'a mieścił się na końcu alei dzwoonicznej i tam to tłum ciekawy, tworzył wielką czarną plamę, niby gromadę much olbrzymich. Karawan posuwał się zwolna ku rozwartemu grobowi. Pani Moniche chwiała się z boleści, mąż jej, krawiec, znosił widocznie odważniej swą odpowiedzialność i swą rolę. Przybierali jedno i drugie odmienne zachowanie, idąc za trumną *swego nieboszczyka*. Obok nich, na czele orszaku również, postępował Paweł Rodier, z notatnikiem w rękę.

Bernardet zamierzył sobie przypatrzeć się dobrze zachowaniu Jakóba Dantin przy grobie. Tłum oddzielił go na chwilę od tego człowieka,

ale agenta zadowoliło to jeszcze więcej; o dwa kroki od Dantina, ale całkiem nawprost niego z przeciwnej strony grobu, inspektor mógł z po za dwóch szeregów ciekawych, śledzić najmniej-szy ruch muskułów tej surowej twarzy. Bernardet wspinał się na palce, aby przez głowy otaczających mózdz widzieć, obserwować i badać, nie będąc widzianym.

Jakób Dantin stał na samym brzegu grobu, wyprostowany, jakby hardy i poglądał od czasu do czasu wgląd grobu, z wyrazem gniewu, czy wyzwaniem. O czem myślał?

W tym wyrazie twarzy, który wydawał się buntem przeciw przeznaczeniu, co dosięgło przyjaciela, Bernardet czytał rodzaj naprężenia woli broniącej się przed wzruszeniem, które mogło być zbyt wielkiem i zdradzić go.

Nie był jeszcze pewnym winy tego człowieka, ale w tym wyzywającym jego wyrazie, nie mógł dopatrzeć się żadną miarą, tego serdecznego uczucia, którego na widok śmierci doznawać-by był powinien przyjaciel Rovère'a, przyjaciel lat dziecinnych, jak to powiedział sam Jakób Dantin.

A potem, im bardziej mu się przypatrywał, kiedy czarny, wysoki kontur odcinał się na tle białem poblizkiego pomnika, tem więcej widok tego człowieka przywodził mu na pamięć obraz utrwalony przez fotografię z siatkówki zamordowanego. Tak, była to ta sama postać rajtara,

z ręką opartą na biodrze, jakby spoczywającą na rapierze.

Bernardet mrugał oczyma, jakby chciał uprościć sobie obraz tego człowieka i po przez przymknięte rzęsy dostrzegał postać, która przypominała dziwnie, bez najmniejszej wątpliwości, niewyraźne kształty odbite w oku; przeświadczenie brało z każdą chwilą miejsce instynktu, rosło wciąż, stawało się niepokonanem.

Powtarzał bezustannie nazwisko i adres tego człowieka: „Jakób Dantin, ulica Richelieu 114“ Co najprędzej poniesie ten adres panu Ginory a w ślad za nim pójdzie wezwanie sędziego.

Dlaczego ów Dantin wyjeżdżał z Paryża, jakim było życie, środki utrzymania, namiętności, ułomności tego człowieka, stojącego tam z ponurym wyrazem hugonota, nad tym otwartym grobem?

Bernardet zauważył doskonale, że mimo silnego postanowienia zachowania obojętności, Jakób Dantin był pomięszany, kiedy z głuchym łoskotem trumna osuwała się po sznurach na dno grobu. Przygryzał wąsy, a ręce w czarnych, żałobnych rękawiczkach, chwilami miały nerwowe ruchy, których nie mógł powstrzymać.

A to spojrzenie rzucone na trumnę, która z głębi grobu świeciła metalową blachą z napisem: „Ludwik Piotr Rovère“. To nieme wpatrywanie się w trumnę, gdzie między dębowymi deskami, leżał trup z poderżniętem gardłem, pokrajany,

pocięty, z wydartemi oczyma, włożonemi następnie napowrót w zapadłe orbity, w te śmiertelne i oszpecone szczątki ciała, co żyło, oddychało, myślało, czuło, dążyło do czegoś, marzyło, cierpiało, nie nawidziło i kochało!

Oh, ten wzrok przejmujący, pełen wspomnień, pełen grozy, jakże go zachowywał agent w swej pamięci! Jak też opowie panu Ginory, co wedle jego pojęcia działo się w myśli tego człowieka! Zbliżano się obecnie do grobu i Dantin pierwszy drżącą ręką rzucił na trumnę te krople wody, co są dla naszych umarłych łzą ostatnią. Ach, jakież był blady! Siny raczej! A to drżenie u człowieka z twarzą tak energiczną! Bernardet zapisywał w pamięci najmniejsze rysy charakterystyczne; z kolei i on zbliżył się, wziął za kropicidło i kiedy odchodząc, chciał się spotkać napowrót z Jakóbem Dantin w sąsiedniej alei, posłyszał, że go ktoś woła i odwróciwszy się, zobaczył Pawła Rodier uśmiechniętego.

— No, panie Bernardet, i cóż tam nowego? — spytał reporter.

Wysoki młodzieniec miał minę zachwyconą.

— Nic nowego—odparł inspektor.

— Wiesz pan, że publiczność zajmuje się bardzo tym wypadkiem?

— Nie wątpię.

— Leon Luzarche jest zachwycony. Tak, Luzarche, powieściopisarz. Rozpoczął w naszym dzienniku powieść, której pierwszy fejtton wy-

szedł równocześnie z doniesieniem o „Zbrodni z bulwaru Ulicy“ a ponieważ, dziennik wciąż idzie w górę i idzie, on wyobraża sobie, że to z powodu jego symbolistycznej powieści tak się rozchodzi. Słodkie złudzenie. Nikt nie czyta jego „Gnoma“; wszyscy natomiast wrywają sobie „Tajemnicę bulwaru zewnętrznego!“ Każdy powieściopisarz poczynający powinienby mieć w zanadrzu jakiego porządnego zbrodniarza, który popełniłby w ciekawych warunkach zbrodnię, tegoż samego dnia, w którym nowa jego powieść rozpoczyna się w jakimś dzienniku. Co za współpracownictwo, panie Bernardet! Można by nawet zainteresować dla tej sprawy jakiegoś uczciwego mordercę. Żart na stronę, czy masz pan coś nieznanego jeszcze?

— Nie—odpowiedział agent!

— Żadnego śladu? I dotąd nie na tropie?

— Nie—odrzucił Bernardet.

— A zatem słuchaj, panie Bernardet, ja jestem na tropie... Ale niech to będzie dla pana niespodzianką! Czytaj mój dziennik! Popieraj mój dziennik.

— Ale cóż to wreszcie? — spytał agent.

— Al! Jeszcze czego! Tajemnica zawodowa. Tylko czyś pan pomyślał o tej kobiecie w żalobie, co przychodziła czasami odwiedzać konsula?

— Bezwątpienia — wymówił Bernardet.

— A więc chodzi o to, żeby odnaleźć tę kobietę w żałobie! To rzecz niełatwa! Ale zdaje mi się, że ją już wygrzebałem. Tak, na prowincyi.

— Gdzież to?

— Tajemnica zawodowa — powtórzył reporter ze śmiechem.

— A jeśli pan Ginory zechce się dowiedzieć pańskiej tajemnicy?

— Odpowiem mu, jak panu odpowiedziałem: Czytaj mój dziennik. Czytaj „Lutecyę!“

— Ależ sędzia, on, sędzia...

— Tajemnica zawodowa — zawołał Paweł Rodier, po raz trzeci.—Ale co to za pyszna powieść, panie Bernardet! Powieść: „Dama w żałobie“. Leon Luzarche przepadł z kretesem!

Słuchając wszystkiego, Bernardet nie tracił z oka Dantina, który obecnie w pośrodku alei przypatrywał się płynącej fali ciekawych, jakby daremnie wśród niej szukał jakiej znanej sobie twarzy. W rysach jego widocznem było jakieś zmęczenie. Czy to było zmartwienie, czy wyrzuty sumienia—nie wiadomo; to pewna tylko, że wzruszenie gwałtowne go dławilo. Agent policyjny przypuszczał, że w tym człowieku toczy się obecnie walka bolesna; widział jak wielkim był smutek jego, gdy tak oczyma badał tłum, szukając w nim przyjaznej twarzy a znajdując tylko ciekawych.

Najważniejszym było dla Bernardeta, nie tracić z oka tej osobistości, której istnienia nie domyślał się przed godziną jeszcze, a którą w tej chwili uważał za sprawcę lub współnika zbrodni.

Z pewnego oddalenia, szedł wciąż za Dantinem, który wprost z cmentarza poszedł na ulicę Richelieu i zatrzymał się przed domem nr 114, jak to mówił.

Bernardet przeczekał kilka minut i kiedy człowiek, na którego tropie był teraz, wszedł do domu, spytał odźwiernego czy zastał pana Jakóba Dantin, wybadał zresztą tegoż i wiedział już niebawem, że przyjaciel Rovère'a mieszka w tym domu od dwóch lat i niczem się nie zajmuje.

— W takim razie — rzekł agent — to nie ten Dantin, którego szukam. Tamten jest bankierem.

Przeprosił za swe pytania, wyszedł, skinął na dorożkę i rzekł woźnicy, który powitał go ukłonem:

— Do prefektury!

Raport zdawany naczelnikowi służby bezpieczeństwa, był krótki. Naczelnik słuchał go z uwagą, pokładając, w inspektorze bezwzględne zaufanie. „Nigdy żadnego baka nie ma co się obawiać z Bernardetem“, tak się wyrażał pan Morel. Niebawem i on jak Bernardet podejrzewał, że ten człowiek mógł, musiał być mordercą byłego konsula.

— Co do motywów, które go popchnęły do tej zbrodni, o tem dowiemy się później!

Trzeba było naprzód zasięgnąć wiadomości co do szczegółów przeszłego życia owego Jakóba Dantin, co do jego obecnego istnienia, a śledztwo to miało się odbyć równolegle z badaniem, któremu miał poddać pan Ginory tego człowieka, zawezwanego do sędziego śledczego w charakterze świadka.

— Idźże pan natychmiast do gabinetu pana Ginory — wymówił żywo naczelnik. — Przez ten czas ja już będę wiedział cokolwiek o tym człowieku!

Bernardet musiał przejść tylko kilka korytarzy i dziedzińców, wejść po kilku piętrach, by się znaleźć w galeryi, na którą wychodził gabinet czternasty, biuro pana Ginory.

Ponieważ sędzia badał właśnie jakiegoś oskarżonego, agent czekał, przechadzając się wzdłuż galeryi, w której oczekiwali złoczyńcy; niektórzy z nich znali go dobrze. On tak spokojny zazwyczaj, spełniał codzienne złowrogie swe zadanie z rodzajem stałego uśmiechu, co rozpromieniało twarz księdza, na ten raz jednak, czuł jakiś niepokój, czuł jak mu nerwowo drżą dłonie, doznawał dziwnego zdenerwowania, jak po bezsennej nocy.

Bo też rzeczywiście w tej chwili nie chodziło już o zwykłe łowy na człowieka. Agentka policyjnego przejmowała trwoga, która wstrząsa wy-

nalazcę, uporczywie dążącego do jakiegoś odkrycia. Postawił problemat straszliwy, nierozwiązalny z pozoru i pragnął go rozwiązać.

Od czasu do czasu wyjmował z paltota zużyty pugilares i przypatrywał się nalepionym na kartonach fotograficznym próbom tej wizyi wydarłej oku zmarłego.

Nie można było wątpić. To widmo, niewyraźne nieco, miało postać człowieka, który przed chwilą pochylał się nad otwartym grobem. Pan Ginory z pewnością zdumiony będzie, zobaczywszy przed sobą Jakuba Dantin. Byleby tylko sędzia śledezy zachował dotąd tę żądzę, którą w nim wzbudził Bernardet, żądzę doprowadzenia do końca rozpoczętego doświadczenia!

— Na szczęście, pan Ginory jest ciekawym. A ciekawość doprowadza do wszystkiego — myślał Bernardet.

Czas wydawał mu się zresztą długim. Jeśli ten Dantin, który mówił o wyjeździe z Paryża, zniknie nagle, wymknie się przed badaniem sędziego?... Jakaż tam nędzna, bez wszelkiej wagi sprawa, zatrzymywała pana Ginory!... Kiedyż na koniec sędownik będzie wolny?...

Drzwi gabinetu czternastego otworzyły się, jakiś człowiek w bluzie z nich wyszedł, uprowadzony niebawem przez oczekujących nań żandar mów; twarz gwałtowna i pospolita. Bernardet zażądał od pisarza, który ukazał się na progu,

by mógł natychmiast widzieć się z panem Ginory, ma go bowiem zawiadomić o rzeczach niecierpiących zwłoki.

— Nie zatrzymam go zbyt długo!

Sędzia z wielką radością powitał agenta bezpieczeństwa i jemu również przychodziły do głowy tłumnie rozmaite szczególne pomysły, które możność badań naukowych, tajemniczych jakichś w nim wzbudziła; to też opowiadanie o pogrzebie Rovère'a, sformułowane z zwięzłością służbowego raportu, zajęło go jak najważniejsze zeznanie. Ów człowiek, o którym mu mówiła pani Moniche, widziany przez nią przed ogniotrwałą kasą, był więc tam w pierwszym rzędzie tych, co szli za karawanem; bardzo być może, że ów Dantin popchnięty został na czoło orszaku, nie tyle przez dawną przyjaźń dla tego, którego uważał towarzyszem dzieciństwa, ile przez to szczególniejsze i instynktowne uczucie, jakie zagnała zbrodniarzy do bezustannego krążenia około miejsc zbrodni, do pojawiania się przy swych ofiarach, tak, jakby morderstwo, krew, przestępstwo posiadały swój osobny magnetyzm chorobliwy.

— Zresztą — dodał pan Ginory — wiedzieć to będę niebawem. Podyktował pisarzowi wezwanie, którego żądano, zadzwonił i wydał rozkaz, by poszukano pana Dantin w jego mieszkaniu i sprowadzono do trybunału.

— Nie spuścisz go z oka Bernardet — powiedział — a komisarz do delegacyj sądowych spełni swoje, jeśli będzie potrzeba.

Bernardet skłonił się, a oczy mu błyszczały jak oczy ogara, wężącego zdobycz.

X.

Między sędzią śledczym, który bada a oskarżonym, co odpowiada, toczy się pojedynek na bliską metę, szybki a tragiczny, gdzie każdy cios nieudały, może stać się śmiertelnym, gdzie każde odparcie musi koniecznie być stanowczem. Nikt na całym świecie nie posiada potęgi tego człowieka, który jednym słowem może zmienić w więźnia tego, co wchodzi jako przechodzień zwykły do pałacu trybunału. Za tym inkwizytorem prawa stoi cały aparat sądowy, ukazują się sędziowie w czerwonych togach, szafot rzuca swój cień ponury i chłód gabinetu sędziego śledczego ma już w sobie coś z wilgoci celek, w których skazani oczekują na wyrok, lub pokutują za winę.

Jakób Dantin przybywał do pałacu trybunału na wezwanie sędziego z pozorą gorliwości człowieka, który, przejęty żalem z powodu tragicznej śmierci przyjaciela, pragnie dopomóc wedle sił do pomszczenia jej. Nie wahał się ani chwili a Bernardet, który zobaczył jak siada do dorożki, zwrócił z zdziwieniem uwagę na pewien pośpiech, z jakim stosował się do zleceń sędownika.

Kiedy zawiadomiono pana Ginory, że Jakób Dantin się stawił, z ust sądownika wydarł się mimowolny okrzyk zadowolenia, wielce podobny do okrzyku niecierpliwego widza, kiedy dźwięk dzwonka zwiastuje, że za chwilę podniosą kurtynę. Dla sędziego śledczego, sztuka, której intrygę miał odgadnąć poczyniała się teraz właśnie.

Oczy miał utkwione we drzwiach, przywiązując nie bez słuszności wielką wagę do pierwszego wrażenia, jakie sprawiał na nim każdy nowoprzybywający do jego gabinetu. Był to rodzaj wrażenia szczególnego, bezpośredniego i rzadko pan Ginory zmuszony był zmienić to pierwsze mniemanie, które przyzwyczajeniem i siłą nerwów umiał tylko maskować.

Skoro drzwi się otwały, Jakób Dantin stanął w nich. Pierwsze wrażenie na sędziego było korzystne. Mężczyzna wysoki był, wyprostowany, z dobrą figurą, skłonił się swobodnie i patrzył prosto przed siebie. W tejże samej wszakże chwili uderzyło pana Ginory dziwne podobieństwo, jakie miała ta postać, nieco wyniosła, do obrazu otrzymanego za pośrednictwem objektywy Bernardeta.

Wydało mu się, że obraz ten miał postawę, kształty nawet tego człowieka, co się ukazywał teraz we mgle półzmroku.

Następne, powtórne dłuższe spojrzenie sądownika na nieznanomego, zdało się z wolna zdradzać

przed sędzią gwałtowność powstrzymany, brutalność ukrytą. Oczy były surowe, z twardym jakimś wyrazem spoglądające z pod brwi najeżonych, broda śpiczasto przycięta, rzadsza nieco na policzkach, dozwalała widzieć szczęki zwierzęce a zwłaszcza dolną, z pod siwego wąsa dziwnie naprzód występującą, jak u niektórych portretów, malowanych przez Velasqueza.

Gestem ukazał Dantinowi krzesło.

Był więc przed sędzią teraz ten człowiek, z miłą swobodną, z rękami skrzyżowanymi, łokciami opartymi na stosach aktów, gotów, zda się, rozmawiać o rzeczach najobojętniejszych w świecie; na boku czarnego stołu na prawo, mieścił się pisarz, pochylony nad papierami, suchy i łysy, notujący wszystko z miną obojętną.

Rozmowa wszakże rozpoczęła się w tonie poważnym, acz z pozoru wyglądała na rozmowę dwu ludzi, spotykających się w salonie i udzielających sobie wzajem spostrzeżeń o wczorajszym poranku lub premierze; Ginory prosił Jakóba Dantin o niektóre informacye co do osoby pawa Rovère'a.

— Pańska znajomość z nim była bliższą?

— Tak, panie sędzio.

— Od iluż lat już trwała?

— Od czterdziestu przeszło. Byliśmy kolegami w szkole i pensyonacie w Bordeaux.

— Pan pochodzisz z Bordeaux?

— Tak samo jak Rovère — odpowiedział Dantin.

— Czy w tych ostatnich czasach, bywałeś pan często u Rovère'a?

— Przepraszam pana, panie sędzio, co właściwie rozumiesz pan pod temi „ostatnimi czasami“?

Panu Ginory wydało się to pytanie człowieka, który był badanym, pewnego rodzaju taktyką, sposobem zyskania na czasie, by się zastanowić, zanim się da odpowiedź. Był on przyzwyczajony do tych manewrów oskarżonych.

— Kiedy mówię w ostatnich czasach — odparł — myślę o tych kilku dniach, kilku tygodniach, jeśli pan wolisz, które poprzedziły morderstwo.

— Widywałem go dość często, w samej rzeczy — odpowiedział Dantin — a nawet częściej może niż poprzednio.

— Dlaczego? — spytał sędzia.

Jakób Dantin zdał się wahać.

— Nie wiem... przypadek... W Paryżu człowiek przestaje się widywać z najserdeczniejszymi przyjaciółmi bez powodu, przez całe nieraz miesiące i nagle znów się z nimi styka, znów zaczyna bywać u nich częściej...

— Czy nie miałeś pan nigdy powodu zerwania stosunków swoich z Rovèrem, zaprzestania u niego swych wizyt?

— Żadnego.

— Czy między panami nie istniała żadnego rodzaju rywalizacya, żadna przyczyna oziębienia przyjacielskich stosunków?

— Żadna przyczyna, żadna rywalizacya zgola. Zkądżeby zresztą?

— Zkąd, nie wiem—wymówił sędzia—ot, badam tylko.

Pióro pisarza biegło po papierze bez hałasu, z szybkością skrzydeł ptaka.

Ten wyraz „badam tylko“, zdało się, że wywarł na Dantynie wrażenie nieoczekiwane, nieprzyjemne i surowe brwi jego zmarszczyły się po nad oczyma.

— Kiedy po raz ostatni odwiedziłeś pan Rovère'a?—podjął znów sędzia.

— Po raz ostatni?

— Tak. Zbierz pan wspomnienia.

— Na dwa czy trzy dni przed zbrodnią.

— Nie było to na dwa czy trzy dni, ale na dwa dni dokładnie przed morderstwem.

— Masz pan rację—odparł Dantin—przepraszam.

Sędzia poczekał przez chwilę, patrząc wprost w twarz badanego. Wydało mu się, że lekki rumieniec przebiegł po tej bladej twarzy.

— Nie podejrzewasz pan nikogo o popełnienie tego morderstwa?— spytał Ginory po chwili namysłu.

— Nikogo—odrzekł Dantin.—Myślę nad tem.

— Czy Rovère miał jakich nieprzyjaciół?

— Ja o nich nie słyszałem przynajmniej.

Sądownik zręcznym zwrotem niebawem powrócił znów do tej ostatniej wizyty Dantina i prosił go, by mu zechciał określić wszystko, co mogło go uderzyć podczas tej ostatniej rozmowy z przyjacielem.

— Ponieważ myśl o samobójstwie usunięto natychmiast powierzchownymi już oględzinami rany, nie pozostaje przeto najmniejszej wątpliwości co do przyczyny śmierci. Rovère został zamordowany. Przez kogo? W ostatniej rozmowie, którą miał z panem, czy nie było czasem mowy o jakimkolwiek niepokoju, co by go udręczał? Czy nie miał na myśli jakiejś szczególnej sprawy? Czy nie doznawał—czasami miewa się takie przeczucia—wrażenia, że narażonym jest na jakieś niebezpieczeństwo, że się coś knuje przeciw niemu?

— Nie — odparł Dantin. — Rovère nie uczynił w rozmowie ze mną żadnej wzmianki do najmniejszego choćby niebezpieczeństwa, na które byłby narażonym. Zadaję sobie sam pytanie, kto mógłby mieć jakikolwiek interes w jego śmierci. Musiano zabić go po prostu po to tylko, by ograbić.

— To mi się wydaje wielce prawdopodobnem—potwierdził sędzia—rewizya wszakże dokonana w mieszkaniu, wykazała, że nie było nigdzie włamania. Kradzież zatem nie była motywem zbrodni.

— A więc?—spytał Dantin.

Krwista twarz sędziego, ta twarz energiczna, o silnie rozwiniętych szczękach, rozświeciła się hamowanym wyrazem ironii.

— A więc my tu jesteśmy od tego, byśmy szukali prawdy i doszli jej.

I w swą odpowiedź pan Ginory wlał taki wyraz przebiegłości, że pisarz, który znał dobrze sędziego—pisarz, co nie podnosił głowy od papierów, gdzie notował rozmowę—odgadł groźbę.

— Nie mówisz mi pan — podjął znów sędownik — wszystkiego, co zaszło między panami w czasie tego ostatniego widzenia się.

— Bo też nie nie zaszło—odparł Dantin—co by mogło naprowadzić sprawiedliwość na ślad winnego.

— Mimo to wszakże, możesz pan, a dodam, powinieasz powtórzyć mi wszystko, co było mówione lub zrobione. Najmniejsza wskazówka posłużyć tu może do objaśnienia nas.

— Rovère mówił mi o rzeczach czysto osobistych—odparł zapytany, który poprawił się zaraz i dodał—o rzeczach nie nieznaczących.

— Jakież to są owe nie nieznaczące rzeczy?

— Wspomnienia... sprawy rodzinne...

— Sprawy rodzinne nie mogą nigdy być nie nieznaczącymi rzeczami, zwłaszcza w podobnym wypadku.. Więc Rovère miał jeszcze rodzinę? Nikt z krewnych nie był obecnym na pogrzebie.

Jakób Dantin zdawał się zmięszanym, zdenarwowanym może raczej i na ten raz już było to widoczne. Odpowiedział tonem stanowczym, szorstkim niemal.

— To, cośmy mówili, dotyczyło przeszłości.

— Jakiej przeszłości? — badał sędzia, nacierając swemi pytaniami.

— Wspomnień młodości, długów moralnych, zaciągniętych niegdyś!

Pan Ginory przechylił się w fotelu, opierając wygodnie szerokie plecy o poręcz i głosem gryzącym:

— W istocie—ozwał się—powinieneś pan uzupełnić swe objaśnienia i nie czynić z zeznań jakiejś zagadki. Nie pojmuję zupełnie tych przemilczeń bezpotrzebnych a długów moralnych jak się pan wyraziłeś, nie ma co tać w tym wypadku. Cóż to było zatem w przeszłości pana Rovère'a.

Dantin zawahał się na chwilę, ale niedługo, potem odpowiedział stanowczo:

— To, panie sędzio, jest tajemnicą, powierzoną mi przez przyjaciela a ponieważ rzecz ta nie ma nic wspólnego ze sprawą, ponieważ to, o co chodzi, jest absolutnie niezależnem od śledztwa kryminalnego, proszę pana, bym mógł tę tajemnicę, jaką mnie była powierzona, pozostawić przy sobie.

— Przepraszam pana — zarzucił sędzia. — Nie ma, nie może być sekretu dla sędziego śledcze-

go. W interesie Rovère'a, którego pamięć winna być pomszczoną; tak, w jego interesie, a powiedziałbym także i w pańskim, potrzebnem jest, byś pan określił ściślej to, o czem dotychczas wzmiankowałeś tylko. Powiadasz pan, że jest w tem jakaś tajemnica, ja ją poznać muszę.

— To wyznanie zmarłego! — odparł Dantin drżącym głosem.

— Niema w tej chwili innych zwierzeń nad te, które wszyscy winni są sprawiedliwości.

— Ależ to również tajemnica kogoś żyjącego! — zawołał Jakób Dantin.

— O sobie chcesz pan mówić? — rzucił Ginory.

Utkwił w energicznej, udręczonej obecnie i skurczonej konwulsyjnie twarzy Dantina iskrzące swe czarne oczy.

Dantin odpowiedział:

— Nie, nie mówię tu o sobie, ale o kimś innym.

— Ów inny, któż to taki?

— Niepodobna mi tego powiedzieć.

— Niepodobna?

— Bezwarunkowo niepodobna.

— Powtórzę panu moje pytanie poprzednie: Dlaczego?

— Dlatego, że przysiągłem i dałem słowo honoru, że nie odkryję przed nikim tego, o co mnie pan pytasz.

— Ach, ach!—zawołał pan Ginory drwiąco—
więc jest przysięga? To znakomite.

— Tak, panie sędzio—odpowiedział Dantin—
jest przysięga.

— Przysięga uczyniona komu?

— Rovère'owi.

— Który już nie żyje, by pana mógł z niej
zwolnić. Rozumiem.

— A — spytał Dantin z żywością, od której
zadrżała na papierze wychudła ręka pisarza, wciąż
notującego—co rozumiesz pan?

— Przepraszam—ozwał się Ginory—nie jesteś
pan tutaj, by stawiać pytania, ale po to, by od-
powiadać na te, które ja zadaję. To pewna, że
słowo honoru wiążące człowieka posiadającego
tajemnicę, jest sposobem obrony, ale oskarżeni
nadużyli go i dziś zrobili całkowicie bezużyte-
cznym.

I sędzia zauważył zmarszczenie brwi, groźne
niemal, Dantina, kiedy to słowo niespodziewane
oskarżeni, doszło jego ucha.

— Oskarżeni?—podjął mężczyzna, prostując się
na krześle—albożem ja oskarżony?

Głos ostry, nieco stłumiony, grzmiał powstrzy-
mywanym buntem.

— Nie mówię tego—odparł Ginory bardzo spo-
kojnie — mówię, że pragniesz pan zachować dla
siebie jakąś tajemnicę, a to jest uroszczenie, któ-
rego ja nie dopuszczam bynajmniej.

— Powtarzam panu, panie sędzio, że ta tajemnica nie jest moją.

— Niema już tajemnicy, która mogłaby pozostać świętą tutaj. Jest popełnione morderstwo, jest winny, którego znaleźć należy, a wszystko co pan wiesz, winienes odkryć przed sądem.

— Ale gdybym panu dał słowo honoru, że to, o co tu chodzi, niema najmniejszego związku z tem morderstwem, z śmiercią Rovère'a?

— Powiedziałbym memu pisarzowi, żeby zapisał dosłownie pańską odpowiedź—co też i czyni—i w dalszym ciągu pytałbym pana właśnie dlatego, że mi mówisz o tajemnicy, która ci została powierzona i że odmawiasz jej wyjawienia; bo pan odmawiasz?

— Bezwarunkowo.

— Mimo tego, com panu powiedział przed chwilą? To ostrzeżenie, pan czujesz to dobrze?

— Mimo pańskiego ostrzeżenia.

— Strzeż się pan!—wymówił łagodnie pan Ginory, którego twarz zarumieniona utracą przybraną uprzejmość.

Pisarz podniósł głowę żywo. Czuł, że dochodziło już do chwili stanowczej. Wzrok sędziego śledczego zagłębiał się w oczach Dantiusa, a głos powolny wymówił te słowa:

— Czy przypominasz pan sobie, że cię widziała żona portyera z bulwaru Olichy, w chwili, kiedy Rovère, stojąc przed panem, pokazywał ci obligacye i walory w otwartej ogniotrwałej kasie?

Dantiu pozostał przez chwilę zamyślony, jak gdyby mierzył doniosłość tych słów, rozważał wagę pytania i starał się dociec, jak daleko sędzia chce posunąć badanie.

Ta cisza krótka i jakby dysząca, była rzeczywiście dramatyczną. Pan Ginory znał ją dobrze, tę minutę niepokoju, w której badany czuje coś w rodzaju sznura czy arkanu nagle zarzuczonego i owijającego się dokoła jego szyi. Bywa zazwyczaj we wszystkich badaniach taka chwila tragiczna.

— Przypominam sobie doskonale, że widział jakąś osobę mi nieznaną, wchodzącą do pokoju, w którym znajdowałem się z Rovèrem—odpowiedział na koniec Jakób Dantin.

— Osobę nieznaną panu? Znałeś ją pan doskonale, ponieważ niejednokrotnie pytałeś ją, czy pan Rovère jest w domu. Ta osoba to pani Moniche, której zeznanie jest formalnem.

— I cóż mówi to formalne zeznanie pani Moniche?

Sędzia śledczy wziął papier ze stołu i odczytał:

„...Kiedy weszłam, pan Rovère stał przed kasą i zauważyłam, że osobistość, o której mówiłam (osobistość, to pan, pani Moniche mówiąc o panu, używa zwykle tego wyrażenia) rzuciła na walory rozłożone spojrzenie, które mnie przejęło dreszczem. Pomyślałam sobie w duszy: Ten

człowiek ma taką minę, jakby coś złego zamierzał zrobić!”

— To jest—przerwał nagle Dantin, który słuchał ze zmarszczonemi brwiami i wyrazem gniewu — że pani Moniche, w potrzebie, gotowaby mnie oskarżyć, że zamordowałam Rovère'a?

— Za szybko, za szybko pan idziesz. Pani Moniche nie powiedziała jeszcze tego właściwie. Była tylko zdziwiona — zdziwiona i przerażona wyrazem pańskiego spojrzenia, rzuconego na akcyje i obligacye, na walory, które pan Rovère miał w kasie.

— Te walory zatem—spytał Dantin nieco zaniepokojony—zostały skradzione?

— A! Tego my już nie wiemy!

I sędzia uśmiechnął się:

— Znaleziono w kasie Rovère'a około czterechkroć sześćdziesięciu tysięcy franków w walorach, obligacyach miasta Paryża, akcyach towarzystw kopalnianych, tytułach renty, ale nie dowodzi, aby nie miało być przed morderstwem ofiary więcej nad czterekroć sześćdziesiąt tysięcy franków w jego kasie.

— Czy ta kasa została wylamana?

— Nie, ale ktoś zaufany zmarłego, jakiś przyjaciel, mógł posiadać tajemnicę kombinacji tej kasy, wiedzieć jak się składają cztery litery stanowiące słowo, które pozwalało otworzyć kasę bez włamania. Wszystko to jest możliwe, przynasz pan, że wszystko jest możliwe.

W słowach sędziego, Dantina uderzył jeden tylko wyraz, które mu się rzucił w oczy: *przyjaciel*. Pan Ginory wymówił je bez nacisku i jakby przelotnie, ale Dantin pochwycił je; czytał w nim niezmierną groźbę. Od chwili już badany, doznawał szczególniejszego wrażenia. Wydawało mu się, że pewnego dnia, kiedy omal nie utopił się podczas jakiejś wycieczki, doznał tej samej trwogi, czując, że mu gruntu braknie pod nogami — wydało mu się, że się zagłębia w czemś mętne, błękitnawem, lodowatem, że wpada w wodę, w której wrażenie zimna go obeszładnia.

A naprzeciw niego, sędzia śledczy doznawał wprost przeciwnego wrażenia. Ten co zarzucił wędkę i czuje, że na haczyk coś się pochwyciło, doznaje podobnego wrażenia; ale u sędziownika, łowcy prawdy, zarzucającego wędkę w kałużę ludzką, w mętną wodę od krwi czerwonej, zmieszanej z błotem, wrażenie to urastało w stokróć.

Przyjacieli! Przyjaciel mógł nadużyć tajemnicy zmarłego i otworzyć tę kasę żelazną? A ten przyjaciel jakież nosił imię? Kogo chciał wskazać pan Ginory?

Dantin, mimo całej krwi zimnej, doznawał gwałtownej pokusy pytania sędziego, co rozumie przez te słowa. Ale dziwne wzruszenie, które mu sprawiało owo sam na sam z tym sędziul-

kiem różowym i wytwornym nie pozostawało nań bez wpływu. Obecnie wydawało mu się, że od dawien dawna przekroczył próg trybunału i że ten gabinet sędziego, oddzielony od świata, jakby był całą mnicha, posiada mury tak grube, że ich nie przeniknie żaden odgłos z zewnątrz.

Czuł on się jakby zahypnotyzowanym przez tego człowieka, który przed chwilą jeszcze kłaniał mu się tak uprzejmie, a który teraz wlepił weń surowe swe oczy. Jakieś coś niejasnego, niby nieokreślone niebezpieczeństwo, otaczało go i groziło zamknięciem; machinalnie śledził wzrokiem ruch p. Ginory, naciskającego guzik ze słoniowej kości od elektrycznego dzwonka, jak gdyby od tego gestu zależało jakieś zdarzenie własnego jego życia.

Na dźwięk dzwonka wszedł woźny, którego sędzia zapytał oschłym tonem:

— Czy przyniesiono żądane notaty?

— Pan Bernardet mi je oddał przed chwilą, panie sędzio.

— Daj.

Pan Ginory dodał:

— Więc jest tam Bernardet?

— Tak, panie sędzio.

— Dobrze.

Jakób Dantin przypomniał sobie małego człowieka, z którym rozmawiał podczas pochodu pogrzebowego, od domu żałoby aż do cmentarza

Montmartre i którego nazwisko zasłyszał około siebie. Nie znał go, ale to nazwisko go uderzyło. Dlaczego obecność Bernardeta zdawała się tak mocno obchodzić sędziego śledczego?

I z kolei teraz on przypatrywał się panu Ginory, który jako krótkowidz, pochylał głowę z czołem wyłysiałem, na którym żyły występowały jak nabrzmiałe sznury, nad notatkami, które mu przyniesiono. Były to zajmujące, ważne zapewne notatki, bo pan Ginory, widocznie zadowolony, pomrukiwał wciąż coś pod nosem.

— Dobrze... Tak... Tak... Dobrze... Ach, ach! Dobrze...

Potem nagle Dantin zobaczył jak Ginory podnosi głowę i patrzy na niego wprost w same oczy.

Sędzia odczekał chwilę, zanim zaczął mówić i nagle rzucił to pytanie, zagłębił je jak pchnięcie noża:

— Pan jesteś graczem, jak widzę?

Ten znak zapytania aż poderwał Jakóba Dantin na krześle.

Graczem! Dlaczego ten człowiek pyta go, czy jest graczem? Co wspólnego miały jego obyczaje, nawyki, jego nałogi choćby z przyczyną, dla której go tu zawezwano, z morderstwem Rovère'a.

— Jesteś pan graczem—ciągnął sędzia, rzucając od czasu do czasu spojrzenie w notatki. Jeden z inspektorów policyi domów gry widział

jak pan przegrałeś w „Kasynie publicystów“ dwadzieścia pięć tysięcy franków jednej nocy.

— Być może; jedynym ważnym punktem w tej sprawie jest to, że je zapłaciłem!

Odpowiedź była jasną, wyrażała nieco podrażnienia zdumienia zarazem.

— Doskonale—ozwał się sędzia.—Ale pan nie masz majątku. W ostatnich czasach pożyczyłeś pan dość znaczną sumę od pewnego rodzaju lichwiarza, by spłacić dyferencye giełdowe.

Dantin stawał się bardzo bladym, wargi mu drżały i palce; objaw ten nie uszedł oka sędziego śledczego ani pisarza.

— To te pańskie notatki tak pana o tem wszystkim informują?—spytał.

— Rzeczywiście — odparł sędzia. — Sporządziliśmy tu panu w ciągu kilku godzin, osnute na informacjach stanowczych a pewnych akta i rodzaj szkicu biograficznego. Masz pan upodobanie w przyjemnościach życia. Widzieć pana można, mimo pańskiego wieku — proszę mi wybaczyć, to nie złośliwość, ja sam jestem od pana starszym — wszędzie, gdzie się zbiera ów sławny „cały Paryż“, co się bawi. Łatwe życie jest najtrudniejszym ze wszystkich dla tego, kto nie ma majątku. I wedle tego, co mówią te notatki—których się radzić będę aż do nowego zwrotu—majątku nie masz pan wcale.

— To znaczy—przerwał szorstko Dantin—że byłoby wielce możliwem, bym, chcąc zdobyć so-

bie pieniądze, czyli ukraść walory złożone w jego kasie, zamordował przyjaciela?

Pana Ginory nie wzruszył bynajmniej ton wyzywający tych słów, rzuconych żywo, niby okrzyk.

Popatrzał Dantinowi prosto w twarz i z rękoma skrzyżowanymi na notatkach policyjnych, które mu wręczono:

— Panie — rzekł — w przedmiocie kryminalnego śledztwa, sędownik, cheiwy prawdy, obowiązany jest przypuszczać, że wszystko jest możliwem, nawet rzeczy najnieprawdopodobniejsze; w tym wypadku wszakże winienem uznać, że pan nie ułatwiasz mi bynajmniej mego zadania. Jeden ze świadków zastaje pana sam na sam z ofiarą i spostrzega twe pomieszanie w chwili, gdy zobaczono jak oglądasz papiery wartościowe Rovère'a. Ja pytam pana o czem była mowa między panem a Rovèrem owego dnia, pan odpowiadasz mi, że to twoja tajemnica i za całe tłumaczenie dajesz mi słowo honoru, że rzecz ta nie ma najmniejszego związku ze sprawą. Sam uważałbys mnie pan za bardzo naiwnego, gdybym nie domagał się bliższych wyjaśnień. Jakkolwiek nie ma śladów gwałtu w mieszkaniu przy bulwarze Clichy, niemniej przeto kradzież mogła być popełnioną w kasie. Możliwa rzecz, że pan znałeś kombinację zamku kasy, możliwem jest również, że pańska potrzeba pieniędzy w tych

czasach, stała się nagłą, dość wyraźną na to, dość wiadomą, by ją doraźne śledztwo mogło wykazać poniekąd. Pytam pana, powiadam mu czego mogliśmy się dowiedzieć a pan się unosisz. I zważ to pan dobrze, pan to sam w gniewie i gwałtownem uniesieniu wypowiadasz pierwszy to słowo, którego ja nie wymówiłem jeszcze ani jednej zgłoski! Pan sam dochodzisz wprost do logicznej konkluzji tych przypuszczeń, które obecnie słabe są jeszcze, bezwątpienia, ale które niemniej są już przypuszczeniami; to pan sam powiadasz, że z odrobiną logiki możnaby doskonale cię obwinić o zamordowanie tego, którego nazywasz swym przyjacielem.

Każde słowo sędziego sprowadzało na twarz Dantina wyraz gniewu czy zdumienia a im dłużej pan Ginory mówił powoli, spokojnie i bardziej zagłębiał słowa ze zręcznością zawodową, jakby chirurg, co dotyka rany ostrzem stali, tem bardziej człowiek badany, nagle posadzony na ławie oskarżonych, doznawał wewnętrznego buntu, gniewu tłumionego, które objawiały się nagłymi uderzeniami krwi do głowy, do uszu zaczerwienionych lub błyskawicami ponuremi w głębi oczu.

— Zresztą—ozwał się pan Ginory tonem najzupełniej ojcowskim — łatwo panu jest obrócić w niwecz zupełnie wszystkie te podejrzenia i najmiejsze wytłomaczenie roli, jaką pan odegrałeś

w ostatniej rozmowie z Rovèrem, może rzeczy postawić na właściwym punkcie.

— Ach — zawołał Dantin — więc znów do tego powracamy!

— Słusznie powracamy. Bo też i cała waga kwestyi tu spoczywa. Przychodzisz pan powiedzieć sędziemu śledczemu, że istnieje jakaś tajemnica, mówisz o jakiejś trzeciej osobie, o wspomnieniach młodości, o długach moralnych — alboż ja wiem już co? — i dziwisz się, że ten sędzia śledczy czepia się pana, by od ciebie dowiedzieć się prawdy?

— Wszakżem ją panu powiedział.

— Całą prawdę?

— Nie wyswieciłaby ona panu nic pod względem tego morderstwa a zaszkodziłaby tylko komuś innemu, który nie ma nic wspólnego z tą sprawą, powtarzam to panu.

— Tak — przerwał pan Ginory — pan się upierasz przy swym frazesie. A więc ja, sędownik, nie żądam już od pana, byś mi powiedział prawdę, ale nakazuję ją panu wypowiedzieć!

Pióro pisarza skrzypiało po papierze i poruszało się tak żywo, jak gdyby przeczuwało burzę.

Moment psychologiczny się zbliżał. Pisarzowi znaną była doskonale ta chwila, wiedział, że sędzia niebawem wypowie stanowcze słowo.

Toczyła się teraz jakaś walka — widać to było po oczach Dantina, rozszerzonych, jakby osłupia-

łych—w jego umyśle. Patrzył na papiery, na których pan Ginory opierał tłuste swe i włochate palce, na te notatki policyjne, co *paplaly*, jak mawiają wieśniacy, kiedy im mówić przychodzi o papierach, których nie umieją odczytać a które ich obwiniają. Zadawał sobie pytanie, co tam jeszcze okaże się z tych notatek policyjnych, z tych plotek garsonów w kasynie, sąsiadów, odźwiernych. Przesuwał ręką po czole, jak gdyby chciał zetrzeć z niego pot, lub odegnać migrenę.

— Słuchaj pan—ponownie zachęcał sędziego— to nie tak trudno a ja mam przecież prawo wiedzieć wszystko.

Po chwili milczenia, Jakób Dantin wymówił silnym głosem:

— Przysięgam panu, panie sędzio, że nie z tego, co mi powiedział Rovère, kiedym go widział po raz ostatni, nie mogłoby oświecić sprawiedliwości i proszę pana, byś mnie raczył nie badać pod tym względem!

Sędzia odparł:

— Nakazałem już panu mówić wszystko!

— Nie mogę, panie...

— Ależ im więcej pan się wahasz, tem więcej pozwalasz mi przypuszczać, że zeznanie byłoby ważnem.

— Bardzo ważnem, prawda, ale nie ma nic wspólnego z pańskim śledztwem.

— Nie panu to przystoi ograniczać moje powinności lub moje prawa. Raz jeszcze nakazuję abys mi odpowiedział.

— Nie mogę—odrzucił Dantin.

— Nie możesz pan?

— Nie chcę — wymówił wówczas szorstko, z gwałtownym jakimś naciskiem.

Pojedynek ten dochodził kresu.

Pan Ginory począł się śmiać a raczej wydał z siebie jakiś dźwięk nerwowy, a twarz jego krwista stała się szyderczą, drwiącą, szczęki zaś poruszały się machinalnym ruchem buldoga, gotowego ukąsić.

— W takim razie — ozwał się — sytuacja jest wielce prostą a pan mnie zmuszasz, żebym odrazu doszedł do końca mego zadania. Pan mnie rozumiesz?

— Doskonale — wymówił Jakób Dantin z tem instynktownem uniesieniem człowieka, który się rzuca na przeszkodę, bez względu na to, że sobie może o nią rozbić czoło.

— Odmawiasz pan odpowiedzi?

— Odmawiam. Wszedłem tutaj jako świadek, nie mam sobie nic do wyrzucenia, odchodząc nie mam się czego obawiać. Pan możesz robić co zechcesz.

— Mogę—ozwał się wolno sędzia śledczy—zmienić mandat zawezwania na mandat sprowadzenia, niepotrzebny zresztą, skero pan tu już jesteś. Chciałbym zapytać pana jeszcze...

— Rzecz bezpotrzebna—przerwał Dantin—Zabójcą ja! Co za szaleństwo! Zabójcą Rovère'a! Zdaje mi się, że to sen chyba! Ależ to niedorzeczne, bezsensowne, niedorzeczne!

— Dowiedz mi pan, że to niedorzeczne istotnie. Nie chcesz jeszcze odpowiadać?

— Powiedziałem panu wszystko, co wiem.

— Ale nie odpowiedziałeś na to, o co pytam.

— To nie moja tajemnica.

— Tak, to pański systemat. Bardzo on jest częsty i już dziś oklepany. To systemat wszystkich oskarżonych!

— Więc już jestem oskarżonym?—spytał Dantin ironicznie.

Pan Ginory przez chwilę nie odpowiadał, potem zwolna wyjął z szuflady stołu drobne kartki papieru, na których Dantin nie zobaczył już tym razem pisma, ale jakieś obrazki czy ryciny czarne. Nie wiedział co to było. Sędzia wziął je w palce, by pokazać badanemu. Poruszył nimi następnie w powietrzu a papierki te wydały szelest zeschniętych liści.

Pan Ginory zdawał się przywiązywać wielką wagę do tych świstków, którym pisarz przyglądał się z pod oka, domyślając się w nich fotografii ofiary.

— Czy nie zechciałbyś pan — przemówił sędzia do Dantina — przypatrzeć się bacznie tym próbom?

Podał je Dantinowi, który rozłożył je na stole (było ich cztery ogółem) i aby widzieć lepiej, nałożył binokle.

— Co to jest?

— Patrz pan dobrze—w odpowiedzi rzekł sędzia.

Dantin pochylił się nad próbami, badał je jedną po drugiej, odgadując w niewyraźnej cokolwiek fotografii portret mężczyzny; uważniej rozpatrzywszy się nawet, powoli dopatrzył w tem widmie jakiegoś niejasnego podobieństwa.

— Czy nie uważasz pan — spytał pan Ginory—że ta fotografia przypomina nieco pana?

Na ten raz, Jakób Dantin poczuł coś w rodzaju dławiącej jakiejś zmyry, coby mu się kładła na piersi i oczy jego zbiegły się z oczyma pana Ginory, w jakiejś dziwnej trwodze. Wyraz ich zastanowił sędziego. Rzekłbyś, że nagle jakieś widmo stanęło przed wylękłym, pomięszanym człowiekiem.

— Pan mówisz, że to podobne do mnie?— spytał.

— Tak. Wpatrz się pan dobrze. Na pierwszy rzut oka, portret jest ledwie naszkicowany, odznaczony tylko. Przypatrując się lepiej, oddziela się od kręgu fotograficznego, uwydatnia i osoba, która się tam ukazuje, nabiera podobieństwa z panem, bierze pańskie rysy, pańską postać...

— To bardzo możliwe — wymówił Dantin.— Zdaje mi się w samej rzeczy, że widzę sam sie-

bie w małym kieszonkowym lusterku, zamatowanym i okrytem parą. Ale co to ma znaczyć?

— To znaczy... Och zadziwię pana niezmiernie... To znaczy...

Pan Ginory zwrócił się do swego pisarza:

— Widziałeś, panie Favaret, któregoś tu wieczora, doświadczenia, gdzie to doktor Oudin i doktor Barthélemy pokazywali nam serce i płuca, funkcjonujące w klatce piersiowej żywego człowieka, które uczyniły widzialnymi promienie Roentgena?... A zatem i to nie jest cudowniejszym zjawiskiem!... Te fotografie (mówił teraz już wprost do Dantina) zdjęte zostały z siatkówki oka umarłego... Są one odbiciem, reprodukcją obrazu, przechowanego tam, fotografią ostatniej żywej istoty, na której spoczął wzrok konającego, ostatniem wrażeniem wzrokiem nieszczęśliwego... I siatkówka zmarłego oddała nam — to jest świadek! — obraz żywego, którego zmarły oglądał ostatniego na ziemi!

W tej ciasnej celce, w której szamotało się, jak pochwycona w sidła zwierzyna, tylu oskarżonych, tylu winnych, zapadła teraz dławiąca cisza pośród tych trzech mężczyzn, z których jednemu tylko zabrakło gruntu pod nogami pod wpływem nieopisanego przestachu takiej rewelacji. Dla sędziego była to chwila staaowcza, chwila, w której wszystko zostaje wypowiedziane, gdzie badany przechodzi jeden wielki stopień męczarni, gdzie zmienia charakter i ze świadka staje się oskarżonym.

Dla pisarza—otrząskanego przecież już z wrażeniami codziennymi tego rodzaju — był to punkt kulminacyjny widowiska: moment, w którym na naprężonej, wyciągniętej z wody wędeck, ryba szamocze się, uczepiona u haczyka.

Jakób Dantin ruchem instynktownym odrzucił, odtrącił na stole te fotografie, które mu paliły dłonie jak te karty, w którychby kabalarka odczytała wróżbę śmierci.

— A zatem?—zapytał pan Ginory nalegającym tonem.

— A zatem — powtórzył Dantin głosem zdławionym, nierozumiejąc, lub rozumiejąc może z nadto dobrze, broniąc się jak przed dławiącą go zmorą.

— Jakim sposobem tłumaczysz to pan sobie, że obraz twój, twój cień, jeśli pan wolisz, znajduje się odbitym w oku Rovère'a i że w chwili swego konania, pana właśnie on widział, tak, widział jakby pochylonego nad sobą?

Dantin spoglądał dokoła przerażonemi oczyma, zadając sobie pytanie, czy był zamknięty w więzieniu, czy pytanie, które mu zadawano, było realnem, czy głos, który doń przemawiał, nie przemawiał we śnie.

— Jak to wytłumaczyć?... Ależ ja nie mogę tego sobie wytłumaczyć, nie pojmuję, nie wiem... To niedorzeczne, to nie może pomieścić się w głowie, to szaleństwo!...

— Trzebaż jednak—nacierał pan Ginory—aby to szaleństwo, jak je pan nazywasz, miało jakie bądź wytłomaczenie.

— Jakże pan chcesz, bym ja je dał panu? Nie rozumiem, powtarzam panu, nie rozumiem zgoła!

— Bądźcobądź, nie możesz pan zaprzeczyć, żeś był obecny w domu przy bulwarze Olichy w chwili śmierci Rovère'a...

— Dlaczego nie mogę zaprzeczyć?

— Ponieważ wizya, acz ulotna, acz mętna i niewyraźna pozostała na siatkówce, ponieważ ta fotografia, w której pan sam siebie poznałeś, oskarża, zdradza, twą obecność w chwili konania.

— Nie byłem tam jednak, przysięgam, że tam nie byłem—wyrzekł Dantin z mocą.

— A więc wytłomacz pan to inaczej—odparł sędzia.

Dantin milczał przez chwilę pomieszany z zupełną pustką w głowie.

Potem oszołomiony wybąknął:

— Śnię... śnię chyba...

A pan Ginory mówił dalej spokojnym głosem:

— Zważ pan, że ja osobiście nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do tych prób fotograficznych. Nie na nich to samych opierać zamierzam moje oskarżenie. Ale one stanowią szczególniejsze świadectwo, bardzo niepokojące w swem milczeniu. Dodają one jedną wątpliwość więcej do tych, które

pańska chęć milczenia poddawać musi sądowi. Mówisz mi pan, że nie byłeś u Rovère'a w chwili jego śmierci. Te próby nieodparte jak fakt, dowodzą czegoś wprost przeciwnego. Gdzież więc w dniu, w którym Rovère został zamordowany, pan byłeś?

— Nie pamiętam. W domu u siebie bezwątpienia. Musiałbym to sobie przypomnieć. O której godzinie Rovère został zabity?

Pan Ginory gestem oznajmił, że nie wie tego i drwiącym tonem dodał:

— O tem inni lepiej wiedzieć mogą odemnie.

A ponieważ Jakób Dantin patrzył nań zirytowany:

— Tak — dodał sędzia śledczy z podstępą grzecznością — chirurgdzy, którzy wykazali, do której godziny należy odnieść zgon.

Przerzucił znowu akty:

— Nieszczęśliwy Rovère został prawdopodobnie zabity o pierwszej z południa... W pośród Paryża o takiej godzinie morderstwo to doć zuchwał

— O tej godzinie — mówił Dantin — ja wyszedłem z domu.

— Dokąd?

— Przejść się po prostu, miałem migrenę. Przechadzałem się po Polach Elizejskich, w nadziei, że mi przejdzie.

— A na tej przechadzce nie spotkałeś pan nikogo?

— Nikogo.

— Nie wchodziłeś do żadnego sklepu?

— Do żadnego.

— Krótko mówiąc, nie masz pan *alibi*?

Na ten wyraz, raz jeszcze więcej zadrżał Jakób Dantin. Czuł jak oczka tej sieci zaciskają się dokoła niego.

— *Alibi!* A tak, stanowczo więc, panie — zawołał gwałtownie — oskarżasz mnie, że zamordowałem mego przyjaciela?

— Nie oskarżam, badam.

I pan Ginory oschłym tonem, stawszy się naraź ucinowym, groźnym, mówił dalej:

— Badam, ale ostrzegam pana, że rozmowa nasza przybiera dla pana zwrot niepomysłny. Nie chcesz pan odpowiadać, wydaje ci się, że masz prawo zachować przy sobie jakąś tajemnicę, jakąś informację, która nas obchodzić musi. Nie jesteś pan jeszcze w tej chwili wyraźnie oskarżonym... Ale, ale, ale... zostaniesz nim.

Sędzia śledczy przeczekał chwilę, jakby dając badanemu czas do namysłu i umaczawszy pióro w kałamarzu czekał z podniesionem w górę, jak komornik czeka z wzniesionym w górę młotkiem, nim przysądzi coś licytantowi.

Mogę, zdawał się mówić, opuścić pióro, spożytkować tę kroplę atramentu!

Jakób Dantin, nieprzytomny zda się, stał w milczeniu. Ale w jego wzroku wyzywającym, czytać

można było odpowiedź. „Czyżbys się ośmielił? Jeśli zdołasz, uczyn!”

— Więc pan odmawiasz wytłomaczenia?— spytał po raz ostatni Ginory.

— Odmawiam.

— Ha, chciałeś pan tego. Upierasz się, by nam nie dać żadnych wyjaśnień, zastawiasz się niewiedzieć jakim tam skrupulem, czy jakim obowiązkiem honoru, dla którego zachowujesz systematyczne milczenie?... Raz jeszcze: czy trwasz pan przy swoim uporze?

— Nie mam nic a nic do odpowiedzenia panu— odparł Dantin z pewnego rodzaju wściekłością.

— A zatem, Jakóbie Dantin — i głos sędziego śledczego stał się nagle poważnym, uroczystym— od tej chwili jesteś uwięzionym!

Pióro podniesione przed chwilą, spadło na papier. Nakreślił rozkaz aresztowania.

Pisarz popatrzał na mężczyznę stojącego u stołu. Jakób Dantin nie poruszył się z miejsca. Miał teraz na twarzy jakiś wyraz nieokreślony, apatyczny, bezmyślny, wzrok osłupiały istoty, coby śniła z otwartymi oczyma.

Pan Ginory nacisnął palcem jeden z kościanych guzików dzwonek, umieszczonych na swym stole i ukazując Dantina strażnikom, których kaszkiety ukazały się nagle na tle drzwi otwartych:

— Zabrać obwinionego—wymówił dobitnie.

I machinalnie, przygnębiony, bez protestu, Jakób Dantin pozwolił się prowadzić przez kurytarze trybunału, nie mówiąc nic już, nic nie pojmując, słaniając się chwilami, jak człowiek pijany lub lunatyk.

XI.

Pan Bernardet tryumfował. Powrócił na obiad dzisiaj rzeźki, wesoły a trzy córeczki w jednokowych sukienkach skoczyły mu równocześnie niemal na szyję, kiedy żona zawsze wesoła i świeża, podawała tłusty i czerwony policzek do pocałowania.

— Moje dzieciaki—mówił inspektor— zdaje mi się, że dokonał czegoś porządnego i że czeka mnie awans lub gratyfikacya. Mój naczelnik, pan Leriche, to człowiek niezmiernie niesprawiedliwy, niezbyt miły w stosunkach, ale bardzo sprawiedliwy... Kupię każdej z was ładne *porte bonheur*, moje dzieci, jeśli nadzieje się spełnią. Ale w tem, nad czem pracowałem teraz, nie kierowała mną myśl zysku i zdaje mi się, że o krok naprzód posunął system sądowego śledztwa, dzięki tylko mojej kamerze... Zresztą zbyt długo trzeba by wam to tłumaczyć, a może nawet i na nicby się to nie przydało. Siadajmy lepiej do stołu. Głodny jestem jak wilk!

Pan Bernardet w samej rzeczy zajadał z wielkim apetytem, przerywając sobie tylko chwilami,

by opowiedzieć żonie, jak to domniemany morderca ich sąsiada, pana Rovère'a, siedzi już obecnie za kratą.

— A, nierad on tam musiał być — mówił Bernardet, między dwoma łyżkami rosółu. — Nierad z wszelką pewnością... Nierad i zdumiony... Twierdził zresztą, że jest niewinny, jak wszyscy zawsze... To ich zwyczaj!

— Ale—spytała nieśmiało pani Bernardet, poczciwa, tłusciutka mieszczańeczka—jeśli on naprawdę był niewinnym?

I wszystkie trzy dziewczynki, podniosłszy w górę różowe twarzyczki, patrzyły w twarz ojcu, jakby chciały poprzeć pytanie matki.

Najstarsza szepnęła nawet:

— Tak, a jeśli mama miałaby słusność?

Bernardet wzruszył ramionami.

— Gdyby słuchać tego, co oni sami mówią, wszyscy byliby niewinni a zbrodnie spełniałyby się chyba same. Jeśliby ten miał być niewinnym, na-przód zdziwiłoby mnie to tak, jak gdyby w środ-ku czerwca spadł śnieg w Paryżu, a potem do-wiódłby swej niewinności. Takich rzeczy nietru-dno jest dowieść!... Dolej mi jeszcze trochę rosółu, Melanko.

— Więc podług twego mniemania—mówiła go spodyni, nślewając w wyciągnięty ku niej talerz pełną wazową łyżkę gorącej zupy—niema oskar-żonych, coby byli niewinnymi? Czyż wy się nie mylicie nigdy?

Bernardet zabrał się napowrót do jedzenia.

— Nie mówię tego... Niema na świecie ludzi nieomylnych... Najmędrsi myślą się czasami... Oszukują się nieraz najmędrsi! Ale jakże rzadko, jak to rzadko! Można powiedzieć niemal, że to rzecz niemożliwa... Lesurques, tak (wszystkie trzy dziewczynki otwierały szeroko oczy), ten Lesurques z „Kuryera lugduńskiego“, na którego sztuce ta-keście płakały w teatrze Montmartre, widziciel! Chciano przejrzeć raz jeszcze jego proces, zrehabilitować go. A jednak nie było można!... Przeglądałem jego proces... studyowałem go... Słowo daję, dziś jeszcze potępiłbym go tak samo... Co za dobry rosół!...

— Ale ten dzisiejszy — spytała żona — czyś pewny, że on jest winnym. Jakże się nazywa?

— Dantin, Jakób Dantin. O, to pan! Elegancki i przystojny mężczyzna. Ot, jakiś pan z cyganeryi arystokratycznej, któremu potrzeba było pieniędzy prawdopodobnie i który wówczas... Rôvère miał leżące listy zastawne w kasie... Sposobność tworzy złoczyńców... I ot co!

— Tatku—przerwała najstarsza z panienek — czy będziemy mogły pójść na ten proces, kiedy go będą sądzić?

— Niewiadomo. Niełatwo to tam się dostać. Postaram się jednak, poproszę... Jeśli będziecie pilne... A to warto widzieć, to równie zajmujące, jak dramat!

— Będę już pilną—mówiła dziewczynka.

Po obiedzie, wypiwszy czarną kawę i pozwoliwszy trzem córeczkom umaczać po kawałku cukru w filiżance, Bernardet wyciągnął się wygodnie w starym, skórzanym fotelu, kupionym za bezcen u jakiegoś z tych tandeciarzy, do których lubił często zaglądać. Odetchnął głęboko zadowolony, jak człowiek, co odpoczywa po trudach dziennych i rozkoszuje się chwilą przelotnego spokoju, jak koń wiecznie gnany w rzadkich chwilach swego postoju.

— A—zawołał, rozkładając dziennik, który mu żona położyła tuż obok na stoliczku, przy kieliszku porzeczkowego wina, przysłanego przez krewnych z Burgundyi.—Dowiem się teraz, co słychać i co ci poczciwi dziennikarze wymyślili na rachunek sprawy z bulwaru Olichy. Prawda—mówił, śmiejąc się do żony, która zbierała ze stołu nakrycie, w czem jej dopomagała najstarsza z córek—że między nami a reporterami odbywa się rodzaj wyścigów *steeple chase*. A zdaje się, że czasami oni biorą metel... Czasami znów, nie nie wiedząc, wymyślają niestworzone, niesłychane historye!

Mała naftowa lampka oświecała dziennik, który w tej chwili rozkładał inspektor i Bernardet dodał jeszcze:

— Zobaczmyż, zobaczymy, co tam opowiada „Lutecya“.

Przypomniał sobie teraz, co mu mówił Paweł Rodier i polecenie reportera: „Czytaj pan mój

dziennik! Czy istniała rzeczywiście na prowincyi owa pani w żałobie? Czy też tylko nowelista ukuł całą opowieść dla konkurencyi z felietonowym współpracownikiem?

— Dowiem się o tem zaraz—myślał Bernardet.

Przejrzał dziennik, począwszy od artykułu wstępnego aż do nowin teatralnych.

— Polityka... To mnie nie obchodzi... Przesilenie ministeryalne.. Nie nowina... nie nowina... Ten dziennik równie dobrze mógłby być wczorajszym lub jutrzejszym... „Zbrodnia na bulwarze Clichy“... A, dobrze... To to...

I Bernardet począł czytać.

Czy Paweł Rodier wymyślił, czy ukuł wszystkie informacye, [które podawał publiczności? Co pewna, to to, że agent marszczył brwi i odczytywał teraz z uwagą, jakby rozważał każde słowo *informacyi* reportera, artykuł poświęcony zabójstwu Rovère'a.

Rodier przytaczał, dopełniając jej, biografię byłego konsula. Zapewniał, że Rovère był w republice argentyńskiej wmieszany w jakieś gwałtowne dramaty. Była to osobistość romantyczna, o której opowiadano sobie niejedną przygodę w Buenos-Ayres. Reporter „Lutecyi“ otrzymał te szczegóły od jednego z korespondentów dziennika argentyńskiego „Pensa“, osiadłego w Paryżu, który niegdyś w Ameryce południowej żył w bliskich stosunkach z konsulem francuzkim. Pojawianie się w życiu Rovère'a pani jakiejś, zawsze

przybranej w żałobę, te wizyty nieznajomej, składanane samotnikowi z bulwaru Olichy, składanane w pewnych stałych okresach czasu, jakby w rocznicach pewnych, dowodziły serdecznych jakichś związków, pokrewieństwa może zamordowanego z tą panią nieznaną. Kobieta była młodą, elegancką i nie zamieszkiwała bynajmniej w Paryżu. Chodziło o to, by odkryć miejsce jej pobytu, nazwisko a nie ulega wątpliwości, że morderstwo, otoczone dotąd nieprzenikniętą tajemnicą, dzięki jej objaśnieniom, zostałyby rozświecone.

— He, he! To nie są informacye zbyt dokładne—mówił sobie agent policyjny.

Ale w każdym razie budziły one przynajmniej ciekawość inspektora i pobudzały go do wyłączenia inteligencyi. Nie rozwiązywały żadnego problemu, ale go stawiały. Słynne *cherchez la femme* de Sartinesa, oczywiście musiało znaleźć się pod piórem Pawła Rodier i reporter uzupełniał swój artykuł kilku szczegółami o Jakóbie Dantim, serdecznym i jedynym przyjacielem Ludwika Piotra Rovère'a i widocznem było, że dziennikarz w chwili pisania artykułu nie wiedział nic jeszcze, że Dantin jest już aresztowany.

— Jutro—mówił sobie Bernardet—da nam biografję Jakóba Dantin... Niewielem się dowiedział z jego reporty... A jednak...

Składał teraz dziennik i, popijając zwolna wino porzeczkowe burgundzkiego krewniaka, myślał o owej odwiedzającej pani w żałobie i mó-

wił sobie, że w istocie, kto wie, czy nie tam należy szukać tropu... Zobaczy jeszcze Moniche'ów, rozpyta ich, męża i żonę, będzie szukał.

— Ale po co? Ujęliśmy winnego. Można trzymać zakład o sto przeciw jednemu, że morderca jest w naszych rękach. Kobieta mogłaby być tylko współniczką.

A potem Bernardet, jakkolwiek była to u niego raczej namiętność, niż próżność swego zawodu, Bernardet, ten artysta w kwestyach policyjnych, Bernardet, zamiłowany w sztuce dla sztuki, zacierał ręce, wieszając sobie po cichutku, że tak nastawał na pana Ginory, na lekarzy i że on, skromny agent podrzędny, nieznan, działający w mroku i spełniający bez rozgłosu swą powinność, skłonił, zmusił osobistości tak ważne, jak sędziów i członków Akademii medycznej, by przyjęli jego pomysł, spróbowali eksperymentu, usłuchali, tak, usłuchali jego podszeptów. Gdyby miał skłonność do unoszenia się dumą, mały Bernardet byłby w tej chwili czuł się sławnym.

Bo jakże! Zważywszy wszystko, on to posunął o krok naprzód wiedzę. Tak, on, biedny inspektor policyjny! Uwierzył i zmusił innych do uznania możliwości, której przeciono z góry, którą zapoznawano. Dowiódł, że to, co uważano za urojenie, może się urzeczywistnić, że niepodobieństwo może się spełnić. Wywołał tajemnicę zmarłego z głębin grobu!

— A jeśli pan Ginory przypuszcza, że mu to nie pomoże do jego kandydatury na członka Akademii?... Jeśli przywdzieje frak zielony... pan Ginory mnie go zawdzięczać będzie! Iluż to innych już niejedno mnie zawdzięczał!

Z tą łatwością wiary we własne marzenia, ze zdolnością widzenia ich wcielonymi i urzeczywistnionymi—zdolnością, która u tego człowieka faktów nieodpartych, celu określonego, dziwnie przypominała halucynację poety. Bernardet nie powątpiewał o rzeczywistości tego widma, dostrzeżonego w oku trupa. To oko, rozczłonkowane skalpelem, było dlań tylko zwierciadłem mszczącym.

— Kiedy pomyślę... kiedy pomyślę, że nie chcieli spróbować tego eksperymentu? A co! Teraz on zrobiony! Już zrobiony!

Pan Ginory zresztą zalecił gorąco, aby z całej tej części śledztwa nie doszło do publiczności. Należało pod tym względem zachować absolutne milczenie. Gdyby prasa dowiedziała się coś o tem, nadałaby niezawodnie podjętemu przez sędziego doświadczeniu barwy jakiejś opowieści fantastycznej. Byłaby to sprawa sądowa à la Poë, której kosztem żyłyby przez czas pewien wszystkie kroniki paryzkie. Ileż wylanego atramentu domieszanoby do krwi Rovère'a! Nie, rozumie się, że jeśli winny wyzna w końcu swą zbrodnię, można było wyjawić, jakim osobliwym i nowym sposobem, naukowo niesłychanym, d

prowadzono go do tego wyznania, ale aż do tej chwili absolutne milczenie. Wszystko, co się mówiło dokoła stołów Morgi i w straszliwym gabinecie sędziego śledczego miało pozostać tajemnicą.

Ale czy Dantin się przyzna?

Nazajutrz po jego aresztowaniu, Bernardet udał się do trybunału, by się dowiedzieć, jak stoją rzeczy. Chciał spytać swego naczelnika co myśli o wskazówkach artykułów „Lutecyi“, dotyczących pani w żałobie?

Pan Leriche nie przywiązywał do nich wielkiej wagi.

— Informacje reporterskie, wielce niedokładne. Toż zawsze w życiu mężczyzny, do licha, musi być jakaś kobieta! Ale czy ta zna tego Dantina? Mnie wydaje się ona prosto dawną kochanką opuszczoną, która od czasu do czasu przychodziła prosić o jakąś pomoc starego kawalera.

— Kobieta opisywana przez Moniche'a jest młodą—zarzucił Bernardet.

— Kochanki opuszczone mogą być młode—odpowiedział pan Leriche, widocznie zachwycony swą uwagą.

Co do Dantina, obstawał on przy milczeniu. Upornie twierdził, że niegodziwością jest aresztowanie, którego nic nie usprawiedliwia i zachowanie jego wciąż było wyniosłe, niemal wyzywają-

ce takie, które naczelnik Bernardeta nazywał zachowaniem „wielkich zbrodniarzy“.

— Mordercy w surducie wyobrażają sobie, że wyszli z uda Jowisza i przyznają nam tylko prawo aresztowania małomieszczan lub rzemieślników... Wierzą oni w arystokrację i przywileje i radziby nas skasować, dobrze to wiesz, Bernardecie... Później w miarę, jak czas przechodzi, uspakajają się i, łagodni jak baranki, beczą i przyznają się... Dantin w końcu to zrobi, jak zrobili inni. Na teraz ryczy o swej niewinności i będzie nam groził, zobaczysz, interpelacją do izby poselskiej. Ale to nic nie znaczy.

Naczelnik dał następnie kilka instrukcyj Bernardetowi. Nie chodziło już o sprawę Dantina, ale o zupełnie zwyczajny wypadek złodzieja, który wyważył drzwi u kupca win i którego trzeba było odnaleźć w jakiej kryjówce. Po morderstwie Rovère'a i doświadczeniach w Mordze, dla Bernardeta było to ujmą. Ale zawód każdy ma tego rodzaju antytezy. Agent policyjny przystępował do sprawy powszedniej zwykłego złodzieja z tą samą gorliwością, z tą samą zaostrzoną uwagą, jak do dramatu przy bulwarze Clichy.

Takim jest ten zawód.

I Bernardet udał się, gdzie mu wskazano. Na ten raz należało mu skierować swą działalność w stronę hal targowych. Człowiek, na którego miano oko, należeć musiał do kategorii tych włóczęgów we dnie i w nocy, którzy żyją przygo-

dami i nie mając stałego zamieszkania, śpią pod mostami lub w szynkach, w stronie ulicy Weneckiej, gdzie rozpusta, nędza i zbrodnia szukają w nocy schronienia. Bernardet niebawem wypytał kupca win, zebrał wiadomości potrzebne o złodzieju, którego miano w podejrzeniu i z miłą obojętną spacerującego próżniaka, przechadzał się powoli po ulicach, przypatrując się ludziom i rzeczom badawczem swem okiem; stawał przed wystawami sklepów, przyglądał się przechodniom, badał ruch uliczny, wszystko, co mogło mu dać jakąś wskazówkę lub pomysł.

Miał już taki zwyczaj spożytkowywania w ten sposób nawet spacerów. W drodze poznawał niejednego *klienta* przeszłego lub przyszłego, zwierzyne policji poprawczej lub grubszą recydywistów. Wymijali oni szybko małego, tłustego człowieczka, z rudawym wąsem, unikając inkwizytorskiego i przebiegłego jego wzroku. I ten rodzaj trwogi, który budził, zmuszał agenta do wewnętrznego uśmiechu. Czuł, że jest szanowanym, skoro go się obawiają. Pomiedzy wszystkimi tymi przechodniami, którzy go potracali, nie wiedząc, że czuwa nad nimi, on był potęgą, potęgą bezimienną, ale wszechwładną. Silna jego wałkowata ręka mogła spaść, jak szpony drapieżnego ptaka na kołnierz tyłu ludzi!

Szedł sobie pan Bernardet drobnymi krokami, z okiem na czatach, nader mało zajmując się sprawą drzwi wyważonych—takiego drobiazgu—

i zatrzymując się czasami przed wystawą jakiego tandeciarza, antykwaryusza lub oknem księgarni.

Było to także jego zwyczajem a zarazem metodą. Przebiegał oczyma dzienniki ilustrowane, zawieszane na tych wystawach, prospekty i zeszyty popularnych piosnek. Musiał zawsze wiedzieć dobrze, co myślą w tej chwili, o czem marzą, czego się domagają i co śpiewają maluczcy, którymi tam w górze nikt się nie zajmuje.

— Ci co rządzą—myślał Bernardet—powinniby mieć zwyczaj chodzenia pieszo po ulicy. Niezego się dowiedzieć nie można z głębi karety, powożonej przez stangreta z trójkolorową kokardą!

Powracał więc do prefektury, kiedy w ulicy des Bons-Enfants, instynktownie pociągnął go ku sobie sklep antykwaryusza, gdzie pomiędzy starą bronią zardzewiałą, strzępami mundurów, kaszkie-tów dawnych, łachmanów bez wartości, obrazów zakopcanych, rycin pożółkłych i wszelkiego rodzaju drobiazgów, obok książek starych, niekompletnych, wczoraj modnych powieści, dawnych książek o podartych okładkach, cały stos przedmiotów różnorodnych, kluczy zgubionych, klamer od pasków, medali wyszłych z użycia, piętrzył się w podłużnym pudełku, jakby w rodzaju koryta.

Z dwóch stron tego ciemnego sklepiku wisiały w ponurym półcieniu zbrudzone ubrania, kurtka żuawa, stary frak akademicki, przykre sprat-

wiający wrażenie swemi haftami wypełzłemi zielonemi i brudny kostium karnawałowy pierrota. Przypominało to kostnicę, kostnicę ubrań, odrzuconych przez żywych lub opuszczonych przez umarłych.

Bernardet nie był z natury ani melancholikiem, ani marzycielem i nie poświęcał wiele czasu na rozważania smętne, ale był zaciekłym ciekawcem i widok, dość powszedni zresztą tego sklepiku pełnego różnorodnych rupieci, pociągnął go ku sobie.

Z tym rodzajem magnetyzmu, znanego dobrze poszukiwaczom, obdarzonym zwykle intuicyą, od największych do małych, począwszy od kolekcjonistów cacek do odkrywców światów, od miłośników starych szpargałów, pochylonych nad pudełkiem za cztery sous, do chemików, zgarbionych nad retortą—Bernardet pociągnięty został nagle niemal przez obrazek, ustawiony jako rzadszy przedmiot, w samym środku wszystkich tych szczątków zbytku minionego i znikomej sławy wojskowej.

Tak; pomiędzy tabakierkami, klamrami pasów, tureckimi kindzałami, zegarkami o połamanych wskazówkach, japońszczyznami bez wszelkiej artystycznej wartości, leżało, stało raczej, malowidło owalnego kształtu, rodzaj sporego medalionu bez ramek, które natychmiast szczególniejszą atrakcyę zbudziło, a potem i zatrzymało na sobie uwagę policyjnego agenta.

— Ach, patrzcie!—zawołał całkiem głośno Bernardet—to szczególniejsze!

Przycisnął twarz, nosem dotykając zimnej szyby wystawowej sklepu.

Malowidło to, wielkości dłoni, było portretem, portretem mężczyzny i Bernardetowi od pierwszego rzutu oka wydało się, że poznaje tego, którego malarz chciał przedstawić.

Ponieważ cień jego padał na witrynę sklepu, Bernardet niewyraźnie tylko widział malowidło, które bez porównania lepiej widocznem było zdaleka i stanął z boku nieco, aby znaleźć punkt dobry pierwszego rzutu oka.

Tak, bez wszelkiej wątpliwości, to malowidło owalne, tu spostrzeżone, było portretem owego Jakóba Dantina, obecnie oskarżonego o morderstwo.

Było to też same czoło wyniosłe, ta sama poza śmiała, wyzywająca niemal, ta sama broda, w klin przycięta, prawie tej samej barwy, co aresztowanego i surdut czarny, szczelnie zapięty i mocno przystający, który gorą przy oblamowaniu białego kołnierzyka, wymalowanego przez artystę, tworzył pewne podobieństwo ze spencerem i nadawał tej postaci pozór dokładny rajtara, stronnika Gwizyuszów, jakiegoś rębacza z czasów Cloueta.

Bernardet nie był znawcą malarstwa, ale w swym charakterze fotografa-amatora, cenił on przedewszystkiem w portrecie podobieństwo do-

skonałe, to też ta twarz mężka wydała mu się czemś znakomitą. Jakób Dantin zdał mu się tutaj, jakby żywym, wcielonym.

Dantin zjawiał się przed nim na tle czarnozielonem, występujący na jasne światło z szczupłą swą, wychudłą twarzą, o rysach energicznych, szczególnej bladeści. Postać ta, traktowana z przedziwum artyzmem, modelowała się potężnie, nabierała zdumiewającej siły życia.

Było to niezawodnie malowidło jakiegoś mistrza. A jakkolwiek na tym portrecie Jakób Dantin był bez porównania młodszym — jakkolwiek nie miał naprzykład jeszcze siwych włosów w szpiczastej swej brodzie — podobieństwo było tak uderzającym, że Bernardet zdaleka nawet, uderzony niem nagle, powiedział sobie zdumiony:

— Ależ to on!

I bezwątpienia był to on. Im dłużej Bernardet przypatrywał się tej fizyonomii, tem więcej odnajdował w niej jakby żywą tę wychudłą twarz swego towarzysza na drodze z domu Rovère'a aż do cmentarza — a potem do więzienia. Ale jakim sposobem ta miniatura mogła się dostać aż tutaj do sklepu tandeciarza i od kogo mógł ją nabyć kupiec?

Odpowiedź bezwątpienia nietrudno będzie otrzymać i agent, otworzywszy drzwi sklepu, znalazł się nagle wobec otyłej, bladej i nabrzęklej kobiety, z twarzą szeroką, otoczoną koronkowym czepcem

i ciałem potwornie rozrośłam, w białej włóczkowej chustce. Kobieta miała na nosie okulary.

Bernardet, skłoniwszy się jej, wskazał portret, umieszczony na wystawie, który zażądał obejrzeć.

Skoro go wziął w rękę, podobieństwo tak łatwo skonstatowane przez szybę, wydało mu się jeszcze zupełniejszym. Widocznem było, że to był portret Jakóba Dantina. Z boku nakreślone były cyfry P. B. Bordeaux, 1871. Zrobiony był na deszczułce a owalne ramy, których brakło, odznaczały się jeszcze na drzewie wyłobieniem okrągłym, które tu i owdzie zdrapało farbę i pozostawiło nawet z jednej strony deszczułki ślad lekkiego nadłamania, odsłaniając do naga drzewo; zdawało się, że ktoś spiesznie odrywając ramę, uszkodził malowidło.

— Czy dawno już posiadasz pani ten obrazek? — spytał Bernardet, dobrze wpiersz przyjrzawszy się osobistości kupcowej.

— Dziś po raz pierwszy go wystawiłam — odpowiedziała otyła jejmość. — O, to wyborowa sztuka!... To malował artysta co się zowie!

— A od kogo nabyłaś pani ten portret? — pytał inspektor dalej.

— Od kogoś, któremu zależało widocznie na pozbyciu się go. Jeśli pan ciekaw jesteś dowiedzieć się jego nazwiska...

— Tak, niezawodnie, byłbym ciekawy—odparł Bernardet.

Kupcowa spojrzała na małego człowieka podejrzliwie i zadała mu także pytanie:

— Czy panu znana jest osoba, którą przedstawia ten portret?

— Nie, nie znam jej. Ale portret ten dziwnie jest podobnym do jednego z moich krewnych. Podoba mi się. Ilebyś pani chciała za niego?

— Sto franków — odpowiedziała gruba jejmość.

Bernardet równocześnie zachnął się i roześmiał.

— Sto franków! Do licha, ależ go pani cenisz! To warte dwadzieścia franków, nie więcej.

— To? — zawołała kupcowa oburzona. — To? Ale przypatrzcie się pan tej robocie, temu tłu?... Przecież to robił jakiś sławny, ja to panu mówię... Zaniosę obrazek do którego z ekspertów... Na publicznej licytacyi, to rzecz pewna, przyniosłby mi może jakie tysiąc franków! I jak mi się zdaje, jest to portret którejś ze znanych osobistości... Jakiegoś aktora, jeśli się nie mylę... Albo może dawnego ministra... Krótko mówiąc, jakiejś osobistości historycznej...

— Jest zatem szansa—odpowiedział Bernardet drwiącym tonem...—Ale sto franków, to jednak zawsze sto franków! Za drogo dla mnie... A kto pani sprzedał to malowidło?

Kupcowa poszła za biurko i otworzyła szufladę, z kąd wyjęła książkę podługną, w której zapisywała codzienne notatki.

Poczęła szukać.

— Dwunastego listopada... obrazek owalny na dziewie kupiony od... od...

Musiała poprawić okulary, aby odczytać niewyraźnie nakreślone nazwisko.

— To nie ja pisałam, to napisał sam sprzedający.

I przesyłabizowała:

— Karola... Karola Breton .. ulica La Condamine, 16.

— Karol Breton—powtórzył Bernardet.—A co to za człowiek ten ów Karol Breton? Radbym wiedzieć, jakim sposobem można sprzedawać obraz, który wygląda widocznie na portret rodzinny?...

— Co pan chcesz—mówiła gruba jejmość. — Alboż to raz się przytrafia. Ot, handel. Sprzedaje się, kapuje wszystko, co się da.

— I w jakimże wieku był ten Karol Breton?

— O, młody! Trzydzieści lat najwyżej. Przy stojny; brunet, z brodą.

— Nic pani w nim nie uderzyło szczególniej?

— Nie—odpowiedziała kupcowa, którą widocznie poczynały nudzić już wszystkie te pytania, cokolwiek natarczywe i która patrzyła na małego człowieka z pewnym niepokojem.

Bernardet zrozumiał o co chodzi i tonem ojcowskim, poufałym i pełnym życzliwości, ze słodkiutkim uśmiechem, ozwał się:

— Nie będę się z panią bawił w zagadki; jestem inspektorem policyi i malowidło pani przerażliwie jest podobne do jednego obywatela, którego mamy już pod kluczem. . . Pojmiesz pani zatem, że dla mnie ważnem jest wiedzieć, z kąd i od kogo pochodzi ten portret?

— Ależ ja przecie powiedziałam już panu — odpowiedziała kupcowa.—Karol Breton, ulica La Condamine 16, oto nazwisko i adres, wszystko, co sama wiem zresztą. Zapłaciłam za medalion dwadzieścia franków. Tu zanotowane, czytaj pan, czytaj, proszę. U nas wszystko idzie uczciwie Nigdy ani nieboszczyk mąż mój, ani ja nie byliśmy zamieszani w nic podejrzanego. Żyje człowiek wśród kurzu i brudu tych rupieci, ale ręce ma czyste i czyste sumienie. Spytaj pan na całej ulicy, jaką opinię ma wdowa Colard; nie nikomu nie jestem winna i szanują mnie wszyscy...

Wdowa Colard długo jeszcze byłaby tak prawiła, gdyby Bernardet nie powstrzymał potoku jej wymowy. Błada przed chwilą, teraz była rozczzerwieniona i wzruszenie jej szukało ujścia w potoku wyrazów. Inspektor położył tamę tej powodzi:

— Nie oskarżam pani bynajmniej i nie mówię nic, prócz tego, co chcę powiedzieć. Wypadkiem

przechodzę koło sklepu pani; widzę w nim portret, podobny do kogoś, którego znam. Pytam, ile chcesz pani za niego i oprócz tego pytam o jego pochodzenie, oto i wszystko. Niema w tem przecież nic, czemby sobie trzeba nabijać głowę. Nie podejrzewam panią o paserstwo, nie wątpię o dobrej jej wierze. Powtarzam tylko moje pytanie: Ile pani żądasz za ten obrazek?

— Dwadzieścia franków, jeśli pan chcesz. Ty-le, ile ja sama za niego dałam. Jeszcze tegoby mi brakło, żeby miał na mnie ściągnąć jakie nieprzyjemności. Weź go pan sobie choćby i za darmo, skoro to panu robi przyjemność!

— Ależ bynajmniej, przeciwnie, chciałbym pani za niego zapłacić. Co się pani tak zamyślasz?

Wdowa Colard, jak wszyscy ludzie pewnej klasy, czują instynktowną obawę przed policją. Obecność agenta u niej wydawała jej się, że ją równocześnie znieważa i czemś grozi. Zdawało jej się, że jakieś niejasne podejrzenie ciąży na niej i czuła potrzebę instynktowną zapewniania głośno o swej niewinności.

Zawsze uśmiechnięty dobrodusznie, wyciągnął uspakajająco błogosławiącą dłoń prałata, przekonywając, łagodząc. Nie chodziło tu o nią przecież, przeciwnie, ona nawet przypadkowo dopomagała sprawiedliwości, mimowolnie przyczyniła się może do wydania w ręce policji winnego.

Na to oświadczenie wszakże, pani Colard oburzyła się jeszcze mocniej. Cóż to? Jak ktoś śmie ją posądzać o dopomaganie policyi? Czy ją uważają za denuncyantkę, każą szpiegować? Ona, chwala Bogu, nie miała się nigdy takiego chleba. Nie zna wcale tego młodzieńca. Kupiła od niego obraz, jak kupuje najrozmaitsze rzeczy, stare cacka, klejnoty i drobiazgi.

— A gdyby go powiesili potem przezemnie, dla tego, że miał tyle ufności, iż wszedł tu, do mego sklepu, nie mogłabym sobie wybaczyć tego nigdy w życiu.

— Ależ tu niema mowy bynajmniej o wieszaniu tego Karola Bretona. Ani myśli, ani myśli. Chodzi tylko o to, by się dowiedzieć, kto on taki i od kogo otrzymał ten portret? Raz jeszcze pytam, czy nic nie uderzyło panią w jego fizjonomii, w jego ubraniu?

— Nic—odpowiedziała pani Colard.

Zastanowiła się.

— A może jednak. Kształt kapelusza. Był to filcowy kapelusz, o bardzo szerokim rondzie, cokolwiek w rodzaju tych, jakie noszą amerykanie, południowcy *toseros*. Wie pan, taki kapelusz, co to nazywają *sombrero*... To jedno zwróciło tylko moją uwagę... Powiedziałam sobie: „To musi być ktoś, co powrócił gdzieś z daleka”—i gdyby nie to, że na obrazku przeczytałam, iż był robiony w Bordeaux, byłabym myślała, że to portret ja-

kiegoś hiszpana czy peruwiańczyka, czy coś w tym rodzaju...

Inspektor słuchał, z oczyma utkwionemi w okulary pani Colard i zestawiał teraz tę nową wiadomość z niektórymi informacyami, udzielonemi mu przez Moniche'ów o owym gościu z cudzoziemską powierzchownością, którego widziano u konsula tak samo, jak ową damę w żałobie.

— Jakiś wspólnik—myślał agent.

Raz jeszcze spytał panią Colard o cenę portretu.

— Ile pan dasz—odpowiedziała kupcowa, wciąż zmieszana.

Bernardet uśmiechnął się znowu:

— No, pani Colard, przetnijmy gruszkę na połowę, dobrze?

— Niech będzie pięćdziesiąt franków. Oddałabym panu i za darmo, gdybyś zażądał.

Bernardet zapłacił. Miał on przy sobie zawsze—z zasady—banknot pięćdziesięciofrankowy w pugilaresie. Cokolwiek drobnych w kieszeni tylko, ale ten banknot zawsze na wszelki wypadek, w rezerwie. Nigdy nie można wiedzieć, co człowiek wykopie, kiedy się idzie na poszukiwanie ciekawości.

Zapłacił więc, ale dodał, że pani Colard niezadługo pewnie zawezwaną zostanie do sędziego śledczego i będzie musiała powtórzyć mu to wszystko, co jemu powiedziała o Karolu Bretonie.

— I więcej też nie nie będę mogła powiedzieć, bo nic innego nie wiem—zapewniła otyła wdowa, której olbrzymia pierś wzdęta, wezbrana była wzruszeniem.

Zawinęła portret w bibułkę, potem w gazetę, która nadomiar jeszcze, jak to w myśli zauważył Bernardet, była numerem „Lutecyi“, tym właśnie, gdzie Paweł Rodier pomieścił swoje „Niedyskrecye o zbrodni z bulwaru Clichy“, inspektor wyszedł ze sklepu, zachwycony swem odkryciem, pośpiewując sobie półgłosem jakąś piosenkę.

Miałże iść teraz do prefektury, zawiadomić swego szefa o znalezieniu portretu, czy też pójść do mieszkania tego Karola Bretona i przytapać go w legowisku?

XII.

Bernardet zawahał się na chwilę, potem powiedział sobie, że w podobnym wypadku każda minuta jest drogą, że tracić godzinę byłoby bezpotrzebnem i że najkrótszą drogą do celu, jest droga do mieszkania, gdzie można zastać tego, który sprzedał portret.

— Ulica La Condamine, numer szesnasty.

Bal Niedaleka to była droga dla Bernardeta. Dalsze on odbywał wycieczki, kiedy całemi nocami włóczył się po Paryżu, w pościgu za jakim zbrodniarzem. Co go dręczyło tylko, to myśl, że ta droga na Bulwary zewnętrzne, prawdopodobnie będzie straconym zupełnie czasem. Karol Breton niezawodnie musiał dać fałszywy adres pani Colard, która na nim poprzestała. A i to nazwisko Breton, czyż było istotnie nazwiskiem młodzieńca w szerokim kapeluszu sombrero? Fałszywe nazwisko, fałszywy adres, toć to dziecięstwo sztuki.

Jednakowoż mogło się zdarzyć, że ów Breton zamieszkiwał w samej rzeczy przy ulicy La Condamine, że nazwisko, nakreślone przezeń, pismem

niewielkim, w książce kupieckiej, było autentycznym, a w takim razie Bernardet otrzymałby od niego odrazu potrzebne wiadomości co do tego portretu Jakóba Dantin.

I cóż ryzykuje? Trochę zmęczenia, nic więcej.

Doszedł tak, idąc powoli, aż do domu przy ulicy La Coadamine, wielkiego domu, o licznych piętach, czegoś w rodzaju domu zamieszkałego przez małych urzędników lub eksprzemysłowców.

Ponieważ portyer zamiatał schody, pozostawiając na drzwiach swej łoży napis: „Odzwierciedlenie jest na schodach“, Bernardet wszedł na górę i wkrótce spotkał go i począł rozpytywać. W całym domu nie było żadnego Karola Bretona. Nie mieszkał tu nigdy taki. Ten zatem, który sprzedawał portret, dał adres fałszywy.

Daremnie Bernardet opisywał mniej więcej powierzchowność owego człowieka tak, jak mu go opisywała pani Colard. Na całej ulicy La Coadamine nikt nie znał nikogo podobnego, ani Karola Bretona, ani żadnego lokatora, który byłby podobnym do rysopisu podawanego przez inspektora.

— Nikt—powiedział sentencyjnie odzwierciedlenie—nie nosi kapelusza toreadorów w całej naszej dzielnicy.

Nie było co się upierać. Pani Colard została wyprowadzona w pole. I jakże odnaleźć teraz w tej niezmierności Paryża, owego przechodnia,

który wypadkiem wszedł do sklepu przy ulicy Bons Enfants? Stara baśń o igle rzuconej w stóg siana, przychodziła na myśl agentowi, drażniąc go niepomierne. Ale cóż znowu! Przedewszystkiem nie takie już widział rzeczy! Nie takie rozwiązywał problemata, trafiał na ślad po trudniejszych jeszcze tropach. Od czegoż przypadek? Jest przecież zawsze dobra gwiazda.

Bernardet wszedł do omnibusu, by powrócić do biura pana Leriche. Pilno mu było pochwalić się przed szefem znalezioną rzeczą. Naczelnik przyjął go natychmiast.

Bernardet rozwinął papier, w który zawinięty był portret i pokazał mu malowidło.

— Ależ to Dantini! — zawołał naczelnik służby bezpieczeństwa.

— Nieprawdaż?

— Niema nawet wątpienia. Dantini, daleko młodszy wprawdzie, ale zawsze Dantini. Gdzież jednak to odkryłeś?

Bernardet opowiedział swą rozmowę z wdową Colard i swą bezowocną wizytę na ulicy Condamine.

— Och, mniejsza z tem — zawołał pan Leriche. — To zawsze coś znaczy takie odkrycie. Człowiek, który sprzedał ten portret i Jakób Dantini musieli się z sobą zwąchać. Brawo, Bernardet! Trzeba zawiadomić pana Ginory.

Sędziogo śledczego, zarówno jak samego Bernardeta i naczelnika policyi, uderzyło nadzwymy

czajne podobieństwo. Pierwszym jego zamiarem było rozpytać co do tej kwestyi Jakóba Dantin. Pójdzie natychmiast do Mazas, pan Leriche i Bernardet mogą mu towarzyszyć. Obecność inspektora policyi będzie nawet pożyteczną i potrzebną.

Sądownik i naczelnik policyi wsiedli do dorożki, Bernardet zaś zajął miejsce na koźle, obok stangreta. Przez całą drogę inspektor nie prawie nie mówił, odpowiadając monosylabami za ledwie na uwagi dorożkarza, który mówił przebiegle:

— Jedziecie tam znowu nudzić jakiegoś wielkiego szczura w pułapce?

Ginory i Leriche tymczasem rozprawiali w dorożce o „Walkiryi“ i o teatrze w Baireuth a naczelnik policyi pytał sędziego śledczego przez grzeczność, co słychać z jego kandydaturą do Akademii nauk moralnych i politycznych?

— Nie mówmy o Akademii—odpowiedział sądownik.—To tak, jak z wyjazdem na polowanie: kiedy ktoś komu życzy powodzenia, przynosi mu tylko nieszczęście!

Ponury budynek więzienia Mazas, grób z ciemnego kamienia, otwarł swe bramy dla trzech mężczyzn, a kiedy minęli kratę, sędzia i naczelnik policyi udali się długimi kurytarzami—których ciężki, dławiący wyziew, rozrzedzone powietrze, kładło się na piersi—do małego gabineczku, umeblowanego mizernie, co służył za biuro urzędni-

kom podczas badań; stał tu stół, kilka krzeseł i prosta szafka biblioteczna oszklona.

Główny nadzorca poprowadził pana Ginory z wielkiem uszanowaniem.

Bernardet szedł w pewnem oddaleniu, zdaleka od pana Leriche.

— Proszę przyprowadzić Jakóba Dantin — ozwał się sędzia śledczy do nadzorcey.

Usiadł przed stolikiem, Leriche zajął krzesło obok niego a Bernardet stał wsparty plecami o szafkę biblioteczną, w pobliżu jedyne go okna, które szarem światłem oświecało ciasny pokój.

Jakób Dantin zjawił się niebawem, pośród dwóch strażników umundurowanych. Był bardzo blady, z tą samą zawsze wyniosłą miną, z zachowaniem wyzywającym:

Sędzia, grzeczny z zasady, skłonił się lekkim ruchem głowy. Dantin złożył pospieszny ukłon, patrząc na obecnych, zwłaszcza też na Bernardeta, który stanowczo zdawał się go ścigać.

— Siadaj, Dantin—ozwał się łagodnie pan Ginory—i wytłomacz mi, proszę, co znaczyć może ten, ot, portret. Poznajesz go niezawodnie.

I położył niespodziewanie malowidło, zakupione przez Bernardeta, przed oczy więźnia, pragnąc osądzić nagle wrażenie, jakie zrobi na nim.

Zobaczywszy portret, Dantin drgnął w samej rzeczy i zwięzle odrzekł:

— Jestto portret, który dałem Rovère'owi.

— A tak!—zawołał pan Ginory. — Poznajesz go więc dobrze?

— To mój portret—potwierdził stanowczo Dantin.—Dawno on już zrobiony, Rovère miał go u siebie w salonie. Jakim sposobem dostał się tutaj?

— Może tybys mi to wytłomaczył?

Pan Ginory widocznie chciał drwić, przeciwstawić zapieraniom się oskarżonego swoją ironią. Ale Dantin rzekł mu nagle:

— Panie sędzio, ja tu nie nie mam do wytłomaczenia. Ja nie rozumiem nic, nie nie wiem. Albo raczej wiem, że w swej pomyłce—pomyłce, której żałować będziecie gorzko zczasem, jestem pewien—zaaresztowaliście mnie, wtrącili i zamknęli do więzienia, ale ja mogę was zapewnić, że nie mam nic wspólnego, słyszycie, panowie, nie wspólnego z morderstwem mego przyjaciela i że protestuję z całym oburzeniem przeciw waszemu postępowaniu!

— Pojmuję—wymówił pan Ginory chłodno. — Och, wyobrażam sobie całą nieprzyjemność, jakiej doznaje człowiek, czując się zamkniętym w czterech ścianach więziennej celi. Ale w takim razie prostą byłoby rzeczą, chcąc się z niej wy dostać, dać potrzebne wyjaśnienia tym, którzy do tego mają prawo i którzy ich żądają. Czy zawsze jeszcze trwasz w przyjętym systemie? Czy dotąd zachowujesz tajemnicę, której nam nie możesz odsłonić?

— Zachowam ją, panie, zastanowiłem się dobrze. Tak jest, dobrze zastanowiłem i to w samotności, która nas zmusza do zbadania sumienia.

Mówił stanowczo, z mocą, mniej gwałtownie niż w trybunale, a małe oczki przenikliwe Bernardeta nie opuszczały jego twarzy, tak jak oczy sędziego i naczelnika policyi.

— Przekonany jestem—mówił Jakób Dantin— że ta złowroga omyłka nie może potrwać długo i że skoro panowie przekonacie się o prawdzie, ja wyjdę ztąd, przynajmniej nie zdradziwszy wyznania, które mi uczyniono i które poprzysiągłem zachować w tajemnicy. Niepodobieństwem jest, by omyłka panów była trwała, większem jeszcze niepodobieństwem, by doprowadzić miała do zasądzenia mnie. Między przykrością i okropnościami więzienia śledczego a niebezpieczeństwem, które groziłoby trzeciej osobie, w razie gdybym chciał mówić, nie waham się, wybieram więzienie i czekam. Czy twierdzisz pan i wierzysz jeszcze, że to system?

— Tak—podjął Ginory— stanowczo powiem zawsze: *system*. Upierasz się przy nim. To dobrze! A teraz, co to jest za portret?

— Mój własny.

— Kto, jak sądzisz, mógł go sprzedać tande-
ciarce, u której został znalezionym?

— Tego ja nie wiem. Prawdopodobnie ten,

który go znalazł lub ukradł u Rovère'a i który jest może, jest niezawodnie zabójcą Rovère'a.

— To ci się wydaje tak proste?

— To mi się wydaje wielce logiczne.

— Przypuściwszy, że tak jest, to okoliczność nie obala jeszcze bynajmniej podejrzenia, ciężącego na tobie i zeznania pani Moniche...

— Tak, tak, wiem. Kasa otwarta, przewracane papiery, sam na sam z Rovèrem, przy którym zaskoczyła nas odźwierna... Wszystko to nic nie znaczy!

— Dla ciebie, być może. Dla sądu ma to znaczenie tragiczne. Ale powróćmy do portretu. To ty dałeś go niegdyś Rovère'owi?

— Tak, ja — odpowiedział Dantin.—Rovère był amatorem malarstwa, prócz tego był serdecznym moim przyjacielem. Nie mam rodziny, żyję po starokawalersku i przyjemnie mi było pomysśleć, że towarzysz młodości zachowa to malowidło. Jest ono cenne, malował je Paweł Baudry...

— Ach!—zawołał pan Ginory—P. B. są więc inicjałami Baudry'ego?

— Istotnie. Po wojnie, w której spełniłem moją powinność jak tylu innych—proszę tego nie uważać za chęć bronięcia się—Paweł Baudry był w Bordeaux. Zrobił tam kilka portretów na drzewie, w guście Holbeina, między innymi portret Edmunda About. Zrobił także i mój. Ten

to darowałem Rovère'owi i ten obecnie znalazł się w pańskim ręku.

Sędzia przypatrywał się owalnemu portrecikowi a pan Leriche nałożył aż binokle, aby się lepiej przyjrzeć malowidłu. Toż to Baudry!

— Co to znaczą te rysy i szczyrby, jakby po wyrwanych gwoździach?—spytał pan Ginory.

I pokazał Dantinowi deszczułkę mocno porysowaną.

— Nie wiem. Odcisk ram zapewne.

— Nie, nie, to dziury; dobrze mówię. Wido-
cznie gwałtem oddzierano ramkę. Musisz wie-
dzieć niezawodnie, jak oprawiony był ten obra-
zek?...

— W bardzo prostą ramkę, kiedy go ofiaro-
wałem Rovère'owi.

— A czy Rovère nie kazał oprawić go ina-
czej?

— Owszem, przypominam sobie dokładnie, że
zastosowałem do niego, dodawszy jeszcze ażur zło-
cony, ramki wysadzane meksykańskimi kamie-
niami, które przywiózł był niegdyś z Ameryki.

— Czy Rovère mógł dać komuś ten portret?

— Wątpię. Stał on u niego w salonie. Przy-
wiązywał do niego wagę. Raz, że to Baudry,
a potem, że mnie kochał.

— W takim razie—badał sędzia — nie możesz
dostarczyć nam żadnej wskazówki co do czło-
wieka, który przyniósł ten portrecik do tande-
ciarki?

— Żadnej...

— Skonfrontujemy tę kobietę z tobą — mówił Ginory.

— Owszem! Trudno jej będzie mnie poznać.

— W każdym razie powie nam ona, powtórzy, jak wyglądał ten, który jej zaproponował kupno tego portretu.

— Daremnie mi go opisywać będzie—przerwał Dantin żywo—nie zdoła ani wmówić we mnie, że go znam, ani dowieść panom, że jestem jego współnikiem. Nie wiem, kto on taki, z kąd przybywa. Nie wiedziałem nawet o jego istnieniu przed kwadransem.

— Nie pozostaje więc nic, jak odesłać oskarżonego do celi—mówił sędzia.—A my udajmy się na poszukiwanie posiadacza portretu.

Dantin z kolei miał teraz w głosie akcent drwiący:

— I dobrze panowie zrobicie — rzekł, wyniosły zawsze, do sądownika.

Pan Ginory dał znak. Strażnicy otoczyli więźnia, drzwi otwały się i zamknęły natychmiast i Dantin zniknął. Wówczas, patrząc w twarz naczelnikowi policyi, sędzia wyrzekł żywo:

— Teraz już Dantin nie powie. Upiera się przy milczeniu. Obecnie należałoby znaleźć owego młodzieńca w szerokim sombrero.

Bernardet stał wciąż przy oknie nieporuszony, jak żołnierz.

— Koniecznie—potwierdził pan Leriche.

— Igła; igła w stogu siana — rzekł Bernardet.

Szef z uśmiechem zwrócił się ku niemu:

— To do ciebie należy, Bernardet.

— Dobrze wiem—odparł mały człowieczek. — Ale to niewygodne, o, wcale niewygodne!

— Ba, wygrzebywałeś z pod ziemi trudniejsze rzeczy! Zróbże mi i to... Jest już wskazówka, kapelusz...

— Nie są tak rzadkie te kapelusze, panie Leriche... Niemało ludzi nosi takie kapelusze... Ale w końcu, tak, to zawsze wskazówka... Ha, zobaczymy!

Umilknął, nieruchomy, między biblioteką a oknem, jak żołnierz pod browią, kiedy tymczasem, wstrząsając głową, pan Ginory pytał naczelnika policyi:

— A ten Dantin, jakie na pana sprawia wrażenie?

— To *łepak*. I ma dobry łożądek — odpowiedział naczelnik.

— Prawda. Ale winnym, czy sądzisz pan, że jest winnym?

— Najoczywiściej!

Wzrok sędziego szukał oczu naczelnika policyi.

— Panbyś go potępił?

Naczelnik zawahał się.

— Czy potępiłbyś go pan? — spytał Ginory, nastając.

Pan Leriche znów zawahał się na chwilę, popatrzał na Bernardeta nieporuszonego, ale nie mógł nic odczytać na tej twarzy dobrodusznej, która się stała marmurową w tej chwili, i po niej jakimś namyśle, odpowiedział:

— Nie wiem...

XIII.

— „Niewiem!“—myślał Bernardet, powróciwszy do siebie—„Niewiem!“ Ale co się wie, co się wie dobrze, czemu przeczyć niepodobna, o, niepodobna!—to temu co pozostało w oku zmarłego wyryte w ostatniej godzinie a właśnie z tej ostatniej chwili konania, pozostał tam tenże sam obraz Dantina, twarz jego, jego rysy, on, on sam jednym słowem, oskarżony przez świadka, którego świadectwo przeważy zeznania wszystkich świadków na ziemi: przez zamordowanego, który rzucił ostatnie spojrzenie na swego mordercę, jak byłby rzucił ostatni okrzyk przyzywający: „na pomoc!“ wśród chrapań konania. „Niewiem!“ ale umarli wiedział! I kamera fotograficzna wie takżel... Ona nie kieruje się żadną namiętnością, żadnym gniewem. Notuje, odbija, oskarża—bez gniewu, bez nienawiści, ponieważ zapisała co jest przemijającym, utrwaliła co jest przelotnem.

Ban Bernardet obstawał przy swem przeświadczeniu. Czepiał się go jak kotwicy. I jakże miałby nie wierzyć, że aparat fotograficzny przechowwał prawdę? Jakiż wzgląd wyższy, jakiż

wzgląd możliwy wogóle, zmuszałby Jakóba Dantina do zachowywania milczenia w obecności sędziego, kiedy szczerością mógł się wykupić od więzienia, od oskarżenia? Łatwo mu przecież było wytłomaczyć wszystko dwoma słowy!

Ale jeśli Dantin nie mówił nic, to dlatego, że tego wyjaśnienia nie było. Niewinny człowiek nie zachowuje milczenia. W chwili, w której pan Gizory owego dnia nacisnął na dzwonek, ów człowiek, gdyby miał coś na swoją obronę, byłby tego użył. O, któżby nie znał ich tajemnych przyczyn milczenia! Najważniejszą przyczyną jest ich wina.

Tylko, jak się zdaje teraz, ów Dantin, winny, posiadał współnika. Tak, to pewna, ów człowiek w sombrero, co sprzedawał portret Jakóba. Gdzie też on krył się?

— Szukać go, to strasznie niewygodne! — powtarzał sobie Bernardet — strasznie niewygodne wyciągać go z jakiejś.. Nie, nie, nie, wcale niewygodne...

Owa dama w żałobie, odwiedzająca od czasu do czasu nieboszczyka, mogłaby także dostarczyć cennych wskazówek. Z tej strony, sytuacja wydawała się całkiem prostą. Albo ta kobieta była także współniczką zbrodni a w takim razie milczeć będzie, zagrzebie się gdzieś u siebie na prowincyi; albo też śmierć Rovère'a dotknęła ją z jakiegokolwiek bądź powodu a wtedy da

znać o sobie i sama złoży swe świadectwo w sądzie.

— Czekajmyż cierpliwie, aż baran sam beknie—mówił sobie filozoficznie Bernardet.

Ale miały doie za dniami. To, co nazywano „Tajemnicą bulwaru Clichy“ wciąż jeszcze wzruszało a nawet niepokoiło niemal opinię publiczną. Rozprawy parlamentarne, gwałtowne i wrzawliwe, nie zdołały jednak odwrócić uwagi od tej zbrodni, spełnionej wśród dnia jasnego, która usposabiała ludzi do powątpiewania o bezpieczeństwie wielkiego miasta, o zaletach policji. Nawet upadek ministryum, przepowiadany co rana i obrachowywany z góry już w swych następstwach, nie zdołał zmniejszyć zajęcia dla tego morderstwa. Śmierć byłego konsula była wciąż jeszcze na porządku dziennym.

Jakób Dantin tym sposobem stawał się osobistością iście dramatyczną, reporterzy otoczyli go pewnego rodzaju legendą; jedni przedstawiali go jako winnego, przytaczając na poparcie swego przeświadczenia anegdoty, gawędy klubowe, inni stawiali pytanie, czy przypuszczenia i pozory dostatecznymi były, by potępić z góry człowieka i brały w obronę oskarżonego. Paweł Rodier nawet z wielką zręcznością i wymową zredagował dwa artykuły, w dwojakim, wprost przeciwnym sensie.

— Sposób to pewny — powiedział sobie — po-

mieszczenia zawsze prawdy; nie będzie jedno, to będzie drugie..

Bernardet nie wyrzekał się bynajmniej, ale to bynajmniej, nadziei odnalezienia owego właściciela portretu. Nie po raz to pierwszy przecieszukał owej sławnej igły w stogu siana. Paryż jest wielki, ale to morze ludzkie ma swe specjalne prądy, jak je ma ocean, ma swe rzeki i swe błotniste strumienie, które agent policyjny znał dobrze. Tu czy owdzie, którego dnia, spotka się on z pewnością z owym człowiekiem, którego gdzieś wyrzuci potok jak szczątki rozbitego statku.

A naprzód człowiek ów musiał być cudzoziemcem, lub przynajmniej przyjeżdżać z zagranicy. Z nakryciem głowy wedle mody hiszpańskiej, nie miał jeszcze czasu porzucenia ubioru krajów, z których przybywał. Bernardet przeszukał wszystkie hoteliki meblowane, zbadał wszystkie po kolei książki, w których się zapisują przyjezdni, wypytywał gospodarzy. Pokazywano mu biedaków przybyłych z daleka, którzy uzasadniali wszakże doskonale przyczynę swego pobytu w Paryżu, wykazywali środki egzystencyi; byli to po większej części nieszczęśliwi, z dalekich stron świata, pociągani ku temu ognisku paryzkiemu, u którego marzyli, że się rozgrzeją a gdzie osmalali się tylko w płomieniu, podobni do tych włośczęgów, co, chroniąc się przed mrozem zimowym,

sypiali w piecach wapniarni i których odnajdują potem pokureczonych i skręconych jak wicinę.

Bernardet wciąż szukał, chodząc wszędzie, wszędzie zaglądając... Rad był, ilekroć tylko miał wieczór wolny, zaglądać do takich podmiejskich kawiarni, których pełną jest cała dzielnica Montmartre i znajdując w nich zawsze jakiś przedmiot do obserwacji; dziwaczne to są lokale, pełne oryginalnych pomysłów, w których pomysłowość impresaryów przybiera niekiedy chorobliwy aż koloryt, aby tylko pociągnąć ku sobie i wstrząsnąć nerwami próżniaczych warstw stołecznych, zelektryzować prowincjonalnych gapiów, zająć i przytrzymać wyrafinowanych i zubożniałych. Lokale te, zrodzone z potrzeby ciągłej nowości, która podnieca znudzonych, potrzeby posuniętej do ekscentryczności, aż do grobowej czasem ironii. Rodzaj to tańca szkieletów, tańczonego na nutę operetkową, żart kuglarzy, rzucających próżnemi czaszkami, które domagałyby się raczej rozmyślań Hamleta.

„Kawiarnia pod szkieletem“.

Ogłoszenie tych przyrzekanych błazeństw, zjawisk, widm, duchów, nieraz już sprowadzało mu uśmiech na usta, kiedy idąc do prefektury spostrzegł je naklejone w pobliżu swego mieszkania na ścianach lokalu, przeznaczonego głównie do sprzedaży likierów, o szyldzie z szerokimi czarnymi obwódkami żałobnemi jak klepsydra po-

grzebowa, po nad którym ze zgrzytem żelaza, kołysała się wielka czerwona latarnia.

Dziewczynki, kiedy mówił ze śmiechem o tym lokalu, w którym garsoni zapewne przebrani są za karawaniarzy, aż bladły ze strachu a poczciwa gruba pani Bernardet, zazwyczaj uśmiechnięta, mówiła z westchnieniem:

— Czy to podobna, aby pozwalano na takie bluźnierstwa w naszej dzielnicy?

Z uśmiechem pobłażania Bernardet próbował odpowiadać:

— Ech, moja droga, i w czemże znów widzisz coś tak bardzo zdrożnego?

— Wiem co mówię—dorzuciła burgundka—Wszystko to zabawki niezdrowych ludzi. Żartują sobie z śmierci, jak żartują ze wszystkiego. Do czego to dojdzie? Zobaczymy...

— Albo i nie zobaczymy!

I Bernardet śmiał się serdecznie.

Raz, mając wieczór swobodny, wszedł do tej kawiarni, jakby poszedł do teatru. I powracał tam, ubawiony wszystkim, co widział osobliwego w tej „Kawiarni pod szkieletem“. Ten widok wydawał mu się pociesznym.

W niewielkiej salce, która przed kilkoma miesiącami musiała być arcy-powszednią salą winnego kupca, na ścianach pomalowanych na czarno, pozawieszano obrazy przedstawiające rozmaite czułe sceny: epizody maskaradowe, przejażdżki w gondolach, serenady pod balkonami, widoki

weneckie z scenami miłosnymi, ogrody Grenady z parami wzdychającymi na jakiejś lagunie lub w zaułku andaluzyjskim; pośród tych dekoracyj o romantycznych obrazach, będących wspomnieniami Musseta i Carla Gozzi, dębowe trumny oświecone gromnicami woskowymi służyły za stoły a garson, w ubiorze karawaniarza, w kapeluszu lakierowanym przewiązanym krepą, spytał Bernardeta:

— Jakiej trucizny żądasz pan napić się przed śmiercią?

Bernardet przypatrywał się publiczności osobliwej tego lokalu. Byli to uprzywilejowani próżniacy, włóczący się co dnia po bulwarach. Tu i owdzie jakaś podejrzana postać z tej dzielnicy. Kilku elegantów w białych krawatach i eleganckich frakach, przybyłych mimochodem z jakiegoś obiadu proszonego lub z opery, jakby przyszli na premierę.

Agent doskonale rozumiał, czego tu szukają ci zdudzeni panowie: nieco pieprzu na posypanie nim nudnej egzystencji codziennej. Te trumny, na których stawiano kieliszki, bawiły ich. Niektórzy z nich żądali bawarki, odbywając widocznie mleczną kurację.

Pokazywali sobie oryginalne świeczniki, gdzie gaz palił się na końcach wydrażonych piszczeli.

— Nieco cierpliwości tylko, moi bracia—mówił rodzaj reżysera czy woźnego w ubraniu żałobnem—za chwilę przejdziecie do krematorium!

Zapijający panieże w białych krawatach śmieli serdecznie.

Bernardet natomiast doznawał, wbrew temu, co utrzymywał w obec żony, pewnego nieprzyjemnego zakłopotania i ten inspektor policyi, przyzwyczajony do ropiących ran i wszelkich ohyd zbrodni, czuł się dotknięty w swych mieszczkańskich instynktach a raczej instynktach ludowych, zdrowych i silnych, temi błazeństwami neuropatów i żarcikami znudzonych dekadentów.

W danej chwili, przy objaśnieniach reżysera, światło gazowe zagasło a miłosne obrazy, pary kochanków obejmujące się w gondolach, brzdąkające na gitarach postacie, śpiewacy lub rozszalali tancerze przeobrazili się nagle w okropny sposób. W miejsce różowych twarzączek jasnowłosych, ukazały się nagie czaszki; śmiech zastąpiły wyszczerzone zęby białe i obnażone z ciała. Te ciała, przybrane przed chwilą w atłasy i aksamity, teraz grą światła wewnętrznego, zmieniły się w szkielety ponure.

Głosem swym drwiącym, reżyser tłumaczył, komentował tę zmianę, dodając do grobowego widowiska, niesmaczne żarciki błazna.

— To wam przedstawia jutrzejszą zgniliznę, wam, duchowo dziś już zgnili paryżanie!..

Światło odrazu zapłonęło napowrót, szkielety znikły a ich miejsce zajęły znów wzdychające pary kochanków na weneckich lagunach, lub po

ulicach Grenady. Kilka kobiet śmiało się wciąż, ale śmiechem coraz to więcej wymuszonym.

— Co to za zabawne miasto, ten Paryż! — wzdychał Bernardet.

Siedział tak, plecami oparty o ścianę, na której wypisane były cytaty z biblij, odnoszące się śmierci, jak w łóżach woluumularskich, gdzie zamykają profana, by mu dać czas do zrobienia testamentu — kiedy drzwi kawiarni, wychodzące wprost na bulwar, otwały się i Bernardet zobaczył w nich wysokiego młodego mężczyznę o postawie pełnej stanowczości, z czarną i sfalowaną brodą, co otaczała twarz dziwnej bladości, który, zanim wszedł do kawiarni, rozejrzał się szybko dokoła po sali, nieco zadymionej.

Mógł mieć lat około trzydziestu, wyglądał na artystę-rzeźbiarza czy malarza, z pewną wszakże przymieszką wojskowości w postawie i jakiejś dzikości w oczach.

Co wszakże nagle w tej postaci uderzyło Bernardeta, co od pierwszego rzutu oka zwróciło na siebie jego uwagę, to kapelusz, wielki kapelusz z popielatego filcu, o szerokiem i płaskiem rondzie, w rodzaju owych sombrero torerów, jaki ów mężczyzna miał na głowie.

Niezawodnie w Paryżu niejeden z przechodniów mógł ubrać się w podobny kapelusz. Tych wszakże, co je noszą, niewiele spotkać można a do wyszukania sprzedawcy portetu Jakóba Dautin, Bernardet tę jedyną miał tylko wskazówkę.

O, słabą, bardzo słabą, wskazówkę. Ale człowiek spożytkowuje co ma pod ręką!

A jeśli też przypadkiem ów młodzieniec w oryginalnym cudzoziemskiego kształtu kapeluszu, którego postać zapamiętała pani Colard, jest właśnie owym wchodzącym teraz panem. Nieprawdopodobne co prawda. Nie, zastanowiwszy się dobrze, to całkiem nieprawdopodobne. Ale rzeczywistość składa się często z samych nieprawdopodobieństw i Bernardet za wejściem nieznanego, doznał tego dziwnego rodzaju specjalnego jakiegoś, instynktownego wzruszenia, doznawanego tylokrotnie wobec odgadywanego tropu, węższej zdobyczy. Instykt przemawiał tu, ten dziwny instykt, wieszcy niemal, niezrozumiały, ale pewien.

— Kapelusze! — mruknął Bernardet, popijając małemi łykami, nie tracąc wszakże z oka nowoprzybyłego młodzieńca, likier Curaçao, którego zażądał.

Nieznamomy zresztą, zdawało się, że ułatwił grę agentowi policyi. Oczywiście poszukawszy sobie miejsca, usiadł przed trumną dębową jak raz właśnie postawioną naprzeciw tej, która służyła za stół Bernardetowi.

Garson w ubraniu karawaniarza, przyszedł spytać tego człowieka, czego żąda i zapalił woskową gromnicę, która oświecała w pełni twarz przybyłego, co ułatwiało inspektorowi badanie jej.

I bladość matowa, szczególniejsza jakaś, wyraz nieco niespokojny kureczowo wykrzywionej twarzy, tem więcej, zwracał na siebie uwagę Bernardeta. Na tej twarzy blado-sinej, przy czarnej brodzie, w blasku świecy oświetlającej ją z dołu, występowały tem wyraźniej jeszcze wgłębienia i cienie, jak przy blasku kinkietów na scenie.

Ów człowiek, z kieliszkiem wódki przed nim stojącym, wspierał brodę na dłoni, łokciem oparty na dębowej desce oryginalnego stołu.

Nie musiał to być widocznie stały gość kawiarni, ani zwykły włóczęga z tej dzielnicy. Miał w sobie coś cudzoziemskiego; tego rodzaju postaci spotyka się w przystaniach, kiedy transatlantyckie parowce przywożą lub zabierają swych pasażerów. Oczy jego utkwione były nieruchomie w przestrzeni jak u marzycieli i poszukiwaczy, co badają niebo, wpatrują się w bieg wód, podziwiają morze, pytają o przyszłość nieskończoności.

— Dziwne byłoby—myślał Bernardet—gdybym na mocy tylko tej jedynej wskazówki, osobliwszego kapelusza, mógł pochwycić tego, którego szukamy...

I już z talentem dramaturga, układając sobie scenariusz, agent obmyślił w głowie i ułożył to, co adwokaci obracający na wszystkie strony jakąś sprawę, nazywają *środkiem*. Czekał, aby ów woźny w żałobnem ubraniu, zjawił się, celem

zawiadomienia gości pijących, że obecnie przejść mają do katakumby a wtedy na to zaproszenie całej obecnej publiczności, Bernardet, korzystając z ogólnego poruszenia, zbliży się do nieznanego, iść z nim będzie krok w krok tuż obok niego, przez ciemny kurytarz, aż do owego lochu, w którym na małej scenie stała próżna trumna. Było to owe grobowe widowisko, którem „Kawiarnia pod szkieletem“ zabawiała swych próżniaczych gości i ciekawców przyciągniętych dziwacznością wystaw górnej części lokalu.

Bernardet znał wszystko to już dobrze i wiedział, jaką to grą światła, jakimi zręcznymi sposobami dawano publice złudzenie rozkładu trupa w ciasnych ściankach trumny. Tej fantasmagorii, której przychodzili przypatrywać się bulwarowi próżniacy, on przyglądał się już wielokrotnie w barakach wędrownych kuglarzy, w zbitych z desek teatrzykach na jarmarku w Neuilly. Właściciel kawiarni sam mu ją tłumaczył i mały człowieczek, ciekawy wszystkiego i wszystko lubiący zbadać do dna, nie przychodził tu już w roli zwykłego gapia przypatrywać się po raz niewiem który widowisku rozkładającego się w trumnie nieboszczyka.

Wiedział doskonale, do czego postużyć mu ma to widowisko.

Loch pełen był ludzi. Mężczyźni i kobiety, natłoczeni wśród czarnych, okopconych ścian, w półoświetleniu salki, łączącej się ze scenką, stali

zaciekawieni, z oczyma w jeden punkt wlepionymi. Tu i owdzie słychać było dziwaczne żarty, śmiechy nerwowe, udane. Acz wszyscy ci ludzie nie wierzyli w nie po największej części, ta myśl, to sąsiedztwo, ten sam pozór choćby śmierci, przejmował ich pewną zaboconą obawą, szczególniejszem wrażeniem, ujawniającem się w nerwowym śmiechu, lub żartach grobowych.

Bernardet ani na włos nie odstąpił od młodzieńca w filcowym kapeluszu. Mógł on przy blasku światła, oświetlających scenkę, widzieć twarz jego dokładnie, studyować ją dowoli. Od tego półcieniu, w którym tłoczyli się widzowie, odcinała się bladość nieznanego, białą, wyraźną plamą. Jasne, badawcze źrenice policyjnego agenta wpiły się w twarz tę chciwie.

A reżyser widowiska kawiarnianego, zapytywał teraz, czy nie znalazłby się człowiek dobrej woli, który zechciałby poddać się eksperymentowi i zająć miejsca w otwartej trumnie, w tem pudle rozwartem i oczekującym zawsze, w którym—mówił—„zobaczycie kiedyś swego przyjaciela, sąsiada, krewniaka rozkładającego się i powracającego do nicości...”

— Dalej, bracia moi — ciągnął dalej głosem ironicznym impresario z szyderczym wyrazem—jakaż to dobra sposobność sprawienia największej przyjemności serdecznemu swemu przyjacielowi! Niechaj nacieszy się, widząc jak się rozkła-

dacie i gnijecie w trumnie! Są tu zapewne pośród was ludzie żonaci? Wszakże to jedyna sposobność zakosztowania naprzód już rozkoszy wdowieństwa. Czy nie chciałabyś, siostró moja, przypatrzeć się, jak w niwecz mąż twój się obraca? Czy nie chciałabyś przypatrzeć się pleśni, co z czasem pokryje prawowitą twą małżonkę, mój bracie?... Poświęćcież się! Dalej, wstępujcie w tę trumnę, śmierć na was czeka!

Śmiano się, ale tu i owdzie w śmiechu tym brzmiała jakaś fałszywa, historyczna nuta, coś ci przypominało brzęk rozbitego kryształu. Nikt się nie ruszył. Ta parodia śmierci imponowała nawet temu stekowi ludzi zblazowanych.

— I cóż, bracia moi, więc mamy wam przedstawić trupa, będącego własnością tego lokalu. Szkoda, gotowicie uwierzyć, że my się tu kumamy z umarłymi!

A ponieważ w samej rzeczy nikt z widzów nie zbliżył się ani o krok do otwartej trumny, reżyser skinieniem ręki zawezwał jednego ze służby kawiarnianej, który jakby przez drzwiczki w kulisie wszedł na ciasną scenkę; figurant ów, wsunął się i zajął w stojącej postawie miejsce w trumnie; impresaryo zarzucił nań draperyę, ni by całun grobowy, pozostawiając w górze nad tą białością, wyłącznie tylko bladą twarz rzekomego nieboszczyka, który w tej chwili się uśmiechał...

— On śmieje się, bracia moi, śmieje się jeszcze — mówił ironicznie reżyser. — Zobaczycie jak gorzko pokutować będzie za ten śmiech udany niebawem! „Rzym śmiał się i skonał“, powiedział Bossuet.

Kilka drwiących oklasków pośród zgromadzenia wynagrodziło nieoczekiwaną tę cytate literacką. Bernardet nie słuchał tej przemowy; z pod oka śledził on uważnie fizyonomię swego sąsiada, która przybrała teraz jakiś wyraz dzikości. Człowiek ów, przypatrując się, w oczekiwaniu jakiegoś namiętnem widowiska, które się miało odegrać przed jego oczyma, przybrał dziwnie okratny wyraz twarzy; brwi miał namarszczone, wargi zaciśnięte silnie. Jakiś magnetyzm snąc go pociągał.

Figurant w trumnie wciąż uśmiechał się, owinięty draperią całunu.

— Przypatrujcie się, przypatrujcie dobrze, bracia moi—mówił głos donośny impresaria—zobaczycie jak brat wasz pokryje się zieloną pleśnią a potem rozsypie się w zgniliznę, wreszcie w proch, jak zniknie zupełnie jego ciało, ustępując miejsca szkieletowi. Pomyślcie wtedy, pomyślcie, o bracia moi, że taki sam los was czeka, może już za chwilę, kiedy ztąd wyjdziecie; pomyślcie o zapaleniach płuc, apopleksyach, zapaleniach mózgu, anginach, aneuryzmach i innych śmierciach co na was czyhają; podziwiajcie magiczne widowi-

sko, które wam stawia przed oczy „Kawiarnia pod szkieletem“ i pamiętajcie zawsze, że prochem jesteście, nie chcąc się gorzej wyrazić i że w proch obrócić się napowrót; zróbcie w duszy tę mądrą uwagę pijaka, który spotkawszy śpiącego w rowie innego opoja, zawołał: „A jednak i ja będę wyglądał tak samo w niedzielę!“ Tymczasem zaś, bracia moi i siostry w nieości, patrzcie, jeśli łaska, jak się rozkładać będzie zwolna wasz współczesny!...

Refleksy światła, w samej rzeczy, już podczas przemowy reżysera farsy, poczęły kłaść szerokie plamy, zrazu przejrzyste na oczodołach figuranta, stojącego w trumnie; potem po trochu plamy te stawały się coraz to widoczniejsze, wyrazistsze, czerniały z każdą chwilą więcej i rozszerzały się. Rysy twarzy pierwotnie wydatne, zdały się rozluźniać, tracić sprężystość, mięknać, przybierać jakieś niepewne, szarzejące barwy, pokrywać niby jakąś obłoną, niby mgłą, co pokrywała, pochłaniała tę twarz, obecnie już tak zmienioną, że trudno w niej było dopatrzeć podobieństwa. Gra promieni światła, padających na tę postać, wystawioną na widok publiczny, tak była zręczną, iż rzekłbyś, że to ciało ludzkie, rozkłada się rzeczywiście, rozpływa, gnije przed oczyma tłumu gapiów, który teraz stał milczący, niby przerażony. Dzieło zniszczenia odbywało się tutaj publicznie. Żywy, który przed kilku minutami jeszcze uśmiechał się, teraz był nieporuszono-

ny, rzekłbyś martwy, zakrzepły, lodowaty, zielonawy już.

Za chwilę ta gra światła sprawi, że zniknie on z przed oczu widzów, którzy na jego miejscu ujrzą, dzięki refleksom zwierciadeł, kościotrupa już tylko. Tak to świat widm i tajemnicę grobów odsłaniał przed oczyma tłumu rodzaj latarni magicznej, naukowo zastosowanej.

Bernardet nie chciał już czekać dłużej z wymierzeniem zręcznego ciosu w chwili dlań cennej, w właściwym momencie psychologicznym.

Ohciwie wlepiony wzrok człowieka w szerokim kapeluszu, dowodził mu już, że nieznajomy głęboko jest wzruszony tym widokiem. W spojrzeniu tem było coś o wiele więcej niż ciekawość widza, przejętego dramatem, ulegającego wrażeniu jakiejś wizyi. Blade rysy młodzieńca wykrzywiały się jakby pod wpływem fizycznego cierpienia a w oku, na które padał odblask oświetlonej sceny, zapalając w niem drobne iskierki, Bernardet czytał wewnętrzną gorączkę, widział dreszcze trwogi, błyski grozy...

— No, no, oko żyjącego — myślał agent policyjny — jest także księgą, gdzie czytać można, jak w oku umarłego!

Na scenie gra światel czyniła coraz to straszliwszą postać figuranta, który odgrywał dla tłumu tę komedię śmierci. Powiedziałbyś teraz, że to jedno z owych malowideł ohydnych, zrodzonych w pracowniach pewnej grupy hiszpań-

skich malarzy, w *putridero* takiego Vallèsa Léala Ciało, skutkiem umiejętnej kombinacji lamp, zdało się oddzielać od kości, nabierało straszliwego pozoru trupa guijącego. Wizya ta, przejmowała widzów dreszczem przerażenia.

Wtedy to Bernardet, wspinając się nieco na palce, aby dorównać wysokością swemu sąsiadowi, podsuwał się doń zwoła, ostrożnie, jeszcze bliżej i kiedy łokieć jego dotykał ramienia nieznanego, z ust padały słowa powoli, jakby przefiltrowane a oczy obejmowały całą postać sąsiada:

— Tak to zapewne musi wyglądać ten biedny Rovère teraz...

A ponieważ nagle twarz młodzieńca przybrała wyraz niespodziewanego pomieszania, przerażenia, jakiego doznałby spokojnie przechadzający się człowiek, który nagle zobaczyłby przed sobą wyprężoną żmiję:

— Lub jak niedługo już będzie wyglądał— dodał agent z uśmiechem obojętnie uprzejmym, który miał być poprawką dobrowolnie zrobioną dla zatarcia poprzedniego wrażenia.

Bernardet tą udaną uprzejmością, pokrywał silną swą radość.

Dotykając łokciem sąsiada, poczuł on, jak na wymówione przezeń nazwisko Rovère'a, tenże drgnął nagle całym ciałem. I dla czegoż miałby zadrzeć tak żywo na dźwięk nieznanego nazwi-

ska, gdyby te trzy zgłoski nie przywodziły na pamięć jakiejś przerażającej go myśli?

Człowiek ów mógł niezawodnie jak wszyscy w Paryżu, znać szczegóły, rozgłaszane przez dzienniki, zbrodni z bulwaru Clichy; ale człowiek z taką energiczną twarzą, z tak stanowczym wyrazem w oczach, z pewnością nie należał do rzędu tych, których przeraża opowieść jakiejś zbrodni, opis sceny krwawego morderstwa, lub nawet widok grobowy, któremu przypatruje się w głębi lochu kawiarnianego.

Nie jest się mazgajem ani tchórzem z taką jak ta postawą—myślał Bernardet.

— Nie, nie. Posłyszawszy padające te kilka dźwięków, wywołujących obraz zmarłego Rovere'a, nieznajomy nie mógł owładnąć gwałtownem wzruszeniem i drgnął jak pod wstrząśnieniem iskry elektrycznej. Wstrząśnienie to, acz krótkie, było gwałtowne i potrzebował całej mocy, by nad niem zapanować szybko. Ale to pierwsze wrażenie było wymownem. Bernardet dopatrzył w spojrzeniu, gieście, w ruchu głowy tego człowieka jakieś dziwne pomieszanie, coś podejrzanego i straszliwego, jak kiedy przy błyskawicy spostrzega się głębię topieliska wśród nocy. I błyskawica ta wystarczyła. Jednym słowem, jednym ruchem często można się *zarząć*, jak to mówią.

Więc Bernardet nacierał dalej:

— To niewesołe te ich widowiska — mówił z uśmiechem.

— Niezbyt—odparł mężczyzna.

Odwracał oczy od sceny, na której widowisko grobowe dalej się odbywało.

— Ten biedny Rovère—podjął znów agent.

Nieznajomy teraz spojrział na Bernardeta, jakby chciał przeniknąć myśl jego, dojść co znaczyło to powtórzenie tegoż samego nazwiska a spojrzenie to, głębokie, miało w sobie coś jakby nieprzytomnego zarazem.

Bernardet wytrzymał z miną naiwną to ucieme badanie. Nie dał przeniknąć nic z swych myśli, przyciśnięty bystry, jasny błysk oczu. Miał minę dobroduszną przeciwca, doznającego obawy, który mówi o świeżej ofercie zbrodni dlatego, że się lęka o własne bezpieczeństwo. Czekał zresztą, by nieznajomy, rozbrojony milczeniem, popatrzawszy, sam począł mówić.

Przypomniał on sobie dobrze tę regułę przeczytaną gdzieś i zapamiętaną, dającą się zastosować do miłości: „Nie wychodzić naprzeciw, ale pozwolić przyjść do siebie — *nec ire fac venire*“, dające się zastosować i do nienawiści tak samo, do tych pojedynków magnetycznych między człowiekiem-zwierzyną a człowiekiem-ogarem. Czekał, aby tamten *przyszedł*.

I nagle, po chwili ciszy, kiedy na scenie fałszywy trup zamieniał się z wolna na fałszywy

szkielet, na co ani Bernardet, ani jego sąsiad] nie zwracali wcale uwagi, sąsiad spytał oschłym głosem:

— Dlaczego mówisz mi pan o panu Rovère?

Bernardet odparł uprzejmie:

— Ja?... Ależ dla tego, że mówią o nim wszyscy! Boć to zdarzenie zajmujące wszystkich teraz!.. Ja jestem z tej dzielnicy właśnie... To tu niedaleko stało się to morderstwo.

— Wiem—wymówił tamten.

Nieznajomy nie wypowiedział i dziesięciu słów jeszcze, pytając i odpowiadając a Bernardet już w nich znalazł dwie wskazówki, nie nieznaczące z pozoru. „Wiem“, odpowiedział mężczyzna szorstkim tonem, jakby chciał odtrącić od siebie myśl natarczywą. Ton, dźwięk tych słów uderzył Bernardeta. Ale co w przelocie delikatna obserwacja jego pochwyciła, znajdując cały świat w jednym często odcieniu, to owo *pan* postawione przed nazwiskiem Rovère'a.

— *Pan* Rovère? Dlaczego mówisz mi pan o *panu* Rovère?—zapytał.

Widocznie więc musiał znać zmarłego.

Wszystkich tych ludzi natłoczonych tu w podziemiu kawiarni, gdyby był kto spytał o morderstwo przy bulwarze Clichy, niezawodnie wyraziliby się: *Rovère* — *sprawa Rovère'a*. Nikt z nich nie dodałby *pan*, chyba, że osobiście znając mu była ofiara.

— *Pan* Rovère?

Człowiek ten więc znał go widocznie. To proste słówko, w myśli policyjnego agenta mówiło wiele.

Teraz reżyser przedstawienia oznajmiał, że „kochany brat“, który był tak dobrym, że się poddał śmiertelnemu eksperymentowi, ukaże się oczom widzów w zwykłym swym stanie „świeższy jeszcze nawet i bardziej różowy, niż poprzednio“—dorzucał żartowniś—„co nie dzieje się zazwyczaj z zwykłymi *machabeuszami*“.

Publiczność witała tę przemowę rozgłośniami wybuchami śmiechu, powodowana tym instynktem, który pragaie otrząsnąć się cenajprędzej z mar grobowych. Jeden tylko ów człowiek w szerokim sombrero nie uśmiechał się wcale a nawet brwi miał silnie namarszczone, co bacznie notował Bernardet w swej pamięci, kiedy reżyser dodawał:

— Nie należy wam, bracia moi, przyzwyczajać się do widoku zmartwychwstających bliźnich. Między nami mówiąc, byłoby to nieraz bardzo nie na rękę wielu!

— Widocznie—myślał Bernardet—mojemu zachowi nie w smak to poszło...

Myślał teraz o tem tylko, by się dowiedzieć nazwiska swego sąsiada, jego osobistości, identyczności z tym, który sprzedawał portret a tym sposobem dojść, jakim było dotychczasowe jego życie w dniach ostatnich. Ale jak?

Niedługo wahał się agent pod tym względem. Opuścił „katakumby“, nie czekając nawet na zmartwychwstanie figuranta; prześlizgnął się między zbitym tłumem, powtarzając: „Przepraszam, bardzo przepraszam“, rozpychając widzów ruchem stanowczym silnej ręki i przeszedłszy szybko górną salę, w której nowo przybyli goście popijali likiery, kawę, piwo na dębowych trumnach, oświetlonych grońnicami, znalazł się na bulwarze, rozejrzał naprzód dokoła, przepatrzył trotuar, ulicę, niebo, mgłę lekką, poprzedzieraną tu i owdzie błyskami gazu i oświetlonymi taflami szyb sklepowych, co spowijała przechodniów, dorożki, tramwaje.

Bernardet upatrywał dokoła jakiego policyanta. Spostrzegł dwóch, którzy, rozmawiając z sobą, przechadzali się zwolna pod bezlistnymi drzewami. Trzema krokami, z głową zwróconą wciąż w stronę drzwi kawiarni, oświetlonych jasno blaskiem wielkiej czerwonej latarni, był już obok nich.

I rozmawiając z nimi, śledził bacznie każdego wychodzącego zamtąd widza. Miał oko na wszystko, tu rozmawiając, tam patrząc.

— Dagoniu — mówił do policyanta — pójdiesz za mną trop w trop. Rozpocznę pijacką kłótnię z pewnym jegomością. Ty się wnięszaj i zabierz nas obu. Rozumiesz?

— Doskonale — odpowiedział Dagoniu.

Popatrzał na swego towarzysza, który salutował agenta.

Bernardet, rzuciwszy szybko zlecenie w tonie rozkazu, był już daleko. Przeszedł przez szerokość ulicy, napowrót na trotuar i stał teraz tuż w pobliżu drzwi kawiarni, przypatrując się po kolei każdej twarzy wychodzących z tamtąd gości.

Nasunął teraz kapelusz na nos niemal i z pod jego ronda śledził wychodzących.

Dziwił się niepomiernie jednak, że ów pan w kapeluszu amerykańskim nie wyszedł dotąd. Zdawało się, że cała serya widzów już skończyła wychodzić. Może—niezawodnie nawet—upatrywany przezeń człowiek, musiał, wyszedłszy z dolnego lochu, zatrzymać się w ogólnej sali. Rzuciwszy okiem w drzwi wpółotwarte, Bernardet istotnie spostrzegł go siedzącego przed jedną z trumien dębowych, z kieliszkiem absyntu zielonego przed sobą.

— Potrzeba alkoholu dla odzyskania równowagi—pomruknął agent.

Drzwi kawiarni zamknęły się.

— Ha, dobrze, poczekam aż skończy swój absynt!

Nie czekał długo. Po wyjściu jeszcze kilku widzów, drzwi kawiarni otworzyły się i mężczyzna w szerokim kapeluszu na głowie, ukazał się w progu, zatrzymał na nim przez chwilę, jak

poprzednio Bernardet, badając niebo, przepatrując wzrokiem bulwar hałaśliwy, przyćmiony mgłą wilgotną.

Bernardet odwrócił się plecami, udając, że się oddala od kawiarni, pozostawiając swobodę nieznanemu, pilnie śledząc go spojrzeniem przez ramię, przeszedł przez szerokość ulicy, zamierzając tak manewrować, by dojść wprost naprzeciw nieznanego.

Ten zdał się wahać przez chwilę. Postąpił kilka kroków w stronę placu Pigalle, ku tej części bulwaru, gdzie leżało mieszkanie Rovère'a, dom, w którym spełnioną została zbrodnia. Potem nagle zatrzymał się, zakręcił na pięcie i zwrócił napowrót w stronę kawiarni „pod szkieletem“, którą minął niebawem; skierował się teraz ku placowi Clichy, wzdłuż szeregu domów, aż do „Czerwonego Młynu“, gdzie przez chwilę zdawało się, że chce wejść. Stał jednak, jakby namysławiając się co zrobić, wpatrzony, bezmyślnie może, w iluminację balowego budynku, którego skrzydła wiatrakowe obracając się, rzucały odblask krwawej łuny na okna i ściany domów przeciwnych, syjąc iskrami rubinów.

Nakoniec, śnać posłuszny ostatniemu postanowieniu, przeszedł nagle bulwar, zwrócił się ku środkowej części miasta, pozostawiając za sobą dzielnicę Montmartre, kawiarnie, dom Rovère'a...

Szedł prędko i na rogu ulicy Fontaine potrącił nagle jakiegoś przechodnia, niskiego człowieka, którego nie zauważył poprzednio i który, zda się, oderwał się niespodzianie gdzieś od ściany i padł mu niemal na piersi, bełkocząc głosem pijackim:

— Nietoługa jakiś, głupiec!

Nieznamy wówczas chciał odtrącić pijaka, ale pijak z kapeluszem, naciśniętym na oczy, stanął naprzeciw niego, zastępując mu drogę na rogu trotuaru i z uporem wciąż powtarzał pytanie:

— Cóż to... coż to... ulica nie jest więc wolna... ulica... co?

Tak, widocznie był to pijak, nie z tych taczających się wprawdzie opojów, ale pijany mieszczanin z kapeluszem na bakier i głosem niewyraźnym.

— Czy nie pozwolisz mi pan przejść nareszcie?—ozwał się nagle zaczepiony.

— Ja... ja nie przeszkadzam przecież. Ulica jest wolna, wszakże mówię!

— A więc skoro jest wolna, ja jej chcę [dla siebie!

Głos był silny, podniesiony, z akcentami nagłego gniewu, z jakąś ostrą, przenikliwą nutą i lekkim narzeczem cudzoziemskim, hiszpańskim może.

Pijakowi wydał się on bezczelnym [prawdopodobnie, bo bełkocząc wciąż, odparł:

— O, chcesz je! Chcesz! Patrzcie! *Ja chcę!*
Król mówi *my chcemy*, wiesz!

I na nowo, chcąc postąpić, stracił równowagę, zachwiał się, padając głową wprost na nieznanego, którego pochwycił wpół i niby w nagłym wylewie czułości, trzymał w uścisku.

— I do mnie ona należy także... ulica, wiesz, ulica—wołał jeszcze.

Z niespodzianą gwałtownością młody człowiek uwolnił się z tej pieszczoty, która mocno wyglądała na pochwycenie. Rozsunął ręce pijaka silnie a ruch ten nastąpił tak szybko i z taką siłą, że pijak na ten raz upadł już na dobre na trotuar, kapelusz zaś potoczył się w rynsztok.

W tejże samej chwili przecież, podnosząc się, stanął jednym skokiem na nogach, snąc wytrzeźwiony nagle i idącego dalej już nieznanego, pochwycił z tyłu za kołnierz, czepiając się go, nie dając postąpić ani kroku:

— O, przepraszam — wołał — tak się nie odchodzi!

W tej chwili przy świetle gazowej latarni, której blask padł na twarz pijaka, mężczyzna poznał swego sąsiada z kawiarni, który tak niedawno jeszcze w podziemiu grobowem, mówił mu te słowa:

— Tak to teraz zapewne musi wyglądać biedny Rovère!

Równocześnie para silnych dłoni pochwyciła go i Dagonin wraz z swym towarzyszem stanęli po

obu jego bokach, popychając szybko naprzód; Bernardet zaś, odgadując co znaczy nagły ruch prawej ręki nieznanego, skierowany ku kieszeni, gdzie zapewne mieścił się rewolwer lub nóż, pochwycił jego rękę, czepiając się i, zawisłszy na niej całym ciężarem, przyczem wciąż powtarzał:

— No, no, bez złości tylko, bez gniewu!

Nieznamy był silny, ale Dagonin znany był z mięśniów herkulesowych a i dwaj inni nie należeli także do słabych. Ostupienie przytem obywatelskiego wysokiego mężczyzny, który po kilku chwilach, widząc, że go prawdopodobnie popychają w stronę posterunku policyi, spytał zdumiony:

— Czy macie zamiar mnie aresztować? I za co?

— Naprzód za to, żeś mnie pan uderzył—odpowiedział Bernardet z głową odkrytą wciąż jeszcze, któremu jakiś chłopak podawał zabłocony kapelusz, mówiąc:

— To pański, panie Bernardet!

Znano go więc w jego dzielnicy, Bernardeta. Co to sława!

Mężczyzna wówczas widocznie chciał się bronić jeszcze, walczyć, ale uwaga Dagonina go uspokoiła.

— Tylko bez oporu. Całe to zajście to błahostka a jeśli pan stawiać zechcesz opór, będzie to już sprawa daleko poważniejsza!

W samej rzeczy, była to przecież tylko drobna sprzeczka uliczna, zwykła burda. Puszczą go natychmiast. Co tylko niepokoiło nieznanego, to ten pijak co wytrzeźwiał tak nagle a który tak niedawno jeszcze z nim rozmawiał, tam.

Grupa czterech mężczyzn szła szybko, popychana i popychająca w półcieniu, wzdłuż domów ulicami niemal już pustymi, świecącymi tu i owdzie jeszcze tylko szerokimi smugami światła, padających z winiarni i kawiarni. Przechodnie nie mogli nawet zdać sobie sprawy, że to policya prowadzi kogoś do cyrkułu. Chorągiew trójkolorowa, poczerniała, powiewała tam w blasku czerwonej latarni. Drzwi otwały się na ulicy La Rochefoucauld, nieznanego gwałtem niemal wpehnięto do pokoju ciasnego i gorącego, w którym kilku służbowych policyantów drzemało lub czytało dokoła pieca, pod blaskiem lamp gazowych o szerokich abażurach. Wtedy to, kiedy oglądając z rzewnym uśmiechem na swój kapeluszu pognieciony i splamiony błotem, Bernardet poprosił go, by podał służbowemu urzędnikowi swe imię i nazwisko oraz adres, cudzoziemiec zrozumiał, że interlokutor jego z kawiarni „Pod szkieletem“ pojmał go w zasadzkę. Popatrzył nań z wyrazem gwałtownego gniewu, blady z wściekłości.

Potem rzekł:

J. Claretie. „Oskarżyciel“.

— Cóż może zależeć na mojem nazwisku? Jestem uczciwym człowiekiem. Dlaczego mnie aresztujecie? Co to wszystko ma znaczyć?

— Pańskie nazwisko?—powtórzył Bernardet. Nieznajomy zawahał się.

— No dobrze! Nazywam się Pradès. Czy jesteś pan mądrzejszy teraz?

Urzędnik pisał:

— Pradès... P...r...a...d...è...s... Z akcentem? Pradès... Imię?

— Karol, jeśli wam się podobał

— Och—wymówił Bernardet, podkreślając wyrazy—nam się nie nie podoba, prócz prawdy!

— Ja ją też mówię.

Karol Pradès dostarczył jeszcze niektórych o sobie szczegółów. Mieszkał w hotelu przy ulicy Paradis-Poissonnière, w małym hoteliku komiwojażerów i drugorzędnych komisantów; w Paryżu, przebywał dopiero od miesiąca.

Zkąd przyjeżdżał? Utrzymywał, że powraca z Sydney, gdzie był wspólnikiem jakiegoś domu handlowego. Ścisłej mówiąc, zerwał tę spółkę, chcąc w Paryżu szukać szczęścia. Mówiąc wszakże o Sydney, rzucił nieostrożnie kilka zdań, rozgoryczkowany, w których wymknęła mu się nazwa Buenos-Ayres, a Bernardet zanotował w pamięci ten fakt, że to w Buenos-Ayres właśnie Rovère był konsulem francuzkim. Agent zresztą nie podniósł tego drobnego szczegółu. Bo i po co? Istotne badanie Pradèsa odbędzie się dopiero

wobec komisarza policyi i pana Gisory. On nie jest przecież sędzią śledczym. On był tylko naganiaczem, co wypędza zwierzynę z legowiska. Niech dalej działają inni!

Ów Pradès zresztą, zrazu był zdziwiony, potem wściekły, kiedy po skończonym protokóle dowiedział się, że go nie wypuszczają natychmiast na wolność.

Jakto, tak błaha sprzeczka uliczna w Paryżu, wystarczała, by przetrzymywać jakiegoś spokojnego człowieka w areszcie policyjnym i skazywać go na spędzanie nocy między włóczęgami i ulicznicami?

— To już jutro rano pan zanieiesz skargę— odpowiadał Bernardet.

Tymczasem zrewidował owego Pradèsa, który niezmiernie blady, widocznie nadludzkie czynił wysiłki, gryzł wargi, czarną brodę, by się zachować spokojnie przez ten czas, kiedy przetrząsano jego pugilares, oglądano nóż hiszpański o krótkim ostrzu, który (jak to zgadł dobrze Bernardet) miał w prawej kieszeni.

W pugilarzesie nic nie odkryto. Zawierał rachunki, pokwitowanie tygodniowe z hotelu przy ulicy Paradis, koperty listowe bez marek, adresowane do pana Karola Pradès, negocyanta— i dwa banknoty stufrankowe. Nic więcej zresztą.

Bernardet spytał Pradèsa, jakim sposobem ma przy sobie listy do niego adresowane, których

widocznie nie dostał, ponieważ nie miały stempli pocztowych.

Odpowiedział:

— To nie listy. To adresy, które dają w miejsce biletów wizytowych, nie miałem bowiem sposobności czy czasu postarania się o nie.

— Więć te adresy są ręką pana pisane?

— Tak—odrzekł Pradès.

Agent bezpieczeństwa przypatrzył się im bacznie po raz ostatni, potem kłaniając się urzędnikowi i całemu personelowi posterunku, życzył im dobrej nocy i nieco filuternie nawet przesłał ukłon w stronę aresztowanego. Pradès, widząc to, zawrzał gniewem ponownie i całe jego ciało pochyliło się mimowiedzym ruchem ku Bernardetowi z groźbą. Ręce policyantów powstrzymały zapęd jego niebawem i Pradès wepchnięty został w głąb izby, kiedy tymczasem niski tłusciutki Bernardet, wesoło pogładzając ręką rudawego wąsa, wychodził na ulicę, nucąc sobie pod nosem.

I aż do swego mieszkania, przy pasażu Elysée-des-Beaux Arts, ta mimowolnie nucona piosenka nie opuszczała ust jego.

Słyszając go jak pośpiewywał wzdłuż trotuarów opustoszałych, każdy wziąłby go raczej za poczciwego mieszczucha, wychodzącego z teatru i powtarzającego jakiś zapamiętany kuplet wodewilowy, niż za policyjnego agenta, któremu udał się dobry połów.

Szedł wesół wprost przed siebie, żywo, szybko, zadowolony widocznie. I aż do samego mieszkania, gdzie nań czekała żona, zawsze dlań uprzedzająca i zaramieniona, gdzie wszystkie trzy córeczki spoczywały w łóżeczkach w swoim pokoiku, agent zmuszony był powtarzać sobie, jak ów cesarz rzymski, on, prosty pionek, że nie stracił dnia nadaremnie.

I znowu piosenka, ledwie dosłyszalna, dobiegała niby radosna fanfara daleka, zwiastująca zwycięstwo, z pośród mgły szarej nocnego Paryża.

XVI.

Pan Ginory doznawał niejkiej niepewności, ilekroć myślał o aresztowaniu i uwięzieniu Jakóba Dantin. Bezwątpienia wszyscy oskarżeni używają broni milczenia, osłaniają swą winę, kryjąc się za szaniec dobrowolnego milczenia, koniecznego jakoby. Nie chcą mówić, rzekomo bowiem poprzysięgli milczenie. Honor nakazuje im milczeć. Wiąże ich niewiedzieć komu dane słowo, którego drzyczyny wytłomaczyć nie mogą. Zwykły to system winnych, którzy nie mogą się bronić. Tajemnica wydaje im się deską zbawienia. Zdaje im się, że znikną z przed oczu sprawiedliwości, skoro się za mgły ukryją.

Dantin jednak wmieszany w życie Rovère'a mógł istotnie mieć w tem jakiś interes, by tańc powierzoną sobie tajemnicę, która nie była jego własnością. Jakąż tajemnicę? Czyliż sędzia śledczy nie ma prawa wiedzieć o wszystkim? A człowiek oskarżony czyż nie ma znów prawa powiedzenia wszystkiego? Albo też może Dantin nie miał nic do powiedzenia a grał tylko komedję i był winnym. Przecież chyba tak długo milcząc

z niewytłomaczonych powodów, teraz kiedy wie, że słów kilka, że zwierzenie, uczynione sędziemu mogłoby uchronić go od podejrzenia tak straszne-go, powiedziałby. Jak przypuścić, że człowiek niewinny zdołałby tak długo się upierać przy obciążającym go milczeniu systematycznym?

Odkrycie portretu Dantiusa w sklepie pani Oolard niezawodnie nada nowy zwrot, niespodziewany może, śledztwu. Aresztowanie Karola Pradès wnosilo nowy żywioł w te poszukiwania. Przeprowadzono go nazajutrz do pana Ginory, po długim już badaniu poprzednim u komisarza policyi.

Bernardet, wystrojony, świeżo ogolony, został zawezwany i w długim, czarnym anglezie, starannie wyczyszczonym, sprawiał wrażenie eleganckiego „abbé“, co przychodzi przyjrzeć się ciekawej jakiejś ceremonii.

Pradèsa twarz przeciwnie w ciągu tych kilku godzin, po nocy spędzonej bezsennością w niepokoju i trwodze w policyjnym posterunku, bledsza daleko niż dnia poprzedniego, z rysami kurczowo ściągniętymi i dzikością w oczach, nabrała osłupiałego jakiegoś wyrazu; przymrużał oczy jak nocny ptak drapieżny, gwałtem wywiedziony na światło dzienne. Powtarzał wobec sędziego to, co już powiedział był przy pierwszym protokule. Ale głos jego donośny, metaliczny wczoraj jeszcze, stał się chrapliwym jakimś, głuchym; twarz nabrała wyrazu skrytego i tragicznego.

Sędzia śledczy polecił zawezwać panią Colard, tandeciarkę. Poznała odrazu i bez wahania w owym Pradèsie człowieka, który jej sprzedał obrazek pendzla Pawła Baudry.

On wręcz przeczył. Nie wiedział, co przez to chcą powiedzieć. Kobiety tej nie widział nigdy w życiu. Nie miał pojęcia, co to miał być za portret.

— Ależ to własność pana Rovère — odpowiedział mu sędzia — zamordowanego pana Rovère. Był on dość długo konsulem w Buenos-Ayres, a pan wczoraj, w toku badania w cyrkule, wspomniałeś także Buenos-Ayres.

— Pan Rovère? Buenos-Ayres? — powtarzał młodzieniec, obracając machinalnie w rękach wielkie amerykańskie sombrero.

Zapewniał wciąż, że nie znał bynajmniej byłepo konsula, że nigdy nie był w Ameryce południowej, że przybywa wprost z Sydney...

Bernardet przerwał mu na chwilę, odbierając w milczeniu z ręki kapelusz, za co Pradès rzucił na ujmująco grzecznego zawsze agenta także same zjadliwe spojrzenie jak wczoraj.

Pan Ginory pojął myśl agenta i poparł ją lekkim uśmiechem.

— Kapelusz — rzekł.

Sędzia spojrzał do wnętrza kapelusza, który mu podawał Bernardet.

Szerokie sombrero w swem wnętrzu opatrzone

było adresem fabrykanta: „Gordon, Smithson and C-o, Berner street, London“.

— Ha, myślał sędzia, wszakże i Buenos-Ayres jest jednym z rynków zbytu dla importowego handlu angielskiego!

— To kapelusz — ozwał się Pradès, zrozumiawszy o co chodzi — który nabyłem w Sidney!

Wobec stanowczego i śmiałego twierdzenia pani Colard, która teraz nie lękała się już, że ją ktoś uważać może za denuncyatkę, począł jednak tracić cokolwiek pewność siebie. Daremnie wciąż powtarzał uparcie:

— Pani się mylisz stanowczo, ja z panią nigdy w życiu nie mówiłem, nie widziałem pani nigdy.

Skoro pan Ginory spytał kupcowej, czy jest tego pewną, czy obstaje przy swem twierdzeniu, że to jest człowiek, który jej sprzedał ów obrazek:

— Czy obstaję! — zawołała tandeciarka — ależ gdybym miała dać głowę pod topór kata, obstawać będę.

I powtarzała wciąż:

— Jestem tego pewną — jestem pewną, że to on!

Pierwsze to badanie Pradèsa nie przyniosło zresztą żadnego stanowczego rezultatu. Z pewnością jeśli portret należący do Rovère'a był w posiadaniu tego młodzieńca i został przezeń sprzedany, Karol Pradès jest współnikiem Dantina, kto wie nawet, czy nie samym sprawcą zbrodni. Trzeba przeto skonfrontować obu tych ludzi a może wówczas otrzyma się rezultat bezpośredni.

I dla czegóżby wreszcie ta konfrontacya nie miała mieć miejsca natychmiast, zanim Pradès zostanie wciągnięty na listę więźni w Mazas jak Dantin?

Sędzia, wymówiwszy tę nazwę Mazas zauważył wyraz naglej trwogi, który przeobraził niespodziewanie twarz młodego człowieka.

Pradès bąkał jak nieprzytomny:

— Więc mnie panowie nie uwalniacie... Więc ja mam być uwięzionym?..

Sędzia nie odpowiedział. Wydał rozkaz, żeby Pradès pozostał pod strażą aż do chwili przybycia Dantina, po którego posłano do Mazas.

W tych smutnych murach, cela zrobiła już z Jakóba Dantin chorego. Samotność przyćmiła śmiały wzrok tego człowieka, o postaci średnio-wiecznego rajtara, przygarbiła wyniosłą jego postać. Wyprostował się jednak, kiedy dozorca przyszedł po niego; odnalazł nagle nerwową jakąś energię kiedy drzwi się otwały i przywołano go.

Szedł z głową podniesioną przez kurytarze, o poczerniałych murach, z dwoma szeregami drzwi, prowadzących do celek więziennych, a noga jego śmiało stąpała po kamiennych płytach posadzki.

Widok powozu więziennego, który go powieść miał znów do pałacu sprawiedliwości, przejął go dreszczem, potem jednak dał się wsadzić spokojnie w to ruchome więzienie, więzienie drewniane, ciasniejsze

jeszcze od dotychczasowego więzienia kamiennego, co go unosiło ku czemuś nieznanemu, straszliwemu może.

I ta myśl, to wrażenie, że jest tak blisko życia—a przecież tak daleko zarazem — że przejeżdżał ulicami, mijał dorożki, w których siedzieli mężczyźni i kobiety, rozmawiający, wesoło śmiejący się, swobodni, przyprawiało go o nerwowe rozdrażnienie, przejmowało rozpaczą.

To powietrze, którem oddychali wszyscy inni, on je czuł, on je wdychał, ale przez kratę, jakby zatrute, skoro tylko wnikało w głąb powozu, wyziewem tego pudła, w którym tyłu złoczyńców rozmyślało o swych zbrodniach, wylewało swe przekleństwa.

Dość mu już było tego dławiącego powietrza czuł się niem zmęczony.

Powóz stanął przed gmachem trybunału i Jakób Dantin poznał schody, któremi weszł tu po raz pierwszy, korytarz, który prowadził do gabinetu sędziego śledczego. Wchodząc do ciasnego pokoju, gdzie nań oczekiwał pan Ginory, Dantiu skłonił się sądownikowi, nieco wyniosłym, ale pełnym dworskości giestem; był to niby ów ukłon pałaszem przed rozpoczęciem pojedynku; zdumiony, że między dwoma zbrojnymi strażnikami zastaje kogoś nieznanego sobie zupełnie: Pradèsa.

Pan Ginory bacznie studyował twarze obu, zarówno twarz jednego jak drugiego. Jeśli istniał jakikolwiek bądź związek między nim a Pradèsem,

to Jakób Dantin był znakomitym komedyantem, żadna bowiem najdrobniejsza choćby oznaka, żadne drgnienie mimowolne, żaden wyraz twarzy nie zdradził wobec wprawnych oczu sędziego, że więzień kiedykolwiek bądź w życiu spotkał się już z tym człowiekiem.

Sędzia śledczy domagał się, by i tu Bernardet obecny był konfrontacyi, a twarz policyjnego ogara, poważna teraz, surowa niemal, zwrócona była badawczo ku Dantinowi. Policyjant przemienił się inkwizytora jednak. Nic zgoła nie mogło mu odstępować jakiegokolwiek łączności między Dantinem a Pradèsem. Zazwyczaj oskarżeni mimowiednie jakimś giestem, miną zdradzić muszą swe wruszenie kiedy wprowadzeni do biura sędziego, nagle tam zastaną aresztowanego niespodziewanie współnika. Tu wszakże ani jeden muskuł nie drgnął w twarzy Dantina, nie mrugnął ani jeden włosk rzęsy.

Pan Ginory posadził Dantina naprzeciw siebie, twarzą zwróconego do światła. I spytał go, ukazując stojącego przed nim Pradèsa:

— Czy oskarżony poznaje tego człowieka?

Dantin po kilku sekundach zaledwie bacznej uwagi, odparł.

— Nie. Nie widziałem go nigdy.

— Nigdy?

— Nie sędze. Jest mi zupełnie nieznanym.

— A pan, panie Pradès, czy nie widziałeś nigdy Jakóba Dantina?

— Nigdy—odpowiedział z kolei Pradès, którego głos ochrypliły stanowił dziwny kontrast z akcentem stanowczym i spokojnym jasnej odpowiedzi Dantina.

— A jednak—mówił sędzia—to przecie oryginalny portretu, który sprzedałaś pani Colard.

— Portretu?

— Przypatrz się pan dobrze. Dantinowi, przypatrz się dobrze — powtórzył pan Ginory.— Czy poznajesz w nim oryginał rzeczony portretu?

— Tak—odpowiedział Pradès, którego oczy rozszerzone utkwione były w więźnia.

— A!—zawołał sędzia radośnie.

I uzupełnił owo *a!*, pytając:

— A jakimże to sposobem, powiedz mi pan, poznajesz tak szybko oryginał portretu, który widziałeś przez chwilkę tylko w mojem biurze teraz?

— Nie wiem—wybąknął Pradès, nie rozumiejąc bynajmniej ważności tego pytania zadanego tonem niemal uprzejmym.

— A zatem ciągnął dalej Ginory — ja to panu wytłomaczę. Rzecz pewna, że pan rozpoznajesz te rysy, boś dosyć długo przypatrywał się portretowi, długo bowiem miałeś go w swych rękach, i obracał go na wszystkie strony... na przykład dla tego choćby, by oderwać odeń ramy.

— Ramy, jakie ramy?—spytał młody człowiek zdumiony, nie spuszczać oka z sędziego, który

zdał mu się teraz obdarzony jakąś czarodziejską władzą; a pan Ginory mówił dalej, coraz już bardziej stanowczo:

— Ramy, które dość gwałtownie odrywałeś, skoro pozostały widoczne ślady uszkodzenia na obrazku. A jeśli, odkrywszy samo malowidło u pani Colard, uda nam się z kolei odkryć i owe ramy w sklepie innego znów tandeciarza—co już nie będzie trudne, zapewniam (i sędzia popatrzył z uśmiechem na Bernardeta, z wesołą wciąż mi-
ną)—jeżeli dołączymy nowe zeznanie do zeznania pani Colard... Tak, jeśli do tego świadectwa, tak jasnego i stanowczego, dołączymy drugie jeszcze, co wówczas będziesz pan miał do powiedzenia?

Milczenie. Pradès obrócił głowę dokoła, z wyrazem błędnym, jakby szukał dokoła wyjścia czy obrony, dławiąc się jak człowiek konający.

A wzrok Jakóba Dantin ogarniał go równocześnie ze spojrzeniem sędziego, surowszy zda się jeszcze, przenikliwszy, dojmujący do głębi, doszukujący się prawdy w duszy tego nieznanego, wybladłego i zmienionego teraz.

Nakoniec Pradès wyrzekł kilka słów. Czego chciano od niego? O jakich ramkach mówił sędzia? Ramki?... Po cóż znów owa historia z ramkami? A ów drugi świadek, owa tande-ciarka, o której wspominał pan sędzia, gdzie był ów drugi świadek z swem nowem zeznaniem?

— Gdzie jest świadek?—odpowiedział sędzia—
O, niedaleko! Mogę go przyzwać powtórnie!...

— Ależ dość już jednej! — mówił Pradès, rzucając dzikie spojrzenia na panią Colard, która na znak pana Ginory weszła blade, czując, że ją napowrót trwoga ogarnia.

I dodał groźnie:

— Ależ jednej już zawiele nawet.

I palce prawej jego dłoni zaciskały się kurczowo jak dokoła rękojści noża. Od tej chwili, Bernardet, który studyował każdy ruch tego człowieka, przekonany był, że miał przed sobą mordercę Rovère'a. Widział dłoń tę w nóż uzbrojoną—ten sam, który znaleziono w kieszeni Pradèsa—jak spada na ofiarę, jak przecina gardło byłego konsula.

— Ależ w takim razie?... Dantin? Współwinowajca bezwątpienia. Głowa, której ten awanturnik był ramieniem. Bo nakoniec w oku zmarłego pozostał obraz Jakóba Dantin, jego twarz własna odbita się tam najwyraźniej, niby oskarżenie, sformułowane przez widmo w chwili konania, w ostatniem tchnieniu. Jakób Dantin był przecież, istniał, zostawał w rękach sprawiedliwości. Oko oskarżało, oko mówiło...

Świadeństwo pani Colard nie pozostawiało żadnej wątpliwości dla pana Ginory. Ów Karol Pradès był niewątpliwie osobą, która sprzedała portret, będący niegdyś własnością Rovère'a. Czy portret ten otrzymał on od Dantina? Rezultat konfrontacyi nie pozwalał tego twierdzić dotąd stanowczo. Nie dowodziła ona, że dwaj ci ludzie

spotkali się z sobą kiedykolwiek. Najłżejsze drgnienie nie zdradziło u Jakóba Dantina wzruszenia na widok Pradèsa. Ten zaś zdradzał tylko sam siebie, odnajdując w więźniu z Mazas model portretu, malowanego przez Pawła Baudry.

Ale przycyrajmniej, jak to zaznaczył sędzia stanowczo, sam fakt, że odrazu poznał Dantina, stanowił dla Pradèsa okoliczność obciążającą. Co w połączeniu z świadectwem tandeciarki, czyniło ważną już poszlakę.

Chłodno pan Ginory ozwał się do pisarza:

— Mandał.

Potem, kiedy Favard wziął arkusz zadrukowanego papieru z nagłówkiem, który Pradès zdaleka usiłował odczytać, sędzia począł zadawać pytania. I w miarę jak pan Ginory mówił powoli, pisarz wypełniał rubryki na jednym z tych mandatów, które wolnego człowieka zamieniają w oskarżonego, w więźnia.

— Nazywasz się pan?—pytał pan Ginory Pradèsa.

— Pradès.

— Imię pańskie?

— Henryk.

— Powiedziałeś pan, Karol, komisarzowi policyi.

— Henryk Karol, czy Karol Henryk, jak pan chcesz...

Pan Ginory nie zwrócił się nawet w stronę pisarza, który notował, nie czekając na dyktowanie.

- Pański zawód—ciągnął sędzia dalej.
- Komitant handlowy.
- Wiek?
- Dwadzieścia osiem lat.
- Miejsce zamieszkania?
- Sydney, w Australii

I na urzędowym papierze czyste rubryki wypełniały się jedna po drugiej...

Wprędcę pod tym nakazem uwięzienia sędzia kładł swój podpis, mówiąc Favarelowi:

— Rysopis niech pozostanie niewypełniony. Dopiszą go w oddziale służby antropometrycznej.

Wówczas Pradès, osłupiały, jakby dotychczas odurzony i jakby na wpół zaledwie rozumiejący co się dzieje dokoła niego, nagle porwał się; obudził się w nim bunt i wszystko co było dzikiego w jego duszy, wybuchło okrzykiem:

— Aresztowany? Ja aresztowany? Maie aresztujecie?

I ku stołowi, gdzie spokojny siedział pau Ginory, z grubym karkiem, owiązanym niedbale krawatem, wsparty na dłoni, z piórem jeszcze w rąku, którym podpisywał nakaz, spokojny niewzruszenie—młody człowiek przegiął się całym ciałem, szalony z gniewu i gdyby nie to, że go pochwycili strażnicy municypalni i przytrzymali za ręce, pięści jego zdławiłyby szyję sędziego, tę szyję krótką i czerwoną apoplektyka.

Podtrzymano Pradèsa a sędzia śledczy, trącając piórem w stół, za którym siedział pisarz, rzekł spokojnie z uśmiechem:

— Słusznie twierdzą, że niejedyn złoczyńca zdradza się sam w chwili gniewu. Często bardzo przychodziło mi na myśl, kiedy miał przed sobą oskarżonego, w którym czułem winnego a który przyznać się nie chciał, że dobrze byłoby może pozwolić się zamordować, niezupełnie, tak troszeczkę tylko, byleby osiągnąć tem dowód faktyczny jego winy. Wyprowadźcie tego człowieka!

I podczas, gdy wyprowadzano z sali Pradèsa, który wył i krzychał: „Łotryl!”, pan Ginory polecał, żeby go zostawiono sam na sam z Dantinem.

— Sam na sam — powtórzył z naciskiem do Bernardeta, którego wzrok ściagał go z pewnym niepokojem.

Pisarz powstał nawpół, zbierając papiery i wsuwając je w zniszczoną teczkę.

— Nie, pan zostajesz, Favarel.

— A zatem!—ozwał się sędzia niemal poufale, kiedy Jakób Dantin jak przed kilku dniami znalazł się z nim oko w oko w tym samym gabinecie trybunału—czyś się pan już namyślił?

— Jakób Dantin z zaciśniętymi ustami, nie odpowiadał.

— A przecież to doradczyni... doradczyni specjalnego rodzaju, ta więzienna cela. Ten, który ją wymyślił...

— Tak — przerwał Dantin nagle — mózg wre w tych murach. Odkąd tam jestem, nie spałem ani jednej nocy. Nie spałem. Bezsenność mnie zabija. Zdaje mi się, że ja tam zwaryuję.

— A więc? — wtrącił pan Ginory.

— A więc...

Jakób Dantin spojrzał na pisarza, który siedział z piórem za uchem i brodą wspartą na dłoni w oczekiwaniu.

— A więc dobrzel tak; tego... przyrzeczenia, które uczyniłem sam sobie, postanowienie milczenia, zachowania wszystkiego w tajemnicy, nie mogę dotrzymać. Duszę się, powiem panu już wszystko, wszystko... Ale panu, tylko panu...

— Mnie tylko?

— Tak — powtórzył Dantin z tymże samym dziwnym niemal wyrazem.

— Kochany Favarel — rozpoczął sędzia.

Pisarz powstał już, kłaniając się zlekka, nie wyrządziwszy nawet panu Ginory tej obelgi, by nań rzucić owo, nieco wylękłe spojrzenie, jakim go zegnał Bernardet przed chwilą.

— Teraz — ozwał się sędzia do Jakóba Dantin, siedzącego przed nim — możesz pan mówić.

Oskarżony wahał się jeszcze.

— Panie — spytał — czy wszystko to, co się tu mówić będzie, zostanie powtórzonem, musi lub

może być powtórzonem na sali trybunału, na sądzie przysięgłych, nie wiem gdzie wreszcie, przed publicznością?

— To rzecz względna—odparł pan Ginory.—Cokolwiek wszakże wiesz pan, winien jesteś prawdę sprawiedliwości. Jakiemkolwiek będzie twe zeznanie: oskarżeniem, czy przyznaniem się, ja się go domagać w każdym razie muszę!

Nastąpiła u Dantina jeszcze chwila wahanis, potem śnać gwałt sobie zadał po powtórnym słowach sędziego:

— Ja się go domagać muszę!

— Niech więc tak będzie — mówił więzień.— Zwracam się wszakże z tem więcej do człowieka honoru, niż do urzędnika. Jeśli wahałem się z wypowiedzeniem, jeśli wolałem uchodzić za winnego, to dlatego, że wydawało mi się niepodobieństwem, by prawda nie miała sama przez się wypłynąć — w jaki sposób, nie wiedziałem — ale zdawało mi się, że stanie się ona widoczną dla pana, bez zdradzenia tajemnicy, nie będącej moją własnością.

— Sędziemu śledczemu wszystko powiedzieć można—odparł pan Ginory. Ten pokój, w którym siedzimy, słyshał już niemało wyznań, niemało różnych spowiedzi, które tak samo po za jego mury nie wyszły, jak nie wychodzą po za obręb konfesyonału księdza.

I już po długim posądzaniu Dantina o kłamstwo, komedya, o tę arcywygodną wymówkę przy-

sięgi, której gwałcić nie można, do myśli sądownika wdzierać się zaczynało przypuszczenie szczerości u tego człowieka, skrytego dotąd i jakby zamkniętego w wrogim uporze.

Sposób nawet, w jaki tym razem Jakób Dantin przystępował do sprawy, ten ton stanowczy, jakim przemawiał, nie był w niczem podobny do jego zachowania poprzedniego, przed kilku dniami, w tymże samym gabinecie, na temże krześle, w tem samem miejscu.

Rozmyślanie, więzienie, cela bezwątpienia, ta przerażająca i szczelnie zamknięta cela odosobnienia—dokonały swego. Człowiek, który opierał się dotąd, odmawiał zeznania, chciał teraz wypowiedzieć wszystko.

— Tak—rzekł—wszystko, ponieważ wbrew mojej nadziei, nic nie stało się, coby przekonało pana, że nie kłamał!

— Słucham—wtrącił sędzia.

XV.

Wtedy to w spowiedzi długiej i wypowiedanej gorąco, z zapalem, wzruszającej, pełnej wspomnień, smutku, zwrotów, bezwiednych niemał, do przeszłości minionej, do lat młodocianych, tych lat tak drogich, które przeżył niegdyś razem z Rovèrem, wiozen ubiegłych, uczuć zamartłych, Jakób Dantin wynurzać się począł, wynurzać z głębi serca ze wszystkich goryczy, rozczarowań, z żalów za roztrwonionem, zmarnowanym życiem, życiem światowca, za istnieniem, które mogło być pięknem a stało się tak bezużytecznem i tak głupiem, że zdołało podać go w podejrzenie, iż mógł — i dlaczego? jakim sposobem? dzięki potrzebie pieniędzy, dzięki utracie moralnego zmysłu — zejść aż do zbrodni.

— Ach, drogo opłaciłem waszem podejrzeniem szaleństwa pustego mego życia!

Ów Rovère, o którego zabójstwo go oskarżano, on go kochał; i prawdę mówiąc, w tem istnieniu niedorzecznem i udręczeń pełnem, które sam sobie zgotował, Rovère był jedynym przyjacielem prawdziwym, jakiego spotkał w życiu,

Jedynym. I on także, Rovère, rodzaj filozofa pesymistycznego, samotnik, mizantrop, po długim szalonym życiu, pełnym nieskończonych zabaw, spragnionem uciech, on także uznawał w ostatnich latach życia, że przywiązania bezinteresowne są rzadkie na tym świecie i dzika jego mizantropia łagodniała wobec tej resztki dawnego świetnego humoru jaka pozostała z młodości Dantinowi.

— Ja wciąż szukałem dalej w tem, co nazywają uciechami a co wówczas, gdy skronie przyproszy siwizna, staje się nałogiem, w grze, we wrzawie Paryża, zapomnienia o życiu, ciężkim życiu starzejącego się człowieka samotnego, bez ogniska domowego, bez rodziny, starego kawalera, wycofanego z kursu, na którego młodzi spoglądają z nienawiścią, jakby pytali: „Dlaczego on tu wciąż jest jeszcze?” On, coraz to więcej zagłębiał się w potrzebie samotności ponuraj, przeżywał wiecznie swe życie awanturacze, równie głupio roztrwonione jak moje i nie chciał już widywać nikogo. Ot, wilk, dzik w swojej kałuży. Czy pojmujesz pan tę przyjaźń dwu istot zestarzałych, z których jedna odurza się, aby nie czuć, że żyje a druga zamknięta, zdziechała, oczekuje śmierci przed ogniem komicką?

— Doskonale, mów pan dalej!

I sędzia z oczyma utkwionemi w Jakóba Dantin, widział, jak człowiek ten się zapala, gorączkuje na wspomnienie tej przeszłości, tych

rzeczy ubiegłych, tego przywiązania postradane-
go, straconego jak całe jego własne życie.

— To nie narada, nieprawdaż? I nie przy-
puszczasz pan także, że to komedia? Kochałem
Rovère'a; życie roździelało nas często. On biegł
szukać szczęścia i majątku na koniec świata; ja
trwoniłem swój w Paryżu, ale zawsze zachowa-
liśmy z sobą ścisłe stosunki a kiedy powrócił na
ziemię Francyi, szczerze ucieszyliśmy się, że się
znów spotykamy. A im więcej siewała broda,
tem więcej serce, wyschłe na tylu innych pun-
ktach, stawało się czułem w tym jednym kierun-
ku. Zawsze uważałem go za tetryka. Od czasu
jak mieliśmy obaj po lat dwadzieścia, włókł on
ze sobą zawsze ponurego towarzysza: nudę. Wy-
brał sobie tę karierę konsulatową, po to, by
wyjechać daleko, żyć zdala od wszystkich istnie-
niem, które nie byłoby w niczem podobne do na-
szego; powtarzałem mu często ze śmiechem, że
chyba ma jakąś miłość tajemną, jakąś namiętność
nieszczęśliwą. On przeczył. Ja udawałem, że
wierzę. Nie bywa się tak ponurym, jeżeli niema
człowiek w sobie gryzącego jakiegoś zmartwie-
nia. Szczerze mówiąc — dodał Jakób Dantin,
przerywając[]sobie — bywają inni co nie są weseli,
choć mają śmiech na ustach! Smutek nie do-
wodzi niczego, ani wesołość!

Twarz[]jego, twarz dumnego średniowiecznego
rajtara, nabierała wyrazu rzewności i smutku,

który dziwił, potem budził współczucie w sędzim, słuchającym poważnie, w milczeniu.

— Nie dotykam wszystkich szczegółów naszej egzystencji, wszak to niepotrzebne? Mój monolog przewlekłby się zanadto. Kiedy lata młodości minęły z szybkością zawrotną, odnaleźliśmy się nakoniec znowu; on znużony zupełnie, najął to mieszkanie na bulwarze zewnętrznym, by w niem żyć w samotności, przed ogniem kominka wśród ksiąg i obrazów i tam umrzeć; ja pobudzając się wciąż jak koń schwacony. Kovère prawił mi morały, ja sobie drwiłem z jego kazań i odwiedzałem go, aby pomówić u kominka o naszej minionej przeszłości. Przyjemność dlań stanowił ten portret mój, zrobiony przez Pawła Baudry w Bordeaux, tak już dawno—1871!... Powiesił go w swym salonie nad kominkiem po lewej ręce i mawiał mi często:

— Wiesz, kiedy ciebie tu niema, rozmawiam z tobą!

„Mnie nie bywało tam często. Życie Paryża pochłania nas tysiącami drobnostek. Dni, które zdają się nieskończonemi kiedy człowiek ma lat dwadzieścia, pędzą jak pociąg szalony kiedy się ma przeszło pięćdziesiątkę. Ba, cóż to za szybkość kuryera! I niema się nawet czasu zatrzymać bodaj na chwilę, żeby zobaczyć, choćby w przelocie, najmilszych nam ludzi. W ostatniej chwili, jeśli się ma cały rozum, trzeba powiedzieć sobie: „Jakżem zdeptał, jak rozrzucił na cztery wiatry

wszystko to, co życie dało mi cenniejszego, wszystkie tak rzadko napotykanne uczucia! Jakież byłem szalony! Jaki byłem głupi! Nie zwracaj pan uwagi na moje filozofowania .. więzieni! Masz znowu do myślenia...

„Pewnego dnia—było to rankiem, za powrotem z klubu, gdzie przebyłem noc na głupim traceniu sum, które stanowiłyby radość całych rodzin—zastałem na mojem biurku karteczkę pneumatyczną Rovère'a. Jeśli przeszukano moje papiery, musiano ją tam znaleźć, bom ją zachowałem. Rovère w kartce tej błagał mnie, bym przybiegł odwiedzić go natychmiast. Zadrżałem, miałem w tej chwili przecucie jasne jakiegoś niebezpieczeństwa, może śmierci. Pismo było drżące, zmienione. I uderzyłem się w czoło z gniewem. Kartka ta czekała na mnie w domu od wczoraj, przez ten czas, kiedy ja traciłem noc przy stole gry! Gdybym, pośpieszywszy coprędzej na bulwar Clichy, zastał był Rovère'a nieżywego za przybyciem, zdaje mi się, że nie miałbym nigdy większej rozpaczki w całym życiu! Morderstwo jego wydało mi się straszliwym; ale mogłem przy najmniej powiedzieć sobie, że się nie sprzeniewierzył memu uczuciu.

„Oto jak było: odczytawszy kartkę, rzucam się w dorożkę, przybiegam do niego. Ta kobieta, która mu posługiwała, odźwierna, wznosi ręce, skero mi otwarła i mówi:

— Pan przyszedł do mego pana? Omal nie umarł tej nocy, ale teraz już lepiej!

„Przed ogniem siedząc poprzedniego dnia, sknięty został paraliżem a kiedy tylko mógł utrzymać pióro, nakreślił—mimo zakazu doktora—i wysłał tę kartkę, która na mnie czekała przez noc całą!

„Chciał zobaczyć się ze mną natychmiast. Jak tylko mnie spostrzegł, on, człowiek silny, mizantrop zaciekły, milezący i ponury, wyciągnął do mnie rękę, przycisnął mnie do serca i zalał się łzami. Był to uścisk człowieka, który w jedynej istocie zebrał wszystko co mu pozostało nadziei.

— Ty, ty wreszcie! — mówił mi po cichu do ucha.—Tyl... Gdybyś wiedział!

„Czułem się wzruszonym do głębi. Ta twarz prawdziwie mężka, tak energiczna zazwyczaj, miała teraz wyraz przestachu dziecinnego poniekąd, niepokoju trwożliwego. W oczach rozszerzonych przestachem, świeciły łzy.

— O, jak ja cię oczekiwałem! Jak oczekiwałem niespokojniel...

„Powtarzał ten frazes z dziwną jakąś trwogą, upornie. Potem poczęło go dławić. Wzruszony był. Widok mój przypominał mu lęk okropny tej długiej nocy, w której zdawało mu się, że będzie musiał umrzeć, nie pomówiwszy ze mną po raz ostatni.

— ...Bo to, widzisz, ja ci mam coś powiedzieć...

„I wstrząsał wciąż głową.

— ...To cała tajemnica mego życia!

„Leżał wyciągnięty na szeszlengu w tej bibliotece, w której spędzał ostatnie dni życia wśród swych książek. Kazał usiąść obok siebie, wziął mnie za rękę i rzekł:

— Umrę niezadługo. Pewien już byłem że dzisiejszej nocy wszystko się skończy. Przyzywałem wciąż ciebie! Słuchaj, gdybym był umarł istnieje na tym świecie ktoś, kto nie otrzymałby przynależnego mu majątku... Ja mam...

„Zniżył głos, jak gdyby się lękał, że nas ktoś śledzi, jak gdyby ktoś nas mógł podsłuchać.

— ...Ja mam córkę... Tak, przed tobą nawet, który wiesz wszystko niemal o mojem życiu, ukrywałem tę tajemnicę, co mnie udręcza. Córkę, która mnie kocha i która nie ma prawa przyznać się do tego uczucia, tak jak ja nie mogę dać jej mego nazwiska. Ach, ta młodość naszła Smutną młodość! Przygniata nas ona całym swym ciężarem. Miewałem kaprysy, popełniałem szaleństwa, nie umiałem stworzyć sobie obowiązków. Człowiek żyje wyłącznie tylko obowiązkami w pewnej danej chwili istnienia. Gdybym ja to był wiedział!... Byłbym dziś miał ognisko domowe, drogą istotę obok siebie a zamiast tego, mam tylko przywiązanie, którego się wstydzę i które ukry-

wałem przed tobą nawet, Jakóbie, przed tobą, czy ty to rozumiesz?

„W tej chwili jeszcze, mam żywo w pamięci te słowa Rovère'a, jak gdybym słyszał je przed chwilą. Ta rozmowa z biednym moim przyjacielem, którego od czasu do czasu wstrząsał napad nerwowy, pozostała mi w pamięci, jak najdokładniejsze, najbardziej dojmujące wspomnienie. Przeszywała ona mi zresztą serce. Wszystko, co cierpiał ten samotnik nieszczęśliwy, ja to czułem również, ja, tak samo bezużyteczny na świecie! I wówczas to, w poufnej spowiedzi, która przejęła mnie do głębi serca odstąpił mi on tajemnicę, którą dotychczas uważał za stosowne ukrywać przedemną od lat tylu a którą ja poprzyśiągłem mu na honor, że nie zdradzę—i oto dla czego tak długo wahałem się mówić a raczej odmawiałem zupełnie objaśnienia, nie chcąc skompromitować nikogo, ani umarłego, ani żywych—przyśiągłem mu, panie sędzio, że nie powtórzę nikomu nic z tego, czego on nie powiedział nikomu, nikomu prócz niej..

— *Jej?* — spytał pan Ginory, przerywając Jakóbowi Dantin.

— Swej córce—odpowiedział Jakób.

Sędzia wówczas przypomniał sobie o kobiecie w żałobie, co odwiedzała od czasu do czasu zmarłego i o owym romansie, który na ten temat napisał Paweł Rodier w swym dzienniku.

— A ta córka? — pytał sędzia dalej.

— Nosi ona—odparł Dantin smutnie—nazwisko ojca, którego dało jej prawo a jest to nazwisko wielkie, nazwisko wstawione, nazwisko jednego z cenionych naszych generałów dymisyonowanych, zamieszkującego na prowincyi z żoną i uwielbiającego tę córkę, która urodzenie swe zawdzięcza innemu. Żona żyje z mężem, pielęgnuje go, otacza przywiązaniem, którego źródłem wyrzuty sumienia może, ale które niemnie daje staremu żołnierzowi złudzenie najgłębszej miłości, jaka może być na świecie udziałem człowieka. Przed kilku laty, w czasie choroby, którą mogła uważać, którą uważała za śmiertelną, matka w obawie śmierci, wyznała córce tajemnicę jej urodzenia i tego skrywanego ojcostwa. Zdawało się jej, że ta spowiedź upokarzająca przed dzieckiem, stanie jej za pokutę. I z matki to rozkazu, ta, którą nazwano tu „kobietą w żałobie“, przychodziła od czasu do czasu odwiedzać Rovère'a, równocześnie jednak przez pietyzm, wierna nazwisku, które nosi, zamykała w sobie biedaczka tajemnicę dwojga innych, pozostawiając temu, który się uważa za jej ojca, złudzenie szczęścia. Nie chciała wyjść nigdy za mąż, nie chciała opuścić starego żołnierza sparaliżowanego, którego dogląda na równi z matką a który nazywa ją swą córką i wielbi bez granic.

— Ach!—zawołał pan Ginory, zamyśliwszy się w milczeniu przez chwilę wobec tego dramatu wysoce prostego, którego jednak wszystkie bole-

ści ukryte ujrzat, zanalizował w jednej jedynej minucie zastanowienia: i te łzy tajone, łkacia zdławione, uściski przelotne. — I dla tego to pan milczałeś?—spytał Jakóba.

— Tak, panie. A potem i we mnie samym w tym rodzaju gry, jaki się rozgrywał między losem a mną, było coś z buty, z przesądności gracza. Pociągała mnie myśl zmierzenia się z przeznaczeniem. Z pewną ciekawością chorobliwą, chciałem dowiedzieć się, gdzie padnie rzucona kula, na czarne, czy na czerwone pole. Przysięgam panu, że w tem mojem milczeniu niemało było tego uczucia właśnie. O, ale nie mogłem długo znosić tej tortury a widząc, że spodziewane ocalenie nie nadchodzi, byłbym mówił wreszcie, byłbym mówił, by uniknąć celi, tego duszącego jej powietrza. Wydaje mi się wszakże, że wien to byłem zmarłemu memu przyjacielowi, bym o jego tajemnicy nie wspominał nikomu, nawet panu. Nie zapomnę nigdy radości Rovêre'a, kiedy, zrzuciwszy z serca ciężącą mu tajemnicę, powiedział mi, że obecnie ta, która jest jego córką i która dotąd była ubogą i żyła tam na prowincyi w Blois, z szczupłej emerytury tego, którego na równi z tą *drugą*, z *matką*, była dozorczynią i opiekunką, choć wiedziała, że nie jest jego dzieckiem; ta niewinna, co istnieniem pełnem poświęczną, płaciła za błąd dwojga występnych, będzie mogła przynajmniej resztę życia mieć szczęśliwą.

— Jest młodą, ten, którego pielęgnuje nie będzie żył wiecznie. Mój majątek stanowią może dla niej posag. A wtedy...

„Ten majątek mnie on właśnie chciał powierzyć. Niewiele tylko pieniędzy miał u notaryusza. Podejrzliwy i maniak, Rovère wszystkie papiery przechowywał u siebie w kasie, jak książki w bibliotece. Zdaje się, że był kolekcjonistą z natury, zbieraczem we wszystkich kierunkach. Czy był skąpym? Nie. Ale lubił mieć dokoła siebie, przy sobie, pod ręką wszystko, co tylko należało do niego. Chciał może także mieć sposobność dania bezpośrednio co by chciał temu, komu by mu się podobało, na przykład mnie, kiedy chciał mi powierzyć depozyt.

„Żałuję bardzo, że go się nie spytałem wprost tego samego dnia, dnia pierwszego wyznania, co zamierza zrobić z swym majątkiem i w jaki sposób wzbogacić to dziecko, którego nie miał prawa przyznać za swoje. Nie śmiałem a raczej nie pomyślałem o tem. Nie nie było chyba łatwiejszego nad to. Z ręki do ręki, przezemnie mógł on przesłać komu chciał, wszystko co pragnął. Nie pomyślałem o tem, powtarzam. Zbyt byłem wzruszony, zastając tego przyjaciela, którego znałem zawsze tak rzeźkim i pięknym, jakąś istotą osłabłą i zniedołężniałą. Och! Te biedne oczy zbolate i niespokojne, ten głos znizony, jak gdyby się obawiał, że wróg jakiś, lub nawet obojętny wodsłuchuje gdzieś zaczajony! Choroba

zrobiła nagle brutalnie z tej istoty śmiałej człowieka zestarzałego i bojaźliwego.

„Wyszedłem przejęty do głębi duszy bolesną tą wizją, unosząc z sobą tajemnicę, która wydała mi się ciężką i okrutną i przywodziła mnie samemu na pamięć bezużyteczność straconego na niczem życia. Ale czułem, że Rovère w samej rzeczy winien był swój majątek oddać tej dziewczynie, która nazajutrz po śmierci chorego, dogładanego z takim pietyzmem, stanie się biedną i opuszczoną, osamotnioną w małym domku, w pobliżu zamku w Blois. Czułem, że to, co pozostawiał po sobie ten ojciec bezimienny, nie powinno przejść w ręce dalekich jakichś powinowatych, których ani kochał, ani znał nawet, którzy nie mieli wyobrażenia o jego cierpieniach, niewiedzieli może nawet, że on żyje; i ci ludzie dziedziczyliby, mocą prawa, dobro, które wola umierającego przeznaczała komu innemu.

„Umierającego, tak był to umierający—trudno było ludzi pod tym względem i doktor Villandry, którego uprosiłem, by mi towarzyszył do Rovère'a, nie ukrywał tego bynajmniej przedemną. Rovère umierał na albuminurę, która szybkie czyniła postępy; powalała go ona odrazu a teraz podkopywała powoli.

„Trzeba więc było, skoro ten człowiek miał kogoś na świecie, aby pomyślał o tej, o której mi mówił, którą kochał.

— Bo ja ją kocham, to dziecko moje, którego imienia nie mam nawet prawa wymienić. Kocham ją. Taka dobra, taka uczuciowa, taka zachwycająca. Gdybym nie uważał, że jest do mnie podobna — bo ona jest do mnie podobna — powiedziałbym ci, że jest piękną. Byłbym dumnym, gdybym mógł głośno oświadczyć przed całym światem: „To moja córka!” gdybym mógł prowadzić ją pod rękę, pysznić się nią a tu trzeba ukrywać w głębi serca tajemnicę. I to jest karą najcięższą za to wszystko, co nie jest życiem prawem, życiem obowiązku. Ach! Smutne to miłości, niezdrowe miłości!

„Taż sama klątwa dla przeszłości, która mnie przychodziła na myśl, wybiegała teraz na jego usta. Stary rękodzielnik, zgnębiony trudami przez tydzień cały, co mógł w niedzielę wyjść na przechadzkę po bulwarze Cliehy z córką pod rękę, był szczęśliwszym od Rovère'a! I—rzecz dziwna, czy to było uczucie wstydu i wyrzutów sumienia—czując, iż się osuwa coraz więcej ku rozwartemu grobowi na cmentarzu, nie okazywał bynajmniej ochoty zobaczenia tej córki, sprowadzenia jej pod jakimbyś pretekstem z Blois, choć to było tak łatwym...

„Nie, doznawał on cierpkiej jakiejś potrzeby samotności, obawiał się tego widzenia, w którym cała boleść cisnęła mu się na usta w słowach bez związku. Lękał się siebie samego, swej słabości, swej mowy zajakliwej, tej dziwnej próżni, którą czuł w głowie.

— Zdaje mi się, że ją czuję u mego ramienia. Gdybyż Marta przybyła... Marta... (i powtarzał to imię, jakby je sylabizowało dziecko). Lękałbym się, że mimowolnie stanę się dla niej smutnym obrazem ruiny, że pozostawię jej wspomnienie straszliwego ludzkiego łachmanu... A potem, potem (mówił to gorącym głosem ascety), nie widzieć jej, nie mieć prawa jej zobaczyć—to kara za wszystkie błędy młodości, kara najcięższa, to pokuta!

„Ha, niech tak będzie. Ja go rozumiałem. Lękałem się zwłaszcza, by to spotkanie nie było śmiertelnem. Był tak mocno wzruszony, kiedy mnie przyzwał do siebie wówczas...

„Ale przynajmniej chciałem mu przypomnieć życzenie, określone formalnie, które mi wyraził, życzenie zapewnienia przyszłości tej niewinnej. Zależało mi na tem, by w ten sposób naprawił przeszłość, skoro pieniądz jest jedną z form zadocuczynień tego rodzaju. Ale nie śmiałem mu mówić o tem, o tych zapisach, które miał na myśli, nie śmiałem.

„Mówił mi ten człowiek, tak silny, którego nigdy śmierć nie przerażała, której stawiał czoło tylekroć, wszędzie po troszę, mówił mi teraz głosem, osłabionym przez chorobę, która go zabijała z każdą godziną:

— Żebym wiedział, że już dla mnie niema ratunku, zdecydowałbym się... Ale ja mam przecież czas jeszcze!

„Czas! Każdy dzień zabierał mu częśćkę tego życia i lękałem się powiedzieć mu: „Ten czas, o którym mówisz, już nadszedł!“ lękałem się, że zmagając go do ostatecznego postanowienia, podobnym będę do kata, którego obecność zwiastuje skazanemu, że dzień jego ostatni już nadszedł. Pan to rozumiesz? A jednak nie, nie mogłem już czekać dłużej. Zwierzenie Rovère'a uczyniło mnie jego sobowtórem, drugim Rovèrem, z tą tylko różnicą, że ja zachowałem siłę woli, której tamtemu już brakło. Czułem, że w mojej dłoni spoczywa los owej Marty, której nie znałem, ale której odczuwałem męczeństwo u łoża paralityka, któremu spłacała miłością dług tamtej drugiej, dług skruszonej małżonki. Mówiłem sobie: „Trzeba koniecznie, by Rovère mnie tylko, mnie samemu, wręczył to, co chce legować swej biednej córce i ja to winienem teraz obudzić w nim, popchnąć do czynu słabnącą wolę!

„Byłem na to zdecydowany. Uważałem to sobie za obowiązek. Dzień każdy unosił z sobą cząsteczkę energii nieszczęśliwego, cząstkę jego żywotności. I widziałem własnymi oczyma, patrzyłem na ten łachman ludzki, jak się sam nazywał!

„Pewnego ranka, przyszedłszy do niego, zastałem go w stanie nieopisanej jakiejś szczególniejszej trwogi. Począł mi opowiadać jakąś historję o złodziejach, których omal nie stał

się ofiarą, o wyłamaniu zamku u drzwi jego, otwarciu kasy...

„Potem nagle przerywając sobie, począł się śmiać, cichym jakimś przykrym śmiechem, który mnie przejął niepokojem mimowolnym:

— Nedorzeczny jestem — ozwał się. — Śnię na jawie... Za dnia przywidują mi się nocne mary... Złodzieje tutaj!... Nie było zgoła nikogo... Poczciwa Moniche czuwała ciągle... Ale mózg mój taki jest teraz słaby, tak dziwnie słaby... A znałem tylu nieszczęśliwców w życiu! Wracają wciąż na pamięć!... Śmieszne mary, nieprawdaż?... Ale w snach wszakże odnajduje się to tylko, co się spotykało w życiu. W przyszłości będę oględniejszym w wyborze znajomości, ot co!

„Próbował śmiać się znowu.

„Była to maligna. Maligna, która chwilami ustępowała, ale która przerażała mnie bardzo, ponieważ wzrastała z dniem każdym, w przerwach coraz to już krótszych.

„Niema rady — mówiłem sobie — w jednej z takich chwil większej przytomności, trzeba żeby zrobił to, co postanowił, czego chciał sam — co w przerwach *chce* uczynić!

„I zdecydowałem się — należało to uczynić koniecznie, jeśli chciałem, by córka jego miała zapewniony posag — tak, zdecydowałem się przyjąć w pomoc tej woli chwiejnej nawpół już zamarłej. Było to tego samego dnia, kiedy żona portyera zobaczyła mnie razem z nim przed papierami roz-

rzacnem i w nieładzie. Dnia tego, zastałem go nieco spokojniejszym; leżał na szeslongu, owinięty w szlafrok, otulając wychudłe teraz nogi ciepłą derą podróżną. Z czarną czapczką na głowie i siwą brodą, wyglądał na umierającego dozę.

„Wyciągnął do mnie rękę kościstą, uśmiechnął się smutnie i powiedział mi, że czuje się lepiej. Epoka odpoczynku w postępie choroby, rodzaj błogości czasowej w stanie ogólnym.

— Gdybym jednak to przeżył, gdybym miał się wyleczyć z tej choroby, co?... — mówił patrząc mi wprost w twarz.

„A ja zrozumiałem z tego gorącego pytania, że ten człowiek, który nigdy nie obawiał się śmierci, rozpaczliwie chwycił się teraz życia. Był to snąc instynkt.

„Odpowiedziałem mu, że z pewnością, niezawodnie wyzdrowieje, ale jakkolwiek przykrość mi sprawiało dotykanie takiego przedmiotu — zapytałem go, czy ta ulga, którą obecnie czuje, nie zostanie zdwojoną jeszcze przez tę myśl, że zapewnił los owemu dziecku, o którym mi już wspominał.

— A skoro czujesz się teraz lepiej, mój kochany, może byłby to właśnie czas uporządkowania wszystkiego w tem życiu, które napowrót poczynasz i które już będzie nowem życiem!

„Utkwił raz jeszcze we mnie s we piękne oczy,

o głębokim wyrazie i widziałem dobrze, że odgadł całą myśl moją.

— Masz słusność—wyrzekł z mocą. Dość już słabości!

„Wówczas zebrał wszystkie siły, podniósł się wyprostowany, odsuwając nawet rękę, którą doń wyciągałem i w szlafroku, który go owijał szczelnie, wydał mi się wyższym jakimś, szczuplejszym, ale i piękniejszym także... Postąpił dwa czy trzy kroki naprzód chwiejnie, potem wyprężywszy się, szedł już prosto ku kasie, której na-stawił miedziane litery i otworzył, mówiąc z uśmiechem:

— Zapomniałem *słowa!*... Cztery litery, to przecież tak mało, cztery litery... Ale patrzaj... w głowie tak pustol

„Potem otwarłszy kasę, wyjął z niej jakieś papiery wartościowe zapewne, stos cały, który przyniósł do szezlonga, rozłożył tuż obok na stoliku i rzekł:

— Przejrzyjmyż.. To co ci oddam, będzie dla niej... Testament, tak, mogłem zrobić testament... Ale zadawanoby sobie pytanie o ile wmieszany byłem w jej życie.. Zaczęłoby dochodzić, badać przeszłość matki i... zbeszczeszczonoby matkę... Nie... ja tego nie chcę... To co jest mojem, zostanie jej własnością, ty jej to oddasz... ty...

„I wielkie jego oczy z pewnem obłąkaniem szukały wśród tych papierów o wielkich formatach nadpisów, których nie mogły tam znaleźć.

— Al cóż to?—mówił—gdzież są te obligacye? Egipskie, renta na okaziciela, trzyprocentowa... Mam wszystko to tutaj... Tutaj, tak.. Nie w banku... Gdzież ja to schowałem?

„Przewracał papiery, obracał je na wszystkie strony, coraz więcej wylękniony, coraz to bledszy...

— Ależ — spytałem go — to więc nie te papiery?

„Wzruszył ramionami, wskazał z ironią na rozrzucone arkusze:

— To są dyplomy orderowe! Ot, zwykłe fatalaszki życia konsula!

„Potem z nowym wysiłkiem energii, powrócił do żelaznej kasy, otworzył jej szuflady, szukał, przewracał jeszcze i odstąpił przestraszony.

— Niema już ich tutaj!... Dlaczego ich tu niema?

„I patrzył znowu na mnie straszliwemi obłąkanemi oczyma. Cała twarz jego wyrażała bezgraniczne przerażenie. Potem podniósł ręce do czoła, ujął je w obie dłonie, hamując suć pulsa w zapadłych przeraźliwie skroniach — i bąkał, jakby budząc się ze snu:

— To prawda, przypominam coś sobie... Ja to ukryłem gdzieś... Tak, ukryłem... Gdzie?... Tak, gdzie? Nie wiem już gdzie... Może pochowałem w książki... Ale w które?

„Oglądał się dokoła, wzrokiem waryata obiegał po kolei szereg książek bibliotecznych. Ane-

nia mózgu, która wprawiała go w ciągłą obawę przed okradzeniem, odbierała mu również pamięć i biedny Rovère, stary mój przyjaciel, miał teraz na twarzy wyraz najwyższego przerażenia tonącego człowieka, co nie wie czego się uczeplić, by ocalić życie.

„Wciąż stał jeszcze z oknem błędnem, dziwnym; potem usiłując się obrócić, zachwiał się.

„Powtarzał bezustannie głosem zachrypłym, nieprzytomnym:

— Gdzie?... Gdzie ja je włożyłem... gdzie ja to schowałem?

„Wtedy to, panie sędzio, tak, w tej chwili weszła odzwrotna i zobaczyła nas obu, tuż obok siebie przed temi papierami, o których mówiła. Musiałem mieć minę bardzo zaambarasowaną, byłem bardzo blady, gwałtowne wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Rovère powiedział jej szorstko: „Po co tu przychodzisz?“ i odprawił ją ruchem ręki. Ale pani Moniche miała czas zobaczyć jeszcze tę kasę otwartą i te papiery porozkładane, które wzięła zapewne za jakieś walory. Pojmuję, że mogła się pomylić a gdy rozważam, rozumiem, że mogła mnie oskarżyć. Między Rovèrem a mną rozgrywało się coś tragicznego. Ta kobieta nie odgadła co, ale odczuła tragizm.

„A okropniejszym jeszcze to było, sto razy okropniejszym jeszcze, skoro wyszła. Stoczył się pod czaszką Rovère'a jakby rodzaj walki między wolą a chorobą. Stał, zadając sobie gwałt,

by się pod nim nie ugięły nogi, zbierając wszystko, co mu pozostało sił mózgowych, żeby sobie przypomnieć, odnaleźć ślad skrytki, gdzie niedorzecznie ukrył swój majątek; Rovère przyzywał na pomoc gorąco całą swą najwyższą energię, bronił się od tej utraty pamięci, która nie dozwalała mu przypomnieć sobie tego, co zrobił, niedawno może jeszcze—i toczył wzrokiem zrozpaczoną, nie mogąc nic odszukać, nic sobie przypomnieć.

„Straszliwą była ta walka z pamięcią, która go opuszczała, uciekała odeń, ten widok zwierza dyszącego, ściganego dzika, którego przypominał ten człowiek; i zadrzałem, dreszcz mnie przejął okropny, kiedy z wściekłością, której niezapomnę nigdy, ten umierający niemal, w dwóch krokach rzucił się na rozłożone papiery, ujął je w wychudłe swe palce, zgniótł, podarł i rzucił pod nogi i z śmiechem ironii wymówił te gorzkie, gryzące słowa:

— Ach, orderyl Dyplomyl Cacka, zabawki dla dzieci! Na cóż to się wszystko przyda? Alboż to da jej żyć z czego!

„I śmiech jego wzmagał się coraz bardziej. Deptał nogami dyplomy z guiewem, aż dopóki, wyczerpany, nie zawołał: „Dławię się!“ i upadł na szeslong, gdzie go ułożyłem.

„Wydawało mi się, że umrze lada chwila. Doznawałem okropnego uczucia trwogi i niepokoju. Powrócił jednak do przytomności. Ale jakże tu,

po tem omdleniu i tym ataku, mówić mu było o córce, o tem co chciał jej legować, dać przezemnie raczej? Przyszedłszy do siebie zresztą już nie myślał o tem. Zajął go wszelkiego rodzaju drobnostki, rojenia chorobliwe, mówił mi o swem wyjściu przyszłem. „Pójdziemy razem do Lasku. Zjemy śniadanie tam w Pawilonie“. Miał ochotę podróżować. Ateny!... Począł mi mówić o Atenach... o Grecyi... „Ja co widziałem tyle krajów, tego nie widziałem jeszcze!“ Umysł jego wybiegał gdzieś w przestrzenie.

„Mówiłem sobie: „Oczekajmy. Jutro po nocy spokojnie przespanej, może sobie wszystko przypomni. W każdym razie, ma on kilka dni przed sobą. Dziś mówić mu o tem raz jeszcze, byłoby to toż samo, co chcieć nowy wywołać atak!

„I pomagałem mu zamknąć napowrót w kasie pogniecione i zdarte papiery, a on nie spytał mnie nawet, ani nie zadał sam sobie pytania, jakim sposobem tam się znalazły, kto je rzucił na podłogę, kto otworzył kasę.

„Na ustach miał jakiś uśmiech niewyraźny, ruchy automatu.

„Potem zmęczony:

— Okropnie jestem znużony—rzekł.— Chciałbym zasnąć teraz!

„Pozostawiłem go. Wyciągnął się, nakrył deką, przyknuął oczy, powtarzając zeicha:

— Jak to dobrze zasnąć!

„Zobaczę go znów jutro. Jutro starać się będę jeszcze obudzić tę wolę uspioną. Jutro może powróci mu pamięć i w której z książek, gdzie może jak to czynią arabi, którzy w dołach zakopują cały sprzęt żniwa, ukrył pieniądze, odnajdziemy obaj to, co przeznaczał dla swej córki.

„Jutro! To wyraz, który powtarzamy najczęściej może, a którym najmniej mamy prawa się posługiwać!

„Miałem zobaczyć dopiero Rovère'a nieżywego, z gardłem poderżniętem—zamordowanego! Przez kogo? Człowiek którego panowie aresztowaliście, podróżował widocznie wiele; przybywa z daleka Rovère był konsulem w Buenos Ayres a pan wiesz już co mi powiedział, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli: „Znałem tylu łotrów w mojem życiu!“ Co dowodziło po prostu, że żył wiele.

„I oto cała prawda, panie. Mogłem być powiedzieć ją panu wcześniej. Powtarzam, że byłem na tyle słabym, iż chciałem dochować przysięgi, złożonej przyjacielowi z artemu. Chcąc mówić, należało wydać na pastwę imię kobiety, imię szanowanego mężczyzny także, który był niewinnym nie miał żadnego udziału w błędzie, popełnionym przez Rovère'a, którego cześć kraj cały, imię, złączone z naszymi zwycięstwami ubiegłymi. A potem raz jeszcze wydawało mi się, że prawda sama z siebie wypłynąć na jaw musi, wyjść na jaw z samychże faktów. Kiedy zostałem aresztowany, rodzaj szalonej brawury popchnął mnie

do czekania, dokąd też dojść może niedorzeczność przypadku, ile zbierze się przeciw mnie pozorów. Ot, zachcianka gracza! Uważałem to za partycję gry, powtarzam panu—i może ten pomysł szalony wytłomaczy panu wszystko—był to zakład, który trzymałem przeciw panu a raczej przeciw niedorzeczności losu. Ani na sekundę nie powstało mi w myśli, że omyłka potrwać może. Byłem pewien, że wygrać muszę w tej grze. Wystarczało mi zresztą przecież powiedzieć jedno słowo, ale powtarzam, z wypowiedzeniem tego słowa wahałem się i chętnie znosiłem ciężar tego wahania nawet, bo to słowo było nazwiskiem.

— Ja pana nie spytałem dotąd o to nazwisko—rzekł pan Ginory.

— Odmawiałem wymienienia go urzędnikowi—odparł Jakób Dantin—powierzę je jednak człowiekowi honoru.

— Tylko, że tu jest wyłącznie urzędnik—wymówił sędzia.—Ale śledztwo ma także swoje tajemnice, jak życie!

I Jakób Dantin wymienił nazwisko, jakie wobec prawa nosiła ta, którą Ludwik Piotr Rovère nazywał Martą.

XVI.

Dla pana Ginory, dla naczelnika policyi, dla Bernardeta—teraz widza, gdy poprzednio był aktorem w tym dramacie—dla całego sądowniczego świata, nie istniała najmniejsza wątpliwość, że domniemanym mordercą Rovère'a, jest Karol Pradès.

Paweł Rodier, jako dobry reporter, dowiedział się przed swymi kolegami o aresztowaniu młodego człowieka i opuszczając to, co nazywał *tropem damy w żałobie*, zwrócił się nagle w artykule, który wywolał wrażenie, na tytułowej stronie „Lutecyi“, przeciw nowo pojawiającemu się, dla którego niebawem postarał się o biografię sensacyjną. Karol Henryk Pradès a raczej Carlos Pradès, jak go nazywał, był gauchosem, pogromcą bawołów, cowboy'em, używając kolejno to rewolweru amerykańskiego przeciw czerwonoskórcom, to meksykańskiego *lasso* przeciw yankesom. Dziennikarz otrzymał skrawek papieru z podpisem Pradèsa, podniesionego z ziemi przez numerową hotelu, w którym stanął oskarżony i podając w swym dzienniku ten autograf, wwprowa-

dzał zeń, za pomocą grafologii, wszelkiego rodzaju wnioski dramatyczne. Cooper niegdyś, Gustaw Aymard wczoraj, Rudyard Kipling lub Bret-Harte dzisiaj, nie spotkali osobistości tak straszliwej i tak bohaterkiej zarazem. I Rodier narzucał osłonę malowniczości na ten obraz, jaskrawy w barwach. Carlos Pradès żywić miał z Buenos Ayres jeszcze, dziką nienawiść dla byłego konsula a zbrodni tej, którą kilku z kolegów zazwyczaj źle poinformowanych—to mówił Paweł Rodier—przypisywało obecnie wyłącznie tylko chciwości awanturnika zamorskiego, pobudek szukać należało w zemście; tak dowodził Paweł Rodier i na tem przypuszczeniu budował istny romans, przejmujący dreszczem czytelników.

A raczej nasz reporter nie mówił nic wyraźnie. Pozwalał domyślać się tylko, szkicował jakąś ponurą historję, której wątek dosnuwać sobie musieli czytelnicy. Raz robił z tego Carlosa Pradès narzędzie i ramię jakiegoś stowarzyszenia mścicieli. Mogli to być anarchiści czy coś podobnego. To znowu dawał do zrozumienia, że istniała tu jakaś rywalizacya miłosna, jakiś dramat namiętności, którego republika argentyńska była areną.

Dość, że uczynił niezmiernie zajmującym człowieka, którego Bernardet przed kilku dniami popychał przed sobą ku posterunkowi policyjnemu, odgadując w nim dobry połów.

I rzecz dziwna, reporter odgadł pewną część prawdy. Częstkę to jeszcze przeszłości odpokutowywał Rovère, znalazłszy się pewnego dnia w swoim salonie przy bulwarze Olichy, twarz w twarz z tym, który miał być w przyszłości jego mordercą. Tam, w Buenos Ayres, były konsul zawiązał spółkę w celu wielkiej eksploatacji rolniczej, z człowiekiem, którego spekulacye hazardowne, gra, awantury, zrujnowały zupełnie i który pozostawił po sobie dwoje dzieci: młodą dziewczynę, o której zaślubieniu Rovère myślał przez czas niejaki i młodszego jeszcze od niej chłopca;—biedne istoty, pozostawione bez obrony, dla których on był naturalnym opiekunem, podporą. Jan Pradès, odbierając sobie życie — bo zabił się, przerażony odpowiedzialnością swych długów—polecił swe dzieci Rovèrowi.

Gdyby Carlotta była żyła, konsul bezwątpienia byłby się z nią ożenił. Był do niej przywiązanym i szanował ją głęboko. Biedna dziewczyna umarła nagle a Rovèrowi pozostał jej cień tylko. Jedno z tych wspomnień, gdy siedział zamierzony przed kominkiem, jedno z widm, które spływały trącać swem skrzydłem jego czoło, w tej samej chwili, w której zamykał się dobrowolnie.

— Kto wie, czy ta zmarła nie byłaby mi dała owego szczęścia, o które nie miałem prawa prosić matki mojej Marty. A gdybym z nią był miał córkę, nosiłaby ona moje nazwisko i miałbym teraz prawo chlubić się nią przed całym światem.

I smutek tego zawodu, tej wizyi uniesionej z przeszłości dołączał się w sercu pustelnika do goryczy tej namiętności wiarołomnej, która za całą pociechę pozostawiała mu to przywiązanie żywe, ukrywane z konieczności przed wszystkimi, jak zbrodnia.

To też Rovère przeniósł na tego brata Carlotty serdeczne uczucia, jakie żywił dla zmarłej. Przypominał sobie zresztą jak mu swe dzieci polecał samobójca. Syn Pradèsa namiętny, cheiwy życia, kuszony przez wszystkie żądze, przyjmował jako rzecz należną sobie poświęcenie istotnie absolutne Rovère'a. Ojciec, co padł z kulą utkwioną w skroni, siostra, umierająca z uśmiechem smutnym na ustach, dwa te widma zapewniały młodemu Carlosowi przywiązanie wierne Rovère'a

— Wspólnik mego ojca i narzeczony mojej siostry, to istna skarbonka, dana mi przez los w postaci tego konsula Francyi!

Ale zwolna, żądania, wymagania Pradèsa, który, głosząc tak swe prawa do dawnego współpracownika swego ojca, uważał za naturalną zupełnie, by tenże dlań się poświęcał, te bezustanne i naglące prośby stawały się dla Rovère'a napastniczemi i drażniły go coraz więcej. Konsul wydawał się stanowczo młodemu człowiekowi rozrzutnemu i graczowi — namiętnemu graczowi przez sam już atawizm — rodzajem żyjącej kasy oszczędności, z której czerpał bez rachunku. Wy-

magania jego w końcu zużyły Rovère'a i pewnego dnia otrzymał ostrzeżenie, że nie należy mu już od tej chwili liczyć na wspaniałomyślność swego dobroczyńcy.

Zerwanie to miało miejsce w Buenos Ayres, niemal w chwili odjazdu do Francji konsula, który wziął był już dymisyę. Rovère dołączył do tego oświadczenia bardzo stanowczego, ostatnie jeszcze dobrodziejstwo. Dawał bratu zmarłej, synowi Pradèsa, sumę wystarczającą na życie w oczekiwaniu lepszej jakiejś szansy i mówił grzecznie acz stanowczo młodzieńcowi, że nie mogąc już dziś liczyć na nikogo, winien „poszukać sobie powrozu gdzieindziej“.

— Powrozul To żart — odpowiedział wesóło młody Pradès.

To wyrażenie wobec obyczajów i żądz Carlosa, mogło być wzięte nietylko w przenośni; młodzieniec wiódł dalej życie awanturnicze, równie tragiczne w rzeczywistości i równie nieprawdopodobne jak wymysły melodramatyczne reportera „Lutecyi“.

Potem, skoro się wyczerpały zasoby, po poszukiwaniu szczęścia wśród kopaczy złota, zużony tem życiem gonitwy bezustannej, pewnego dnia siadł na okręt, płynący do Hawru, z myślą, że najlepszą miną złota był jeszcze ten bank, który on już eksploatował w Buenos-Ayres i który nazywał się Piotrem Rovère.

W Paryżu, gdzie jak wiedział, konsul zamieszkał, Pradès odnajdzie z pewnością ślad jego,

schronienie swego *szwagra*. Szwagra! Wymawiał ten wyraz z śmiechem szyderczym, jak gdyby w nim leżała dla niego jakaś myśl ukryta, przywiązana do dziewiczego i słodkiego wspomnienia biednej zmarłej. Bo i szczerze mówiąc, czemuże był ten Rovère? Światowcem bez skrupułów a Carlotta była tak piękna! I w tym wielkim Paryżu, z trochę pieniędzy, co mu pozwalało opłacić mieszkanie i życie w hoteliku podejrzanym, począł szukać, rozpytywać a odkrywszy na koniec adres byłego konsula, przedstawił się Rovère'owi, który, zobaczywszy to widmo, poczuł, że go napowrót gniew szalony ogarnia.

Kiedy po raz pierwszy Karol Pradès spytał odźwiernego przy bulwarze Clichy, czy pan Rovère jest w domu, portyerowie wskazali mu mieszkanie i może odrazu podejrzenia pani Moniche byłyby padły na gościa w szerokim *sombrero*, gdyby nie to, że zastała podówczas Jakóba Dantin przed kasą i rozrzuconemi papierami.

Zresztą Pradès pojawił się wogóle tylko trzy razy u Rovère'a, a w dniu morderstwa, wszedł tam, wybrawszy chwilę dostania się do konsula, w której pani Moniche zamiatała schody na górnych piętrach a mąż jej pracował w głębi łoży, tak że w sieni i na schodach nie mógł spotkać nikogo. Wówczas to zadzwonił a Rovère, wlokąc za sobą nogi, chory i owiązany w szlafrok, przyszedł otworzyć, niezadowolony cokolwiek z tego, że mu

przeszkadzają, ale poszedł w nadziei instynktownej, że to wizyta *pani w żałobie*—jego córki.

I wszystko też złożyło się pomyślnie dla projektów Pradèsa, który zresztą nie przyszedł tu z myślą zamordowania, ale tylko znalezienia dla siebie jakich środków, pożyczki mniej lub więcej użyczonej, mniej lub więcej wymuszonej i wyciągnięcia z tych odwiedzin jakiegoś zysku dla siebie.

Rovère już zmordowany, zmęczony dawnymi błaganiami, miał ochotę zamknąć odrazu drzwi przed nosem Pradèsa, ten jednak pchnął drzwi niespodzianie, wszedł, zamknął je za sobą i mówił wpół błagalnie, wpół drwiąco:

— Ostatnie to już posiedzenie! Nie odprawisz mnie pan przecież! Ależ proszę, wysłuchaj mnie!

Wówczas Rovère pozwolił mu wejść do salonu i mimo swego osłabienia chciał się z nim rozmówić raz wreszcie stanowczo, uwolnić się raz na zawsze od tego wieczystego żebraka, to skarżącego się, to groźnego na przemiany.

— Czy nie dasz mi wreszcie umrzeć spokojnie?—wymówił—alboż nie spłaciłem ci już mego długu?

Ale Pradès usiadł na fotelu, założywszy nogę na nogę i zagłębiając kolano w dnie miękiego kapelusza amerykańskiego, począł wyębniać na jego filcu marsza:

— Kochany panie Rovère, to ostatnia już moja prośba o pomoc. Zdaje mi się, że chyba Ameryka

więcej jeszcze warta od Paryża. A czy do niej mam powrócić, czy tu rozbić namioty—pojmujesz, że mieć muszę to, czego mi braknie, czego już nie mam zupełnie: pieniądze!

— Zmęczyło mnie już wieczyste ich dostarczanie ci! — szorstko odpowiedział mu Rovère.

I między tymi dwoma ludźmi, związanymi z sobą wspomnieniem zmarłej—bolesuem dla jednego z nich, wyzyskanem po wielekroć przez drugiego—wszczał się spór, starcie na słowa, pełne goryczy i rozdrażnienia.

— Robiłem co mogłem, aby cię pozostawić w spokoju, kochany konsulu. Ale głód wyciąga wilka z nory. Jestem bardzo głodny. I otóż przyszedłem.

Umierający, z głową zboląłą, osłabłą, w nieokreślonym niepokoju, byłby chętnie oddał wszystko, byle go zostawiono w spokoju, ale jakąś resztką energii jeszcze bronił się od napaści tego Carlosa, który go prześladował, gnębił materyalnie i moralnie:

— Nie mogę nic już dziś dostarczyć twoim uroszczeniom — rzekł. — Dosyć już tego. Dosyć! Nie jesteś już niczem dla mnie, niczem, tylko ciężarera!

— O, niewdzięczności!..

I Pradès z akcentem swym argentyńskim, śpiewnym, wymówił imię siostry.

— Mój ojciec umierając a i Carlotta także powierzyli mnie tobie w opiekę, drogi mój szwagrze!

Zdało się choremu, podrażnionemu mocno, że to imię—które dla Rovère'a opromienione było czystym jakimś, anielskim uczuciem—w tych ustach było najwyższą obelgą.

— Zabraniam ci odwoływać się do tego wspomnienia! Czyż nie widzisz, że pamięć tej drogiej i świętej istoty (kładł z umysłu nacisk na te słowa), jest jednym ze smutków mojego życia!

— A jednym z dziedzictw mojego! Konsulu, mój szwagrze, senor mio, ależ to tytuł i ja przy nim obstaję!

Rovère miał ochotę wołać, zadzwonić, wydać rozkaz, by wyrzucono za drzwi natrętnego gościa. Nagle jednak jakaś myśl trwożliwa przemknęła przez jego umysł schorzały. Co będą myśleć? Co powiedzą? I ten człowiek tak energiczny z natury, nieznający niedawno jeszcze co to trwoga, drzał, pozbawiony krwi przez chorobę, wobec możliwego skandalu. Wówczas podnosząc się, rozgorączkowany, usiłował sam wypchnąć z salonu młodzieńca, który opierał się a za pierwszym dotknięciem skoczył instynktownie; wszystko, co w nim było dzikiego, zerwało nagle wędzidła.

Wywiązała się walka straszna, w której ani jedno słowo nie zostało wymówionem, walka brutalna, szybka. Rovère, licząc na swą dawną siłę, nerwowo chwycił za kołnierz młodzieńca, który postępował ku niemu, z groźbą na ustach. Pradès zaś, pochwyciwszy byłego konsula w pół lewą

ręką, prawą sięgnął po nóż, który nosił zawsze w kieszeni a który później Bernardet znalazł przy nim.

Nastąpiła chwila złowroga. Pradès odepchnął silnie Rovère'a, który, zachwiawszy się, potrącił jakiś mebel, kiedy tymczasem Carlos uwolniony z jego uścisku, cofając się nieco, otworzył raptownie swą *navaja*, potem podbiegłszy doń skokiem, przerażający—i wstrząsając podniesionym nożem, wołał:

— Tegoś chciałem chyba!

W tej to chwili Rovère z zaciśniętymi rękoma zagłębiał paznokcie w szyi mordercy — te paznokcie, które komisarz Desbrière i pan Jacquelin zastali jeszcze czerwone i poplamione krwią.

I Pradès, który tu przyszedł z zamiarem błagania lub grożenia, miał już teraz jedną myśl tylko: zabić. Nie rozumował, nie zastanawiał się. Był to już teraz tylko instykt rozkiełznany. Dźwięki katarynek na bulwarze wtórowały roz-wlekłemi swemi tony tej scenie dzikiej, jak *tremolanda* zaznaczają w melodramacie teatralnym wybitniejsze miejsca; on tego nie słyszał. Cała siła jego życia skoncentrowała się w tym szale bezgranicznym, ślepym a ręka, uzbrojona nożem, spadła na Rovère'a, zanurzając się w ciało, rozcinając gardło, tak jak tam z *gauchosami*. Pradèsowi wydało się, że szarżyna barwana, lub podcina gardło wofu.

Rovère zachwiał się, puszczonej przez dłoń co go trzymała a Pradès, postąpiwszy o krok w tył, patrzył na gardło jego otwarte, na straszliwą czerwoną bruzdę, co mu opasywała szyję.

Sinoblady, konający, nie miał już zda się życia w sobie, prócz tylko we wzroku. Oczy jego rozszerzone, wielkie, rzuciły mordercy ostatnią pogroźkę. Teraz w najwyższym przestachu, oczy te szukały podpory, pomocy; tak, przyzywały wyraźnie choć z rozdartego gardła w miejsce krzyku wychodził tylko szmer jakiś okropny, jak z zatkniętej rynny.

I Pradès zobaczył z przerażeniem, jak wróg jego powstaje w niezmiernym jakimś wysiłku tragicznym i zataczając się jak człowiek pijany, pada na gzems kominka, gdzie nieszczęsne jego ręce zaciśnione, pochwyciły jakiś przedmiot, którego morderca nie zauważył, a na którym, z gorącym wyrazem prośby, spoczęły spojrzenia zamordowanego; usiłował wymówić jakieś słowa prośby, jakieś wezwanie tragiczne, niewyraźne i zamierające w rozwartem gardle.

Bo też patrzyły oczy te całą duszą, pochłaniały tę istotę, ku której słały prośbę gorącą; był nią portret, portret mężczyzny, oprawny w ramki wysadzane, jak Pradès sądził, drogiemi kamieniami (w tej chwili wiedział on już, że to były ciekawe tylko minerały, osadzone w rzeźbioną ramę, zrobioną przez jakiegoś jubilera republiki Argentynskiej i przywiezioną z Buenos-Ayres); w ten

portret wlepił Rovère wzrok oszalały, w którym skoncentrowała się cała reszta życia i zlecał mu coś, jakiś widocznie dawał rozkaz, błagał go o pomoc powtarzał mu gorąco jakąś prośbę, jakąś mocną wolę ostatnią.

I rzecz dziwna, Pradèsowi wydało się, że między ofiarą a nim, staje świadek jakby; i czy to, że przypuszczał wielką wartość kamieni, obsadzonych w ramkę, czy też, że chciał Rovèrowi odebrać tę ostatnią podporę, zawrócił od drzwi i usiłował wydrzeć mu ten portret. Ale zdało się, że nadzwyczajna jakaś siła powróciła umierającemu i Rovère oparł się, nie dał sobie wydrzeć portretu, przeszywając go spojrzeniem płomiennem, niby ostatni błysk dogasającej lampy—i tak skończył, wpatrzony w ten portret Dantina, człowieka, nieznanego Pradèsowi.

Kiedy Rovère leżał już rozciągnięty na dywanie, w zboczonym krwią szlafroku, Pradès wydarł mu ten portret, przemocą otwarłszy palce, co się zaciskały dokoła ramy. Tę ramę tak bogatą, należało mu sprzedać. Przecież wartość jej musiała być niemałą, same te kamienie, którymi była wysadzona, już przyniosą zysk spory. Zabrał jeszcze tu i owdzie kilka przedmiotów, które wydały mu się cenniejszemi i wzedł do biblioteki, w której mieściła się kasa, kiedy szmer u drzwi wchodowych zbudził w nim instykt zachowawczy. Ktoś nadchodził. Ktoby to był? Mało go obchodziło. Świadek, niebezpiecznie

stwo. Pozostać, znaczyło tyleż, co wystawić się na niespodziewane aresztowanie. Niech spostrzeżę tylko trupa, poczną wołać na pomoc, zamkną drzwi i pobiegną po policję!

Wybierając między żądzą zrabowania a koniecznością ucieczki, Pradès nie zawahał się. Ukryć się? — niepodobieństwo! Wcisnął się po za drzwi salonu, czekał przytulony do ściany, by drzwi te otwarto, a kiedy odemknięto tę ich połowę, po za którą był ukryty, wysliznął się bez hałasu do przedpokoju, zamknął drzwi za sobą po cichu i zszedł szybko po schodach; wyszedłszy na bulwar, odrazu wwiąszał się w tłum przechodniów, zanim jeszcze pani Moniche, przerażona i osłupiała, zdołała zawołać na pomoc.

XVII.

Wszystkie szczegóły tego morderstwa, pan Ginory wydobył po jednemu w toku śledztwa Karola Pradèsa; morderca początkowo zapierał się, wahał, zaprzeczał, potem nakoniec, jak kadź przepelniona, z której wypłynęłoby nie wino lecz krew, człowiek aresztowany powiedział wszystko, przyznał się, opowiadał, dał za wygraną obronie, poddał się zwyciężony, znużony już swą nędzą.

— Byłem tak głupi—mówił gwałtownie—tak idiotyczny, że nie zachowałem portret! A ja wyobrażałem sobie, że te rany Bóg wie co są wart! Głupiec! Sprzedałem je za sto soldów!

Podał adres kupca, na Quai Saint-Michel. Bernardet odszukał ramki, jak odszukał był obrazek i na ten raz nie było to już jego zasługą. „Ależ to wszystko stało się prostem i jasnym jak słońce!”

— Teraz—mówił—sprawa jest skończoną. Moje dzieci (wszystko opowiadał on jak zwykle swoim córkom), trzeba będzie przejść do nowej jakiejś sprawy. A jednak...

— Jednak co?—pytała pani Bernardet.

— Ech! Ot co! Jednak brak tu wyjaśnienia jednego problematu... Tak, kwestya prawna jest jasną, z tej strony wszystko wypowiedzianem zostało. Gdybym wszakże był uczonym, powiedziałbym: „A kwestya naukowa?” Boć nakoniec postawiłem kwestyę tak dobrze, jak każdy inny. Nie, nie, to rzecz jeszcze nieskończona... Zobaczę, będę wiedział.

Wspomnienie owego młodego lekarza duńskiego, którego widział przy profesorze Morin w dniu sekeyi nieszczęśliwego Rovère'a, nie opuszczało go. Z swą znajomością ludzi, z bystrością spostrzegawczą policyjnego agenta, Bernardet odgadł naturę wyższą, nieco marzycielską i tajemniczą u tego poszukiwacza, który tak mało podobnym był do ludzi, potracanych łokciem co dnia. Wiedział gdzie mieszka doktor Erwin przez ciąg swego pobytu w Paryżu i pewnego ranka Bernardet zadzwonił do drzwi hoteliku studentów i cudzoziemców, przy bulwarze Saint-Germain.

Rad byłby zapytać o zdanie pana Morin, lub mistrzów nauki francuzkiej, ale on, nic nieznaający inspektor służby bezpieczeństwa, nie śmiał udawać się do tych znakomitości, ani ich wypytywać! Kiedy tymczasem jakiś lekarz duński... Dostępniejszy prawdopodobnie, mniej formalistyczny, ten lekarz z Kopenhagi, nie zechce odwoływać się do względów hierarchicznych.

Bernardet zapalał się do tej myśli. Pewnie

był, że doktor Erwin da mu wytłomaczenie naukowe zjawiska spostrzeżonego.

— Oko zmarłego przemówiło i mówić ono może—powiadał sobie Bernardet.—Tak bezwątpienia i nie myliłem się, kiedym tak utrzymywał...

Doktor Erwin, z długimi jasnobłond włosami, z okiem błękitnem o dziwnie słodkim wyrazie, niezmiernie spokojnym, wysłuchiwał agenta policyjnego z głęboką uwagą.

Bernardet powtórzył z najdrobniejszymi szczegółami zeznania Pradèsa, potem spytał lekarza duńskiego, czy sądzi, że istotnie obraz Jakóba Dantin mógł utrwalić się w siatkówce konającego, aż do czasu, w którym zdołano zdjąć z niej fotografię.

— Bo nakoniec—mówił agent—próby fotograficzne, które otrzymałem, aczkolwiek są niewyraźne, przecież możliwem jest z nich, powiedziałbym nawet łatwem, odnaleźć rysy Jakóba Dantin. Widzieliśmy go dobrze a wedle pańskiego zdania, malowidło nawet mogło się przechować w oku zmarłego.

— Dowodem, żeście je tam znaleźli—wyrzekł doktor Erwin.

— A zatem, według pańskiego mniemania, panie doktorze, ja się nie omyliłem?

— Nie.

— I odnalazłem istotnie na siatkówce trupa, ostatnią wizję żyjącego.

— Tak jest.

— Ale wizję malowidła! Malowidła, doktorze! Malowidła!

— Czemużby nie?—odparł doktor Erwin, stanowczym głosem.—Wiesz pan co się stało? Czując, że umiera, nieszczęśliwy podszedł instynktownie do tego portretu, który przedstawiał dlań wszystko to, co pozostawiał po sobie na ziemi, skoncentrował w jedynym tym obrazie całe życie przeszłe.

— A zatem to rzecz możliwa? Możliwa?—powtarzał Bernardet.

— Tak sędzę—odrzekł duńczyk.—A fakt ten sam, czyż nie dowodzi słuszności twierdzenia? Człowiek umrze za chwilę. Wie o tem. Ma jedną myśl tylko: iść wprost do tego, który przeżyje go a zna większą część tajemnic jego życia. Tego człowieka nie ma tu, chwyta więc jego portret, myśl jego cała wpija się w ten obraz całą potęgą siły nerwowej, jaka w nim pozostała jeszcze, czepia się jak ostatniej deski ratunku dla swoich pragnień serdecznych; oczy jego zanoszą doń prośbę, wchłania spojrzeniem, że tak powiem, obraz istoty kochanej, której ma tyle do powiedzenia, której radby wyrazić ostatnią swą wolę, zalecić prawdopodobnie żonatą, powiedzieć, jeśli mu ono znane, nazwisko mordercy. W tej chwili życia ostatniej, cała energia tego człowieka wzmaga się w stokroć, niewiedzieć jaka siła żywotna wydziela się z tej istoty, w tem ostatniem spojrzeniu i człowiek, co chce żyć, czło-

wiek nawet wycieńczony chorobą, konający, zamordowany, wkłada w to ostatnie spojrzenie siłę elektryczną, iskierkę, która przechowuje, niewyraźny może obraz, ale niemniej przeto dający się rozeznać, skoro go pan rozeznałeś—obraz ostatniej rzeczy, na którą patrzył. Widmo, być może, co się odbiło w oku konającego.

— I—powtórzył jeszcze Bernardet, chcąc dokładniej określić kwestyę—nietylko zatem obraz istoty żyjącej ale i widmo, że użyję pańskiego wyrażenia, widmo malowidła jakiegoś, jakiegobądź przedmiotu, może przechować siatkówka?

— Nie odpowiem panu „Być może”, bo wszakże sam powiadasz mi: „Widziałem”. I widziałeś pan w samej rzeczy a kształty te, acz niewyraźne, kształty malowane tylko, pozwoliły ci odnaleźć pośród przechodniów tegoż samego człowieka, którego widmo przedstawiła siatkówka! Próba więc została dokonana. Zmarły, oskarżając, może stać się mścicielem i wymierzyć sprawiedliwość!...

— I cóż ztąd, panie doktorze — wtrącił Bernardet—daremniebym to opowiadał, zaprzeczają mi! Wołać będą, że to niepodobieństwo!

Doktor Erwin uśmiechnął się zagadkowym jakimś uśmiechem. Zdało się, że błękitne jego oczy wpatrzone są w jakiś punkt daleki, niewidzialny, gdzieś po za ścianami maleńkiego jego pokoiku studenckiego.

— Według mego mniemania, wyraz „niepodobieństwo“ nie jest ludzkim. Wszakże dochodzimy do świadomości rzeczy z pozoru niedociekłych. Tajemnicę można przybliżyć. Nie trzeba niczemu zaprzeczać *a priori*, trzeba przypuścić, że wszystko jest możliwem i nie marzyć o niczem innem, o nic innego się nie troszczyć nad poszukiwanie prawdy, *cierniej prawdy*, jak mówił wasz Stendhal... Ale epitet to niewłaściwy. Słuszniej należałoby powiedzieć *znamienitej* prawdy, boć radością jest dla człowieka, który jej poszukuje, to życie powszednie, w którym dzień każdy znaczy się jednym naprzód krokiem, w którym serce bije ci przed każdą schadzka w laboratorium, jak bije innym przed schadzka miłosną! Ach, szczęśliwy ten, co dał życie naucel! Żyje życiem snów, marzeń. To poezya jedyna w naszych czasach prozy.

— Ten sen—ciągnął dalej młody duńczyk, ni by w natchnieniu—to marzenie jest wszędy! (a Bernardet słuchał go w zachwycie). To co niemożliwe, staje się pochwytne. Myśl, myśl ludzką z czasem czytać tak będzie można jak otwartą księgę. Pewien lekarz amerykański zażądał, aby mu pozwolono zrobić doświadczenie na czaszce skazańca, żyjącego jeszcze. Po przez tę czaszkę przedziurawioną, mógłby studyować mózg ludzki i spisywać jego funkcyę... To, co się proponuje dzisiaj, zrobionem zostanie jutro, nie wątp pan o tem... Alboż Edison i inni nie usiłuje powrócić wzroku ociemniałym? Toć to epoka

cudów. Ale chcąc, by się one spełniły, trzeba w nie wierzyć, jak w tej pierwotnej wierze religijnej—wierzyć w nie i wierzyć raz jeszcze, wierzyć zawsze. Wiek dwudziesty ujrzy ich więcej jeszcze!

— Ach, panie doktorze, panie doktorze — powtarzał biedny Bernardet, wzruszony głęboko, przejęty tem wszystkim, co mówił tamten z lekkim swym północnym akcentem, tak natchniony, zda się, jak apostoł.—Panie doktorze, pragnąłbym nie być takim nieukiem, jakim jestem, żywicielem tylko rodziny ukochanej, bo wtedy mógłbym prosić pana, żebyś mnie przyjął bodaj do zamiatania swego laboratorium!

Wyszedł uszczęśliwiony rozmową. Odtąd już mógł sobie powiedzieć, że on, człowiek prosty, nieuk, przyczynił się swoim przekonaniem fanatycznym, szalonym z pozoru, do wykazania rzeczywistości eksperymentu, zarzuconego już od lat tyłu i otwierał śledztwu kryminalnemu drzwi, niemal już zamknięte.

— Słowo daję, to co najuczeńsi uznali za niemożliwe, jam się o to pokusił. Inni zrobią to lepiej... Na innych kolej!

Jeden skrupuł tylko przychodził mu na myśl, jedna wątpliwość, jeden niepokój. I w swej prawości bezwzględnej, w swej uczciwości głębokiej chciał się zwierzyć z nim panu Ginory.

— Jednakże—myślał w duszy—ten sławny wynalazek, ten wynalazek tak wspaniały, przez chwilę stał się przyczyną aresztowania niewinnego!

Ten fakt przejmował go uczuciem niepokoju. Użył broni, która omal, zamiast uderzyć w winnego, nie dosięgła nieszczęśliwego; do tego więc prowadziło owo sławne odkrycie doktora Bourion, przeprowadzone przez niego, Bernardeta, aż do swej logicznej konkluzji i samo właśnie to doświadczenie, dokonane na oku zmarłego, doprowadzało do możliwości omyłki.

— Trzebaż zatem—myślał agent policyjny—by człowiek był omylnym nawet w najcudowniejszych swych odkryciach? Rzecz to przerażająca! Może tak jest, dlatego właśnie, aby nas uczynić ostrożnymi. Ostrożnymi i skromnymi!

Począł teraz powątpiewać. Czy należało po przestać obecnie na tych próbach, których rezultatem stało się kłamstwo? Czyliż wszystko nie było oszustwem i zawodem? Należałoby mu porzucić wszelkie poszukiwania na drodze, która kończyła się pomyłką?

I z bolesnego tego skrupułu, zwierzył się sędziemu śledczemu, skoro tylko przypadek służbowy sprowadził go z sędzią, zawsze wyrozumiałym zresztą dla tego dziwaka Bernardeta, który go bawił.

— Szczerze mówiąc, panie sędzio, szczerze mówiąc—powtarzał agent, wstrząsając głową—myślałem ja o tem długo i myślę ciągle; to odkry-

cie, nasze odkrycie—właściwie odkrycie doktora Bourion—do pięknychby mogło doprowadzić pomyłek!... Ot nas doprowadziło wprost do tego, żeśmy wsadzili do więzienia... kogo? Jakóba Dantin; a Jakób Dantin nie był winny!

— A tak, prawda, panie Bernardet—odpowiadał wówczas sędownik, który zdał się również zamysłonym, wspierając silną szczękę na dłoni.— To powinno pohamować nieco naszą próżność. Los to wszystkich odkryć ludzkich... *Errare... errare humanum est!*

— Niemniej jednak jest prawdą—podjął agent— że wszystko co się dziś dzieje, otwiera przed nami zdumiewające widnokęgi na to, co jest nieznanem...

— Co się poznać nie da—szepnął sędzia.

— Kiedy pomyślę—mówił Bernardet— że sam, któregoś tu wieczora, u pewnego lekarza, co jest tak dobry, że mnie zaprasza czasami na swe doświadczenia, ja sam, panie sędzio, widziałem, widziałem jak najdokładniej, widziałem co się zowie, w lustrze, które postawiono przedemną, skoro mi przeświecono zielonawymi X... promieniami ciało—tak, panie, widziałem jak serce mi biło, jak płuca funkcyonowały; a przecież ja jestem tłuusty i człowiek chudy mógłby lepiej jeszcze gołem okiem widzieć wewnętrzne życie swe literalnie! Czyż to nie fantastyczne, panie sędzio? Czyż przed trzydziestu laty nie zamkniętoby do domu obłąkanych człowieka, któryby utrzymywał,

że coś podobnego odkrył? Zobaczmy lepsze jeszcze rzeczy, panie sędzio, daleko lepsze!

— A wszystko to — dodał — dla szczęścia, dla dobra ludzi? Ale czy to zmniejszy cierpienia, złe, zbrodnię?

Sądownik poszepnął coś jakby do samego siebie, zamyślony, bardzo smutny.

Dopiero te słowa Bernardeta sprowadziły mu napowrót uśmiech na usta:

— Jak raz, panie sędzio, śliczny koniec rozdziału do drugiej części wielkiej pracy pańskiej: „Obowiązki sędziego wobec odkryć naukowych“. A jeśli Akademia nauk moralnych i politycznych nie powoła...

Pan Ginory, nagle nieco zaczerwieniony, przerwał Bernardetowi stanowczym gestem:

— Panie Bernardet...

— Ja tylko — odrzekł Bernardet z ukłonem — powtarzam, panie sędzio, to, co mówi i myśli ogół. Tego rana jeszcze była w tym przedmiocie wzmianka w „Lutecy“... Jaki to ujmujący chłopiec ten Paweł Rodier...

— Ach, panie Bernardet, panie Bernardet — przerwał Ginory z śmiechem — masz słabość do reporterów. Czy chcesz, żebym ci przepowiedział? — To pewna, że skończysz jeszcze na dziennikarstwie!

— A pan skończysz na zielonym mundurze członka Instytutu, panie Ginory — odciął mały Bernardet z filuternym uśmiechem księdza.

XVIII.

Bardzo często, odkąd go wypuszczono na wolność, Jakób Dantin chodził na ten róg cmentarza Montmartre, gdzie spoczywał Rovère, zanosząc przyjacielowi kwiaty.

Był to, od czasu straszliwej dlań epoki więzienia, rodzaj potrzeby serca, nawyknięcia. Umarli żyją. Czekają, słyszą, słuchają. Dantinowi wydawało się, że ma cel jakiś w życiu. Niestety, to, co było wolą, ostatniem marzeniem zmarłego, nie zostanie urzeczywistnionem nigdy! Ten majątek, jaki Rovère przeznaczał swemu dziecku, którego nie miał prawa przyznać głośno, dostanie się dalekim krewnym, których istnienia nie podejrzewał może nawet były konsul, których nie znał nigdy—ludziom obojętnym, spokrewnionym z przypadku, obcym zupełnie!

— Powiniennem był—myślał czasami Jakób—nie zwlekać, ale wcześniej powiedzieć mu, aby mi oddał to, co przeznaczał dla córki.

Co stanie się z nią w życiu, z tą nieszczęśliwą dziewczyną, świadomą tajemnicy swego urodzenia, co umiała milczeć i z prawdziwą święto-

ścią poświęcać się dla starego żołnierza, którego nosiła nazwisko?

Pewnego dnia lutowego, szarego i smutnego, Jakób Dantin, zamysłony o całej tej przeszłości wczorajszej zaledwie a tak bolesnej, o rozwiązaniu okrutnie brutalnem tego istnienia szalonego na początku a ponurego i pustego przy końcu, szedł Dantin ścieżyną cmentarza, ku kamieniowi świeżemu, pod którym zasypiał Rovère. Przypominał sobie ten pogrzeb zgiełkliwy przyjaciela, te kwiaty, tę ciekawość roznamiętnioną tłumy... Obecnie cisza zalegała ponure aleje grodu umarłych. Rzadkie cienie czarne przesuwaly się tu i owdzie między grobami, tam w dali. Nie był to ani dzień odwiedzin umarłych, ani godzina zwykła pogrzebów. Był to jeden z tych dni, w których są oni samotni, gdzie ci, których oni kochali za życia, mogą pomówić z nimi swobodnie, nie lękając się powszedniego zetknięcia z obojętnymi ludźmi, ciekawymi gośćmi tego przybytku, co się tu błakają, odczytując napisy i szukając imion sławnych. I samotność ta podobala się właśnie Jakóbowi Dantin. Czuł się w niej bliższym tego, którego utracił.

„Ludwik Piotr Rovère“. W tem imieniu, które Moniche kazał wyryć na nowym grobowcu, ileż mieściło się wspomnień dla człowieka, posądzanego przez chwilę o to, że zabił najmilszego sobie towarzysza! Cały szereg lat dzieciństwa, młodość cała, cała przeszłość! A ileż tu lat ubie-

głych tak szybko, tak bezpożytecznie strwonionych! Tyle gorączki, wzruszeń, ambicij, rozczarowań—i po co?—po to tylko, by dojść tutaj!

— Odpoczął przynajmniej—myślał Dantin, przechodząc w pamięci własne istnienie bez celu i bez blasku szczęścia.

I on również odpocznie tu niezadługo, niemając w całym tym bezmiernym Paryżu ani jednego prawdziwego przyjaciela, pośród tylu przyjaciół przypadkowych, na którego odwiedziny tutaj mógłby liczyć na pewno. Istnienie zaiweczone, niedorzeczne i niezdrowe! Stary kawaler, bez rodziny, porównywał się do zeschniętego drzewa, bez odrośli, bez soków żywotnych.

I po raz niewiedzieć który żegnał Rovère'a, mówiąc doń, przemawiając po imieniu, jak niegdyś, zanim jeszcze grób ich rozłączył. Potem oddalał się zwolna. Ale kiedy na końcu alei odwrócił się raz jeszcze, aby po raz ostatni spojrzeć na miejsce, gdzie spoczywał Rovère, spostrzegł, jak do grobu tego zmierza, jakąś poprzeczną ścieżką wśród szarych kamieni, kobieta, ubrana w strój żałobny.

Zatrzymał się, poczekał chwilę i patrzył: istotnie podeszła wprost do grobu Rovère'a. Wysooka, smukła a o ile mógł osądzić Jakób Dantin z daleka, była młodą i przyjaciel zmarłego rzekł sobie:

— To jego córka;

Wspomnienie ostatnich zwierzeń Rovère'a przyszło mu żywo na myśl. Widział znów nieszczęśliwego, jak stoi z błędnymi oczyma, przerzucając gorączkowo papiery i szukając tych, które stanowić miały majątek dla jego dziecka a znajdując tylko dyplomy orderów zagranicznych. Jeśli kobieta, stojąca tam u grobu, była tą, o której wspominał mu zmarły, powinna wiedzieć, że jedyną tegoż myślą było, za pośrednictwem jego, Dantina, zapewnić jej przyszłość.

Wszakże to o niej, o niej do ostatniego swego tchnienia, myślał nieszczęśliwy.

I Jakób Dantin zwolna zawrócił ku grobowi Rovère'a napowrót.

Kobieta w żałobie klęczała teraz u grobu, pochylona nad kamienną płytą, na której składała przyniesiony bukiet chryzantemów. Jakób widział tylko plecy jej pochylone i rodzaj stosu czarnych materij żałobnych, jaki tworzy klęcząca u grobu kobieta. Modliła się widocznie.

Dantin przypatrywał się jej długo a kiedy wreszcie podniosła się z kolan, wysoka, smukła, wytworna, z po za czarnych krep welonu, przystąpił do niej.

Na skrzyp żwiru ementarnego, czarna postać odwróciła się i Dantin spostrzegł twarz młodą i smutną, jasne włosy i wielkie oczy nieco źdźwione, w których z wielkiem wzruszeniem odnalazł wyraz, odbłask spojrzenia zmarłego przyjaciela.

Młoda kobieta instynktownie zrobiła taki ruch, jakby się chciała oddalić, ustąpić miejsca przechodzącemu. Ale on powstrzymał ją ruchem ręki.

— Nie obawiaj się pani, jestem najlepszym przyjacielem tego, który spoczywa pod tą mogiłą! Zatrzymała się blada i onieśmielona.

— Wiem jak go pani kochałaś—dodał Dantin.

A ponieważ mimowoli z ust jej wydarł się lekki okrzyk przerażenia i poczęła oglądać się niespokojnie dokoła:

— On mi wyznał wszystko—wymówił z wolna. — Nazywam się Jakób Dantin. Niezawodnie musiał i on pani o mnie wspominać, jak sądzę?...

— Tak — wymówiła wówczas kobieta, głosem głębokim. W tem słowie, dźwięczał cały świat wspomnień i wyznań.

I raz jeszcze powtórzyła to *tak*.

A Dantin drgnął mimowoli. Był to w zupełności dźwięk głosu Rovère'a.

W ciszy cmentarnej, u tego grobu, wobec tego wyrytego na kamieniu nazwiska, które zdało się uprzytomniać zmarłego przyjaciela, Dantin od pierwszej zaraz chwili zamierzył powiedzieć tej dziewczynie, co zmarły chciał dla niej uczynić.

I w samej rzeczy znali się przecież, choć nie spotkali się nigdy. Jedno słowo było dostatecznym, jedno imię, by tajemnica, która ich łączyła, zbliżyła ich do siebie od pierwszej zaraz minuty spotkania. Czem Dantin był dlań, o tem

Rovère niezawodnie nieraz mówił Marcie. Wszakże odpowiedziała: „Tak”.

Wówczas, jak gdyby z głębin grobu postyszał rozkaz, jak gdyby Rovère sam domagał się od niego, by mówił, Jakób Dantin w uroczystej ciszy tego grodu umarłych, chciał z kolei powierzyć młodej dziewczynie to, co Rovère próbował mu owego dnia pierwszego choroby, powiedzieć...

Szybko rozpoczął coś mówić o legacie... majątku...

Ale w jednej chwili, kobieta, odgadując wszystko i odrzucając równocześnie myśl samą, przerwała mu nakazującym ruchem:

— Nie chcę nic wiedzieć, panie—wymówiła—co ci powiedziano o mnie... Jestem córką człowieka, który wraz matką moją oczekuje na mnie w Blois, bohatera (podniosła głowę wymawiając to słowo), który dziś jest starcem schorzałym, kocha mnie jedną tylko i któremu w razie, gdyby mu matki mojej zbrakło, ja jedna byłabym nieodbitcie potrzebną, ja, która nie potrzebuję niczego!

W akcencie jej, w tonie nakazującym i stanowczym, było znowu wspomnienie Rovère'a, tak właśnie przemawiającego całe życie.

Choćby Dantin nie wiedział nic o przeszłości bolesnej, ten dźwięk głosu, to płonące spojrzenie w pośród matowej błości twarzy, zbudziłyby w nim pewną wątpliwość, zmagając nieprzepracie do pomyslenia o Rovèrze.

Ta kobieta w żałobie, którą Dantin widział po raz pierwszy, była jakby przedłużeniem dalszem życia Rovère'a, zmarły w niej odżywał dla przyjaciela.

— W takim razie?—zapytał przyjaciel zmarłego, jak gdyby oczekiwał rozkazu.

— W takim razie—odpowiedziała dziewczyna głębokim swym głosem—jeśli mnie pan spotkasz kiedy przy tym grobie, nie trzeba mi mówić o niczem. Jesliby pan miał spotkać mnie po za obrębem tego cmentarza, nie należy mnie znać nawet. Tajemnica, którą powierzył nam ten, który tu spoczywa, jest zarazem tajemnicą świętej, którą ja czczę i żyjącego, którego považam: *mego ojca!*

Położyła naciśk na tej nazwie, z pewnem współczuciem serdecznem, namiętnem a Jakób Dantin zobaczył, że łzy miała w oczach.

— A teraz, żegnaj, panie Dantin — wyłówiła poważnie.

Jakób chciał jeszcze powrócić do tego ostatniego zwierzenia zmarłego...

Ona powtórzyła:

— Żegnaj!

Ręką opiętą w czarną rękawiczkę, zrobiła znak krzyża, uśmiechnęła się smutnie do grobu, na którym leżały jej chryzantemy ciemne, potem zapuściwszy welon na twarz, odeszła a Dantin, stojący przy mogilnym szarym kamieniu, widział jak znikala niby punkcik czarny, w końcu długiej alei.

Męczennica pokutująca wraz z małżonką u boku zgrzybiałego starca, za błąd niepopołniony, powracała uśmiechniona do spełnianej ofiary, do tego, który nie podejrzewając, ogarniał ją rozrzuwionem spojrzeniem i nazywał—tam w ubożem mieszkanku w Blois—swą *świętą* i swą córką, a także do tej nieszczęśliwej kobiety, która na równi z nią modliła się i odkupywała winę abnegacją z wszystkiego na zawsze.

I zestarzeje się ta dziewczyna tak dzielna, spotkana tam w ciemnej alei cementarnej, niby widać wdzięku, zwiędnię, zrezygnowana i szczęśliwa, u boku tego żołnierza schorowanego, który dzięki silnej swej budowie i odporności natury, żyć może jeszcze lata całe, długie lata. Spłaci dług matki, spłaci go staraniami każdej dnia minuty, około tego człowieka, którego nosi nazwisko, nazwisko sławy pełne, nazwisko złożone z wspomnieniem wielkich zwycięstw, walk dnia ubiegłego... Będzie zakładnikiem, ofiarą zmagającą winę...

Całe jej życie odkupi błąd tej drugiej, tej, która, nie mogąc powtarzać starcowi, powtarza córce często wśród pocałunków i łez: „Przebacz mi, przebacz...”

— I kto wie, biedny mój Piotrze—wyrzekł po namyśle Jakób Dantin, przemawiając do uspiętego w mogile—kto wie, czy twoja córka, dumna swem poświęceniem, nie jest szczęśliwszą!

Z kolei i on odszedł od grobu. Opuścił cmentarz.

Chciał powrócić pieszo do swego mieszkania przy ulicy Richelieu. Przechadzka przyniesie mu ulgę. Głowa tak mu ciążyła okropnie. Za ledwie uszedł kilka kroków bulwarem zewnętrznym, kiedy na tem samym miejscu, gdzie—zdawało mu się, że to było wczoraj—szedł za konduktem pogrzebowym Rovère'a, rozmawiając z Bernardetem, natknął się na agenta, idącego rzeźkim krokiem wzdłuż trotuaru.

Bernardet skłonił mu się lekkim skinieniem głowy, w którym był żal, cokolwiek zawstydzenia i jakby przeproszenie.

— Ach, panie Dantin, jaki pan musisz mieć żal do mnie!

— Bynajmniej—odparł Jakób. — Sądziłeś pan, że spełniasz swą powinność i mogę tylko być zadowolonym, że tak szybko starałeś się pomścić śmierć mego przyjaciela!

Bernardet przytwierdził dosadnym giestem.

— Pomścić go! Tak, będzie pomszczony. Nie dałbym dziś słamanego szeląga za głowę Pradèsa, którego sądzić będą jutro. Zobaczymy się prze-na procesie! Do widzenia, panie Dantin, i proszę mi raz jeszcze wybaczyć!

— Do widzenia, panie Bernardet, i proszę przyjąć moje powinszowanie!

Dwaj mężczyźni rozstali się.

Bernardet powracał do domu na śniadanie. I tak już się spóźnił. Żona musiała tam czekać. Nieco zaczerwieniony, mały człowieczek przyspieszał kroku. Zatrzymał się wszakże, posłyszawszy głos roznosiciela dzienników, który oznajmiał, że sprzedaje najnowszy numer „Lutecyi“.

— Kupujcie państwo proces jutrzejszy, ankieta Pawła Rodier w kwestyi „Oka zmarłego“!..

Roznosiciel „Lutecyi“ ukłonił się panu Bernardet, znanemu mu dobrze.

— Daj mi jeden numer! — ozwał się agent policyjny.

Roznosiciel wyjął z teki niesiony numer, powiewając nim jak chorągwią.

— Ach, rozumie się, pana to zajmować musi, panie Bernardet!..

I kiedy mały człowieczek przeglądał na czele „Lutecyi“ wielkimi literami wydrukowany tytuł, który Paweł Rodier nadał szeregowi interviewów ze zakomitościami medycznymi: „Oko umarłego“, roznosiciel wydawał resztę żadaną z półfrankówki, dodając:

— To jutro proces! Ale już jutro go nie odłożą, nieprawdaż, panie Bernardet? Wszakże Pradès zostanie skazany? Potępiony już naprzód!

— Przyznał się, to już rzecz z góry wiadoma — odparł Bernardet, odbierając pieniądze.

— Do widzenia i dziękuję, panie Bernardet!

I roznosiciel puścił się w dalszą drogę, wołając ciągle:

— Kupujcie państwo „Lutecyę”... Proces o zabójstwo Rovère’a!... Sprawa jutrzejsza!... Akt oskarżenia Karola Pradès!... Ankieta Pawła Rodier w kwestyi „Oka zmarłego”!

Głos jego ginął w oddali, gubiąc się w łoskocie tramwajów i dorożek.

Pan Bernardet przyspieszył kroku.

Malce musiały się tam już niecierpliwie i czekać na niego i wołać, dokoła stołu w mieszkanku przy pasażu l’Elysée des Beaux Arts.

Obejrzał numer, który kupił był przed chwilą. Paweł Rodier, w kwestyi podniesionej przez niego, Bernardeta, rozpytywał uczonych, fizyologów, psychologów i jako dzielny, zręczny dziennikarz, ogłaszał teraz w wilię procesu wynik swej „Ankiety”.

Pan Bernardet czytał, idąc i przyspieszał mimo to kroku:

PROBLEMAT NAUKOWY Z RACYI PROCESU
O MORDERSTWO ROVERE’A.

KWESTYA MEDYCYNY SĄDOWEJ.

OKO UMARŁEGO. — NAJWYŻSZY OSKARŻYCIEL.

INTERVIEWY I OPINIE

PP. DOKTORÓW: BROUARDELA, ROUX, DUCLAUX,
PEAN, ROBIN, POZZI, BLUM, GILLES DE LA TOUBETTE.

Bernardet przewrócił kartkę dziennika.

Interviewy zajmowały dwie stronnice co najmniej w ścieśnionych kolumnach.

— Tem lepiej, tem lepiej! — mówił agent zachwycony. — To zajmujące, to ciekawe. Co też oni myślą, ci uczeni, o mojem wskrzeszeniu dawnego odkrycia?... Zobaczymy!

I przyspieszając jeszcze kroku po oślizgłym bruku ulicy:

— Przeczytam to wszystko dzieciom — mówił sam do siebie — tak, wszystko to!... To je rozerwieli!... Powieść tak dobra jak każda inna, z tą różnicą, że to życie! A przecież powieść to nieprawdopodobniejsza od innych! A wszystkie te kwestye: o tem, co nieznanne, niewidzialne, wszystkie te problemy, jakież to porywające!... A jak roznamiętnia — tajemnicą!

KONIEC.

BIBLIOTEKA
UMIEN
OLYMPIA

Biblioteka Główna Uniwersytetu
Marii Curie - Skłodowskiej w Lublinie

225975